MYŚLMY SAMI
Polaków środka jest więcej. Czemu wygrywają skrajności?

MARYJA NASZEJ ERY
Ekolożka, uchodźczyni i samotna matka

GŁUSI U LEKARZY
Protest, którego nie usłyszycie

SHARON TATE
Jak Hollywood tworzy jej nowy mit

Kraków 18 sierpnia 2019 nr 33 (3658) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Pierwsza Rodzina

KACZYŃSCY, PRZYWILEJE I KULT

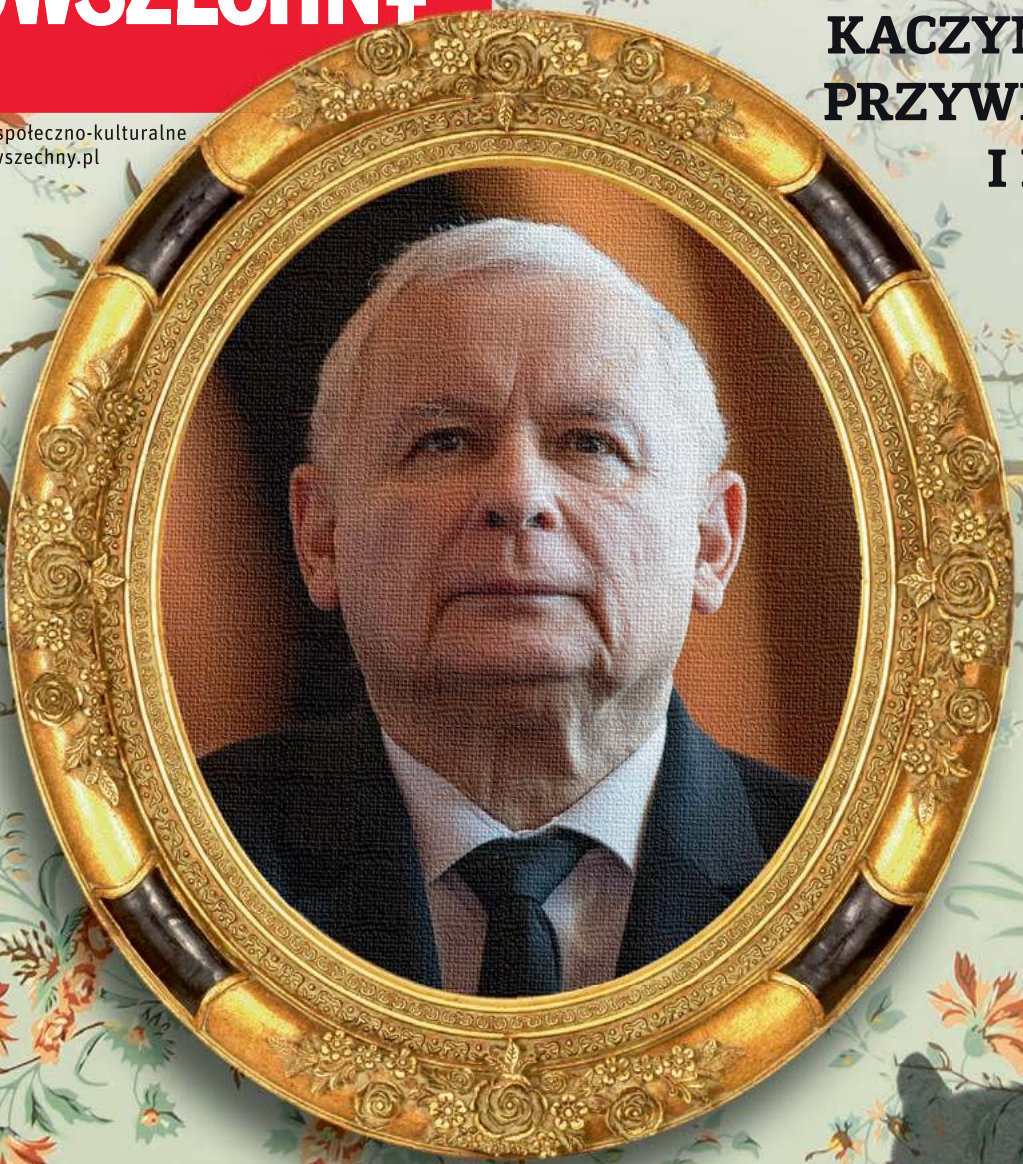

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

PROBLEMY DOROSŁYCH OBCIĄŻAJĄ CODZIENNOŚĆ DZIECI.

Razem możemy zdjąć z nich ten ciężar.
Wiele dzieci każdego dnia musi mierzyć się z problemami, które odbierają dzieciństwo, utrudniają naukę i kontakt z rówieśnikami. Razem możemy to zmienić. Pomóż nam zapewnić opiekę, wsparcie edukacyjne i psychologiczne dla potrzebujących dzieci z SOS Wiosek Dziecięcych oraz programu „SOS Rodzinie".

Prosimy, przekaż darowiznę na konto 07 1240 6247 1111 0000 4975 0683
tytuł przelewu: "Pomoc dla dzieci"
lub na www.dziecisos.org

KS. ADAM

Boniecki: *Po co są biskupi*

Widywaliśmy go, jak w czarnej sutannie, kurtce i berecie szedł Sławkowską, św. Jana albo Plantami. Znaliśmy go wszyscy, nawet grający na organkach dziadek w pobliżu Rynku i bezdomni. Kiedy odwiedzał szpital, długo zatrzymywał się przy chorych. Sam pacjent, usługiwał towarzyszom niedoli. Miał poczucie humoru i dystans do siebie. Pisał listy pasterskie krótkie i treściwe. Czasem, gdy zatapiał się w modlitwie, po policzkach płynęły mu łzy. Do wiernych zgromadzonych na Błoniach wysłał z Rzymu esemesa na znak, że jest z nimi. Kardynał Franciszek Macharski.

Można było przyjść bez zapowiedzi, poczekać i być przyjętym. Organizował u siebie spotkania historyków, filozofów, znawców literatury, duszpasterzy, studentów. Odwiedzał nasze redakcje. Inicjował dyskusję, każdego słuchał z uwagą. Pamiętał ludzi i sprawy. Wizytacje parafii trwały czasem kilka tygodni z przerwami. Odwiedzał chorych w ich domach, spotykał się z ludźmi, rozmawiał. Poszedł do synagogi czynnej na terenie odwiedzanej parafii, zatrzymał się przy wejściu, niezauważony przez obecnych. Oddawał swoją profesorską pensję na potrzebujących studentów. Jako biskup rozdawał pieniądze, które mu dawano. W czasie rekolekcji akademickich spowiadał jak inni księża. Arcybiskup Karol Wojtyła.

Nigdy nie miał kapelana ani osobistego sekretarza. Sam odbiera telefony. Arcybiskup Alfons Nossol.

Jeśli w dzień nie może odebrać, wieczorem oddzwania. Po objęciu diecezji odwiedził, prywatnie, wszystkich księży. Każdy z nich zna jego numer. Kardynał Kazimierz Nycz.

Jego biuro przypominało kancelarię parafialną: proste biurko, szafa na dokumenty, kilka krzeseł. Żadnych ozdób, foteli, dzieł sztuki. Dawny biskup białostocki Edward Kisiel.

Na wizytację przyjeżdżał autobusem. Spędzał dzień lub dwa w parafii, sprawdzał stan duszpasterstwa i instalacje elektryczne. Julian Wojtkowski, emerytowany biskup pomocniczy diecezji warmińskiej.

Żeby odpowiedzieć tym, którzy pytają: „po co nam biskupi?”, chciałem uświadomić, że biskup to człowiek. Po blisko 60 latach bycia księdzem mógłbym ten wątek ciągnąć długo. Ale biskupi to ludzie bardziej wyeksponowani niż inni. Są różni. Jedni tak bardzo czują się ojcami, że nawet do najstarszych księży mówią po imieniu (kard. Nycz), inni czują się bardziej sługami i nawet do najmłodszych mówią „proszę księdza” (abp Wojtyła). Są tacy, co dbają o prestiż urzędu w dawnym stylu: pałace, szaty, tytuły, świta, majestat – i są tacy jak bp Wojtkowski. Dla jednych jest istotne, że zostali „wyniesieni do godności” – są zafascynowani władzą, dawnych kolegów proszą, by się już do nich nie zwracali po imieniu. Dla innych biskupstwo to lekcja pokory. Przechodzą na „ty” z niżej stojącymi w hierarchii i wsłuchują się w głos wiernych.

Więc po co są biskupi? W Kościele biskupi są od czasów apostolskich. Księża prości zjawili się później, powołani im do pomocy. Dlatego zawsze czytam listy pasterskie, czy mi się podobają, czy nie. Biskup jest pierwszym nauczycielem wiary, ja tylko jego pomocnikiem.

Nawet najwznioślejsza idea wymaga struktur. Na kształt tych kościelnych wpływały warunki historyczne, a na funkcjonowanie – kultura tych, którzy je tworzyli. Biskupów stworzono dla ochrony jedności wiary. Zawsze ostrzegali wierzących przed fałszywą w ich przekonaniu interpretacją Pisma i innymi błędami. Niestety, czasem tych, których uznawali za błądzących – zwalczali. Obawiali się zarażenia wiernych herezją. Biskupi mają być świadkami wiary, nadziei i miłości, pasterzami wskazującymi drogę do Boga. Na której kościelna dyscyplina ma być ochronną barierą.

Św. Augustyn powiedział: „Choć się lękam tego, kim jestem dla was, pociesza mnie to, kim jestem z wami. Dla was jestem biskupem, z wami jestem chrześcijaninem (...). To pierwsze miano jest zagrożeniem, drugie wybawieniem” (Mowy 340, 1). ©℗

TP

Zostań mecenasem filmu o ks. Bonieckim!

Pomysł na filmowy portret księdza Bonieckiego powstał kilka lat temu, a reżyserka Aleksandra Potoczek realizuje zdjęcia już od wielu miesięcy.

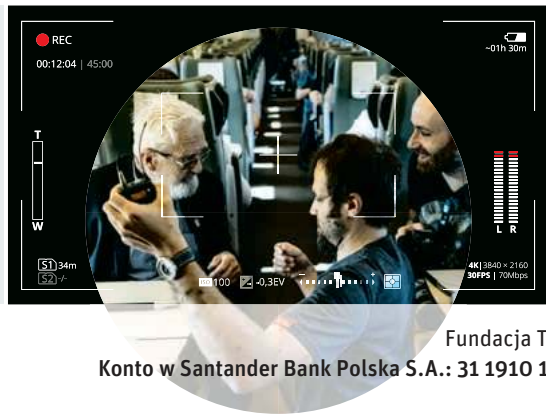

W tym czasie ekipa filmowa przejechała z księdzem Adamem blisko 30 tys. kilometrów. Producent dokumentu, Fundacja Tygodnika Powszechnego, wciąż zbiera pieniądze na dokończenie nad nim prac. Dzięki Państwa hojności udało się już zebrać **69 proc.** potrzebnej kwoty, nadal jednak prosimy o wsparcie. Wpłat można dokonywać przez Facebooka lub bezpośrednio na konto Fundacji.

Zbiórka na Facebooku: **powszech.net/film**

Fundacja Tygodnika Powszechnego, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków

Konto w Santander Bank Polska S.A.: 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001, w tytule przelewu: „Film”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Bądźmy niekonsekwentni
DARIUSZ ROSIAK
Polaków, którzy nie dzielą świata na „nasz" i „obcy", jest więcej niż ekstremistów, którzy opanowali media i politykę.

34 Kwietna Pani
ROZMOWA Z ANNĄ NIEDŹWIEDŹ, ANTROPOLOŻKĄ KULTURY:
Co nadal pociąga ludzi w Maryi? Dzisiaj aktualne jest to, że jest uchodźczynią, jest biedna, często odbierana jako samotna matka.

28 Protest, którego nie usłyszycie
ANNA GOC
My musimy niejednemu lekarzowi wyjaśniać nawet to, że głusi nie słyszą – mówi Karolina, tłumaczka polskiego języka migowego.

64 Żona, gwiazdka, męczennica
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Popkultura nie zapomniała o 50. rocznicy zabójstwa Sharon Tate. Do kin wchodzi właśnie film Tarantina, a w książkach celebrujących śmierć aktorki można przebierać.

46 Wyrok na Fairbourne
AGATA KASPROLEWICZ
Z WIELKIEJ BRYTANII
Zmiany klimatu to rezultat ludzkiej chciwości. Ich ofiarą może stać się nadmorska wioska w Walii. – Od kiedy się tu sprowadziłem, ludzie nieustannie powtarzali, że pewnego dnia tę wioskę zabierze morze – mówi Stuart Eves.

78 Niebieskie myszy i zielone odkurzacze
SZYMON DROBNIAK
Kiedy trzymam w dłoni samca modraszki, myślę tylko o jednym: oto mały, prywatny kosmos tej jednej sikory. Jestem za ten kawałek natury całkowicie odpowiedzialny.

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER // PAWEŁ ULATOWSKI // BEW // FRANCIS C. FRANKLIN / CC-BY-SA-3.0 // AGATA KASPROLEWICZ // MAGDA WOLNA

6 Patron na manowcach MICHAŁ OKOŃSKI

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Bądźmy niekonsekwentni DARIUSZ ROSIAK

25 Frankowa choroba banków ROZMOWA Z PROF. DARIUSZEM FILAREM, EKONOMISTĄ: *Dla wielu banków hipoteczny boom był okazją do szybkiego powiększenia portfela kredytowego. Niektóre pojechały po bandzie*

28 Protest, którego nie usłyszycie ANNA GOC

WIARA

34 Kwietna Pani ROZMOWA Z ANNĄ NIEDŹWIEDŹ

38 Odczarowanie JOLA SZYMAŃSKA: *Kiedy słowa o czystości krzywdzą*

41 Mowa o nadziei PIOTR SIKORA: *Gdy żyjemy w sytuacji pełnej napięć i konfliktów, Bóg otwiera przed nami drogę pokoju*

ŚWIAT

46 Wyrok na Fairbourne AGATA KASPROLEWICZ

50 Lista żalów komisarza France'a JAN SMOLEŃSKI: *Baltimore, miasto upadające*

53 Bóg Rama w Himalajach WOJCIECH JAGIELSKI: *Władze w New Delhi odebrały autonomię Kaszmirowi*

TEMAT TYGODNIKA

ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

12 Pierwsza Ostatnia Rodzina
ANDRZEJ STANKIEWICZ

Przebudowując kraj na własną modłę, Jarosław Kaczyński przeprowadza proces państwowej gloryfikacji swej rodziny. Nawet jego bardzo odlegli kuzyni mają w dzisiejszej Polsce status niemal królewski.

FELIETONY

33 ANNA DZIEWIT-MELLER
45 SZYMON HOŁOWNIA
57 WOJCIECH BONOWICZ
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka:
FOT. MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS // PIXABAY / MONTAŻ „TP"
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

54 Dom zbudowali sami PAWEŁ PIENIĄŻEK Z SYRII: *Cztery lata po tym, gdy zdjęcia ciała trzyletniego Alana Kurdiego obiegły świat, jego rodzina wciąż nie może pogodzić się z przeszłością*

HISTORIA

58 Miłosz poza cenzurą JAN OLASZEK: *W PRL-u wydawano go tylko w podziemiu. Ale drukarze nie zawsze chcieli narażać się dla poezji*

NAUKA

62 Biochemia wampira MARIUSZ GOGÓL: *Korzenie mitu o potworach żywiących się ludzką krwią mogą sięgać chorób, które dzisiaj świetnie rozumiemy*

KULTURA

64 Żona, gwiazdka, męczennica MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

68 Niepobożne życzenia ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Pewnego razu... w Hollywood" Quentina Tarantino*

70 Starość widzialna PIOTR KOSIEWSKI: *Wystawa „Historie o starości" w białostockiej Galerii Arsenał pokazuje to, czego nie chcemy widzieć*

72 Bękart wojny WOJCIECH ENGELKING: *Powieści Michaela Chabona trafiają w Polsce na podatny grunt*

76 Trzecie rozdanie LEKTOR *o książce Jerzego Pilcha „Trzeci dziennik"*

WAKACJE

78 Niebieskie myszy i zielone odkurzacze SZYMON DROBNIAK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Niedawno mięła ósma rocznica śmierci Andrzeja Leppera. Prawdopodobnie jedynego człowieka, który byłby dziś w stanie wygrać z Jarosławem Kaczyńskim. Zachodząc go z lewej – *pisze w autorskim cyklu* RAFAŁ WOŚ tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Jak oni się nie wstydzą [Podkast Powszechny]
Jaka jest odpowiedzialność polityków i liderów debaty publicznej w nakręcaniu sprężyny nienawiści? Kłamstwo zaczyna dziś popłacać? Czy wstyd może mieć ozdrowieńczą rolę? – *rozmawiamy z* PROF. BOGDANEM DE BARBARO, *psychiatrą i psychoterapeutą* powszech.net/debarbaro

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

UTCON COLLECTION / ALAMY STOCK PHOTO / PAP

PATRON NA MANOWCACH

Prezydent objął patronat nad 75. rocznicą powołania Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Przeciw tej decyzji protestowali weterani AK, a rabin Michael Schudrich uznał ją za zniewagę pamięci wszystkich obywateli Polski poległych w walce z Niemcami.

MICHAŁ OKOŃSKI

Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej, 1945 r.

Można by zapewne całą sprawę nazwać nieporozumieniem albo umniejszać jej rangę – w sierpniu Andrzej Duda objął przecież patronatem nie tylko obchody 99. rocznicy bitwy warszawskiej albo 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej, ale też np. IV Światowy Festiwal Wikliny i Plecionkarstwa. Można by też próbować pisać, że ostatecznie nic się nie stało: po fali krytyki Kancelaria Prezydenta poinformowała przecież, że w obchodach rocznicy powołania Brygady Świętokrzyskiej nie weźmie udziału ani głowa państwa, ani żaden z jej urzędników. Z pewnością należałoby także skomplikować narrację, że oto „prezydent oddaje hołd faszystom" i w ogóle starać się pisać o losach tamtej formacji możliwie bez przymiotników. Na terenach okupowanych jeszcze przez Niemców, w obliczu zbliżającej się sowieckiej ofensywy żadna decyzja nie była oczywista: ani ta o próbach współdziałania z Armią Czerwoną, połączona z ujawnieniem się dowództw AK (konsekwencją były aresztowania, pacyfikacje, rozbijanie struktur Polskiego Państwa Podziemnego), ani ta o próbie

przedostania się na Zachód zwartym oddziałem, co okazało się możliwe jedynie za cenę układów z Niemcami. Organizatorzy jubileuszu Brygady zresztą bynajmniej tych ostatnich nie negują, przyznając, że bez „taktycznych porozumień" z Wehrmachtem tamten przemarsz nie byłby możliwy.

No ale bez przymiotników właśnie wypada powiedzieć, że – pomijając nawet kwestie antydemokratycznych poglądów jej twórców i dokonywanych przez nich przestępstw jeszcze przed sierpniem 1944 r., bo te same zarzuty można sformułować wobec partyzantki komunistycznej – Brygada Świętokrzyska nie była jednostką podporządkowaną instytucjom działającego wciąż Polskiego Państwa Podziemnego. Nie doszło do jej scalenia z AK, a zatem – jak głosił przypomniany w ostatnich dniach przez prof. Dariusza Libionkę komunikat Komendy Okręgu AK Radom-Kielce – „wszystkie akty, jak konfiskaty mienia prywatnego, wyroki śmierci przez nich wydawane i wykonywane, rozbrajanie drobnych oddziałów B.[atalionów] Ch.[łopskich], nadawanie stopni wojskowych są czynami nielegalnymi i wprowadzają zamęt w całość życia wojskowego w kraju, rozbijając jedność armii". Bez przymiotników trzeba powiedzieć, że jej oficerem do zadań specjalnych był Hubert Jura, ps. „Tom", współpracujący wcześniej z Gestapo i skazany za tę współpracę na karę śmierci przez AK. Że od grudnia 1944 do maja 1945 r. Brygada faktycznie nie walczyła z Niemcami i że korzystała z ich wsparcia, np. dostaw żywności czy wyposażenia. Jeśli można to nazywać grą, to z pewnością można również nazywać kolaboracją z wrogiem ojczyzny.

Wchodzących w skład Brygady Świętokrzyskiej żołnierzy i partyzantów z pewnością nie obciążają decyzje ich dowódców. Tutaj jednak mówimy o rocznicy dotyczącej nie indywidualnych osób, ale całej formacji. Formacji pozostającej poza strukturami państwa, a i po przejściu na Zachód nieprzyjętej w szeregi Wojska Polskiego. Obejmując nad jej rocznicą patronat, prezydent – chcąc nie chcąc – podważa decyzje swoich poprzedników. Mylenie antykomunizmu z patriotyzmem prowadzi go na manowce. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

GŁOWA NA OŁTARZU. „Marek Kuchciński położył własną głowę na ołtarzu spraw państwowych" – powiedział Ryszard Czarnecki i nic piękniejszego w tym tygodniu nie przeczytamy.

SOJUSZ STRACEŃCÓW. Czymże jest przy frazie Czarneckiego wyznanie Władysława Kosiniaka-Kamysza, że „to nie jest łatwa droga", o utworzeniu listy wyborczej PSL-Koalicja Polska, którą oprócz ludowców tworzą politycy ruchu Kukiz'15? Zaiste: to nie jest łatwa droga, skoro oba ugrupowania w sondażach lokowały się ostatnio poniżej progu.

PROFESOR NA PLUSIE. Liderowi ludowców nikt przynajmniej nie zapłacił. Inaczej niż prof. Markowi Chodakiewiczowi, który za swój pełen wulgaryzmów „wykład" w warszawskim Centrum Edukacyjnym IPN otrzymał honorarium. Chociaż tyle, że – jak poinformowała Onet przedstawicielka biura prezesa – elukubracje Chodakiewicza na temat homoseksualistów i chomików – nie wyrażały oficjalnego stanowiska Instytutu.

STADNINA NA MINUSIE. W Janowie Podlaskim wciąż kiepsko: kontrola przeprowadzona w słynnej niegdyś hodowli koni arabskich wykazała fatalne warunki, w jakich przebywają niektóre zwierzęta. Z dokumentów, do których dotarło Radio RMF, wynika też, że straty za 2018 r. wyniosły w stadninie ponad 3 mln zł – dwa razy więcej niż w 2017 r. (w 2015 r. stadnina przynosiła zyski).

LICZBA TYGODNIA

247

Tyle kilogramów żywności marnuje rocznie statystyczny Polak – podaje Polski Instytut Ekonomiczny. W UE średnia wynosi 173 kg – w tym niechlubnym rankingu zajmujemy 5. miejsce.

Ostatni rok prezydenta

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Czwarta rocznica zaprzysiężenia Andrzeja Dudy przebiega pod hasłem powrotu do korzeni: podporządkowania prezydenta partii rządzącej. Nie ma śladu po konfliktach Dudy ze Zbigniewem Ziobrą o ustawy sądowe czy z Antonim Macierewiczem o kontrolę nad armią. Prezydent bez szemrania wysyła ziobrystów do Sądu Najwyższego. Po dymisji Macierewicza zniknął też konflikt z MON. Dziś Duda bezkrytycznie aprobuje działania nowego ministra Mariusza Błaszczaka, dlatego prezydencki doradca wojskowy gen. Jarosław Kraszewski rzucił papierami. Wcześniej, gdy Macierewicz próbował wymusić jego dymisję, Duda bronił doradcy niczym niepodległości.

Czasem tylko prezydent zawarczy przy bardziej kontrowersyjnej ustawie PiS, jak niedawno w sprawie kodeksu karnego. Ale zazwyczaj i tak ją podpisuje albo – umywając ręce – wysyła do Trybunału Konstytucyjnego, gdzie PiS może dziś zrobić, co zechce. Ostatnie weta Duda zastosował w 2018 r. Gdy zawetował ustawę degradującą wojskowych z czasów PRL, partia odpłaciła mu odrzuceniem wniosku o referendum konstytucyjne. Drugie zeszłoroczne weto – ordynacji do Parlamentu Europejskiego – trudno uznać za opór wobec PiS. Prezydent ratował obóz władzy, bo przyjęte przepisy były najpewniej niezgodne z unijnym prawem.

Duda już dostał obietnicę poparcia Kaczyńskiego w staraniach o drugą kadencję. Został mu jednak niespełna rok na przekonanie wyborców spoza PiS. Kaczyński, by rządzić, potrzebuje nieco ponad 40 proc. głosów. Duda musi dostać ponad połowę.

Dlatego festiwal budowania wyborczego wizerunku już ruszył. W ostatnim wywiadzie dla Polsatu prezydent skrytykował loty marszałka Kuchcińskiego, mrugnął też do wyborców liberalnych, sugerując, że może poprzeć ustawę ułatwiającą życie parom homoseksualnym. Jak na polityka PiS, to deklaracja zaskakująca.

Na razie jest faworytem. Podzielona opozycja nie ma pomysłu na dobrego konkurenta. Donald Tusk nie chce startować, obawiając się porażki – a część opozycji nie chce jego startu. Rafał Trzaskowski? Może, choć zmniejszył swoje szanse zaangażowaniem po stronie LGBT+. Albo inny samorządowiec?

Na razie Duda może więc spać spokojnie. ©

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Cała nadzieja w Krośnie

PAWEŁ BRAVO

Pan marszałek nie złamał prawa ani obyczajów, ale skoro państwo mają inne zdanie..." – tak Jarosław Kaczyński przypieczętował wystąpienie marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego, który tuż przedtem oznajmił, że „nie będzie mógł dłużej pełnić tej funkcji". Nie, nie podał się do dymisji w poczuciu odpowiedzialności za nadużycia uprawnień, tylko z jakiegoś tajemniczego powodu nie może już być marszałkiem – być może sam nie wie do końca dlaczego. W zakończeniu afery z setką przelotów, które Kuchciński zamawiał dla siebie jak taksówki, by wrócić na weekend do domu lub wziąć udział w partyjnych imprezach, to właśnie niuanse słowne wypowiadanych półgębkiem oświadczeń są najciekawsze.

Pan marszałek wylatał w trybie HEAD, bez dającej się wybronić racji, dobre 4 mln złotych, zabierając na pokład przy okazji kilkadziesiąt różnych osób ze swojej biologicznej i politycznej rodziny. To w sumie pospolita przypadłość każdej władzy. Bardziej oburza to, że potem kręcił, wypierał się i kazał to samo robić urzędnikom jego kancelarii; prawda o skali tych nadużyć wyszła na jaw dopiero dzięki prasie i posłom opozycji. Nie mówił całej prawdy także swojemu prezesowi, wedle nieoficjalnych informacji to właśnie było ostatecznym powodem, dla którego musiał ustąpić ze stanowiska. Nieszczery, kręcący marszałek okazał się za dużym ryzykiem w trakcie kampanii. Partia może bowiem kłamać wyborcom i zatajać prawdę, ale musi wiedzieć, co zataja i na jakiej faktycznej bazie buduje kłamstwo.

Kuchciński został na liście wyborczej do następnego Sejmu, z pierwszego miejsca w mocnym okręgu, bo przecież pozbawienie go źródła utrzymania byłoby wbrew regułom dworskiej polityki. Kaczyński dodał, że werdykt wyborców będzie realną, demokratyczną oceną zachowania byłego marszałka. Dobrze jednak wie, że na Podkarpaciu PiS może liczyć na tęgi, ślepy elektorat, który przełknie każdą woltę i nominację.

A może się mylę i mieszkańcy Krosna też będą mieli – tak jak uprzykrzone media – „inne zdanie"? ©℗

JANEK SKARŻYŃSKI / AFP / EAST NEWS

LECH MUSZYŃSKI / PAP

ODRA W MALCZYCACH MA 29 CM GŁĘBOKOŚCI. Podobnie sytuacja wygląda na większości polskich rzek. Poziom wody w Dunajcu utrudnia spływy w Pieninach, media donoszą, że flisacy muszą w niektórych miejscach usuwać z dna kamienie. Rzeczywiście, aż na 6 z 8 wodowskazów na Dunajcu obecny poziom wody plasuje się w strefie stanów niskich, w Nowym Sączu spadł do 77 cm. Poziom Wisły w Sandomierzu spadł do 85 cm, a na całym biegu tylko w 6 z 42 stacji pomiarowych mieści się w normie. Na Warcie, która w Uniejowie ma obecnie głębokość 44 cm, na żadnym wodowskazie nie zanotowano stanów normalnych. Głębokość Bugu we Frankopolu nie przekracza 54 cm i od początku miesiąca spadła o 6 cm. ©℗ MR

Gminy biorą chwilówki

DŁUGI W PARABANKACH na łączną kwotę 273 mln zł miały na koniec ub. roku 44 jednostki samorządu terytorialnego – tak wynika z ankiety, którą dla Ministerstwa Finansów przeprowadziły regionalne izby obrachunkowe. Samorządowcy odpowiadają, że resort zawyża statystyki.

Na początku marca, jak podaje Portal Samorządowy, Ministerstwo Finansów wystosowało do regionalnych izb obrachunkowych prośbę o informację na temat „zobowiązań zaciągniętych przez jednostki samorządu terytorialnego, które wykazują ekonomiczne podobieństwo do kredytu/pożyczki oraz zaciągniętych zobowiązań w instytucjach parabankowych".

Ankietę przeprowadzono już po raz drugi. W porównaniu z poprzednią, z 2016 r., zadłużenie JST w parabankach wzrosło o 66 proc. – ze 164 mln zł. Najwięcej chwilówek miały samorządy Małopolski. Łącznie na ponad 74,3 mln zł. Samorządowcy twierdzą, że metodologia RIO wprowadza zbędne zamieszanie, traktując jako pożyczkę w parabanku także leasing pozabankowy czy zobowiązania z tytułu przejęcia nieruchomości po Towarzystwach Budownictwa Społecznego. Nieoficjalnie przyznają jednak, że chwilówki coraz częściej stają się jedynym sposobem na załatanie dziury budżetowej, kiedy emisja nowych papierów dłużnych lub zaciągnięcie kredytów bankowych grozi gminie zarządem komisarycznym. Pożyczki w parabankach nie powiększają indywidualnego wskaźnika zadłużenia, bo twórcy polskiego ustroju samorządów terytorialnych... nie przewidzieli, że gminy mogą kiedyś sięgać po chwilówki.

O tym, jak groźna to zabawa, świadczy przypadek gminy Ostrowice, która 1 stycznia została na mocy specustawy zniesiona i połączona z sąsiednią. Władze Ostrowic zadłużyły ją w parabankach na ok. 43 mln zł. ©℗ MR

Johnson: brexit choćby i beze mnie

DARIUSZ ROSIAK

Premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson chce nowej umowy z Unią Europejską. Unia mówi, że nie będzie żadnej nowej umowy, zostaje stara, wynegocjowana przez Theresę May. Johnson uważa, że Unia jest uparta i nierozsądna, wcześniej czy później zgodzi się na negocjacje, a jego kraj opuści Wspólnotę 31 października na lepszych warunkach niż obecne.

Jest to mało możliwe nie tylko politycznie, ale również technicznie. Polityka Unii w sprawie brexitu nie jest wymysłem Jean-Claude'a Junckera ani Donalda Tuska, tylko wspólnym stanowiskiem 27 państw. Utrzymująca się od początku negocjacji jedność państw członkowskich jest ewenementem w historii Unii – bardzo rzadko w tak kluczowym i potencjalnie dzielącym momencie kraje Unii wykazywały taką jednomyślność.

Kalendarz daje Johnsonowi możliwość przeprowadzenia brexitu, nawet jeśli straciłby władzę. Na początku września, na jednym z pierwszych posiedzeń Izby Gmin labourzyści zgłoszą wniosek o wotum nieufności wobec rządu. Jeśli przejdzie (to prawdopodobne), premier będzie miał 14 dni na sformowanie nowej większości – co zapewne mu się nie uda i wtedy będzie musiał rozpisać wybory. Parlament zostanie zawieszony; jest możliwe, że 31 października, dzień brexitu, wypadłby w momencie kampanii wyborczej, czyli w przerwie prac Izby Gmin. Ktokolwiek wygrałby wybory, rządziłby krajem niebędącym już członkiem Unii.

Czy taka właśnie jest strategia Johnsona? Przeciwnicy brexitu twierdzą, że może to być blef premiera, którego celem jest „zmiękczenie" Unii. Zwolennicy – że Johnson się nie wycofa i brexit nastąpi bez względu na koszty. Jedno jest pewne: tego dnia nic się nie skończy; zacznie się kolejny rozdział brexitowej telenoweli. ©

Przepraszamy, chcemy swobód

TO ZNAK CZASÓW – w Hongkongu już nie tylko na ulicach miasta, ale także na terenie międzynarodowego lotniska trwają protesty w obronie autonomii. „Przepraszamy za niedogodności. Walczymy o przyszłość naszego domu"– napisali demonstranci na jednym z transparentów w hali przylotów (na zdjęciu).

ANTHONY WALLACE / AFP / EAST NEWS

Hongkong, do 1997 r. kolonia brytyjska, jest autonomiczną częścią Chin. W myśl zasady „jeden kraj, dwa systemy" działają tu wolna prasa i niezależne od Pekinu sądownictwo. Mieszkańcy obawiają się likwidacji swobód – kilka tygodni temu powodem zwołania pierwszego protestu była nowelizacja przepisów deportacyjnych, umożliwiająca sądzenie obywateli miasta na terenie ChRL. Potem doszły do tego żądania o śledztwo w sprawie brutalności policji, a nawet o dymisję Carrie Lam, szefowej administracji Hongkongu i zwolenniczki zbliżenia z Chinami.

W minionym tygodniu retoryka się zaostrzyła. „Ci, którzy igrają z ogniem, w końcu od niego zginą", groził urzędnik lokalnego rządu; Pekin oskarżył też Stany Zjednoczone o mieszanie się w jego wewnętrzne sprawy. Chiny liczą na to, że podobnie jak w 2014 r., po dwuipółmiesięcznych demonstracjach nieco na wyrost nazwanych „rewolucją parasolek", demonstracje stracą dynamikę. Jest to prawdopodobne. Ale od trzech dekad nad każdym antychińskim protestem kładzie się cień placu Tian'anmen; obserwatorzy ostrzegają, że w Hongkongu próba stłumienia protestów siłą może wywołać kampanię obywatelskiego nieposłuszeństwa, a w konsekwencji wręcz „ciche" powstanie. Nadzieją na pokojowe rozwiązanie konfliktu pozostaje jednak gospodarka. Wiele działających w Chinach firm ma siedziby w Hongkongu, a od miejscowych banków zależy spora część chińskiego rynku. Jak zaś czytamy obok – jego rozwój i konkurencyjność pozostaje dla Pekinu najważniejsza.

©℗ ŻYM

Między dolarem, juanem i frankiem

JUŻ NIE TYLKO ekonomiści i politolodzy śledzą kolejne zwroty konfliktu gospodarczego USA i Chin. Konsekwencje wojny celnej obu mocarstw widać także w kursie franka szwajcarskiego, od którego zależą raty kredytów mieszkaniowych 470 tysięcy polskich rodzin. Zaniepokojeni inwestorzy znów kupują tę walutę, której cena sięga już 4 zł.

Tymczasem spór gospodarczych gigantów nabiera temperatury. W pierwszych dniach sierpnia Pekin rozkołysał rynki finansowe, pozwalając, by po raz pierwszy od kryzysu w 2008 r. cena chińskiej waluty spadła poniżej 7 juanów za dolara. Waszyngton oficjalnie oskarżył Chiny o manipulacje kursowe, które szkodzą amerykańskim firmom zlecającym produkcję w Państwie Środka i zwiększają przy okazji i tak gigantyczną chińską nadwyżkę w bilansie handlowym z USA. Chiński Bank Centralny nie przyznał się naturalnie do interwencji, trudno jednak uwierzyć, że niespodziewane załamanie kursu juana nie miało związku z wystąpieniem prezydenta USA, który kilka dni wcześniej ogłosił – oczywiście na Twitterze – nałożenie od 1 września 10 proc. ceł na chiński eksport do USA warty 300 mld dolarów. Pekin formalnie odpowiedział na razie zakazem importu produktów rolnych z USA, głównie soi. Nie wyklucza jednak wprowadzenia ceł na inne amerykańskie produkty.

Chińczycy uważają, że Trump z premedytacją złamał warunki porozumienia, które zespół negocjatorów obu krajów wypracował na kilka dni przed pojawieniem się wpisu, w którym prezydent USA poinformował o nowych cłach. ©℗ MR

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

ANNA GOC opowie o problemach osób głuchych w systemie polskiej służby zdrowia (tekst na s. 28) w audycji Pawła Sulika „Popołudnie Radia Tok FM", w środę 14 sierpnia, godz. 18.40.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
www.tokfm.pl

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POKUTA. Prowincjał dominikanów o. Paweł Kozacki wysłał o. Pawła Gużyńskiego na trzytygodniową pokutę „do jednego z klasztorów kontemplacyjnych". O. Gużyński nawoływał niedawno do dymisji abp. Marka Jędraszewskiego za jego wypowiedź o „tęczowej zarazie". „Jako dominikanie we wszystkich naszych działaniach chcemy pozostać wierni dwóm zasadom jednocześnie: bronić potrzebujących oraz czynić to w jedności z Kościołem" – wyjaśniał prowincjał.

OBECNOŚĆ. Aż 14 kardynałów i biskupów, w tym osobisty przedstawiciel papieża kard. Angelo De Donatis, uczestniczyło w Międzynarodowym Festiwalu Młodych „Mladifest" w Medziugorju. W maju tego roku Franciszek zniósł zakaz organizowania kościelnych pielgrzymek do miejsca maryjnych objawień w Bośni i Hercegowinie.

PROBLEM. Konserwatywni chrześcijanie mają ponadprzeciętne problemy z pornografią – wynika z badań amerykańskiego socjologa prof. Samuela Perry'ego. Nie chodzi o częstsze jej oglądanie. Wywołuje ona natomiast u nich poważniejsze skutki psychologiczne: ze względu na silne potępienie grzechów seksualnych przez Kościoły (badanie dotyczy protestantów) oglądanie porno wywołuje silne poczucie winy, wstydu, zwątpienia w siebie i niemożności nawrócenia. Skutkuje to nawet porzuceniem wiary czy rozpadami rodzin.

MAMONA. „Świątynia była nie tylko centrum religijnym, ale także miejscem handlu: przeciw temu jej poniżaniu burzyli się prorocy, a także sam Jezus. Ileż razy o tym myślę, widząc jakąś parafię, gdzie myśli się, że pieniądze są ważniejsze od sakramentów" – powiedział Franciszek w katechezie środowej.

Kościoły przeciw karaniu za pomoc migrantom

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

Milion euro kary zapłacą teraz ratujący imigrantów na Morzu Śródziemnym – włoski Senat przewagą jednego głosu przegłosował poprawioną wersję dekretu o bezpieczeństwie. Nowelizacja wzbudziła gwałtowny sprzeciw włoskich Kościołów katolickiego i ewangelickiego. Dekret jest oczkiem w głowie wicepremiera Mattea Salviniego.

„Nadszedł czas oporu ludzkiego i obywatelskiego"– zareagował na Twitterze jezuita o. Antonio Spadaro, naczelny „Civiltà Cattolica". Paolo Giulietti, arcybiskup Lukki, podczas manifestacji sieci stowarzyszeń Libera demonstrował plakat z napisem „Brak człowieczeństwa nie może być prawem". Zaś watykański dziennik „Avvenire" na pierwszej stronie dał tytuł „(In)sicurezza al bis" ((Nie)bezpieczeństwo bis). „Właściwsza i uczciwsza byłaby nazwa »dekret kryminalizacja«" – ocenił Luca Maria Negro, przewodniczący Federacji Kościołów Ewangelickich we Włoszech (FCEI). Wielu włoskich księży wzywa prezydenta Sergia Mattarellę do zawetowania dekretu, rozpowszechniając przy pomocy Twittera hasztag #Mattarellanonfirmare (Mattarellaniepodpisuj).

We Włoszech mamy do czynienia z bezprecedensową kryminalizacją przykazania miłości bliźniego. ©

TOMASZ GZELL / PAP

Różne słowa na drogę

TRWA SEZON PIELGRZYMKOWY: jasnogórscy paulini zastanawiają się, czy padnie kolejny rekord (do Częstochowy rok temu przybyło 4,3 mln pielgrzymów). W pielgrzymkach uczestniczy rocznie 6-7 mln Polaków, w Polsce działa 1050 sanktuariów, w tym 793 maryjne.

Wyruszających pątników na ogół żegnają biskupi, stawiając w homiliach wyzwania duchowe. W tym roku dominują te związane z trwającym konfliktem kulturowym. „Modlimy się za tych, którzy demonstrują nienawiść do prawa Bożego, a przy tym zarzucają wierzącym, że są nietolerancyjni" – mówił 6 sierpnia do pielgrzymów radomskich bp Henryk Tomasik. „Weźcie w tym roku do swoich serc akt ekspiacji i przeproszenia za znieważanie jasnogórskiego obrazu" – dodał delegat KEP ds. pielgrzymek ks. Marian Janus.

Kard. Kazimierz Nycz mówił natomiast pielgrzymom warszawskim o Ewangelii na co dzień, która powinna być obecna „w naszym życiu, w przebaczeniu, w przezwyciężaniu wszelkiej nienawiści; w życiu społecznym, w mediach". ©℗ MAM

Nowa świątynia Stambułu

TO PIERWSZY chrześcijański kościół, jaki powstanie w Turcji od czasów sułtanatu. W stambulskiej dzielnicy Yeşilköy ruszyła budowa syryjskiego kościoła prawosławnego. Odkąd w 1923 r. miejsce Imperium Osmańskiego zajęła świecka republika, chrześcijanie mogli remontować swoje kościoły, ale nie wolno im było budować nowych. Paradoksalnie religijną odwilż przyniosły rządy islamistycznej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju, która po kilkunastu latach budowania w kraju meczetów zgodziła się w 2015 r. na kościół. „Wierzę, że dzięki hojności darczyńców budowa szybko się zakończy, a świątynia stanie się kolejnym bogactwem naszego Stambułu" – powiedział podczas wmurowywania kamienia węgielnego prezydent Recep Tayyip Erdoğan. Towarzyszył mu metropolita kościoła syryjskiego Yusuf Çetin, zaś w uroczystości wzięli udział przedstawiciele różnych chrześcijańskich obrządków, m.in. prawosławny patriarcha Konstantynopola Bartłomiej. Katolików reprezentowali wikariusz apostolski Stambułu o. Rubén Tierrablanca Gonzalez i kapucyn – br. Paweł Szymala.

W Stambule mieszka dziś około 18 tys. syryjskich prawosławnych (ich liczba znacznie wzrosła, odkąd w Syrii wybuchła wojna domowa). Jedyny kościół, który mieli do dyspozycji, od dawna był za mały. Świątynia pod wezwaniem Efrema Syryjczyka będzie liczyć ponad 4 tys. metrów kwadratowych. Prócz kościoła będzie się w niej mieścić centrum kultury, siedziba władz kościelnych, a nawet dwukondygnacyjny parking podziemny.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ
z Izmiru

CERN

Peter van Nieuwenhuizen, Sergio Ferrara i Daniel Z. Freedman

Wpływowa teoria bez cząstek

„POJĘCIE ARCYDZIEŁA zazwyczaj kojarzy się z muzyką, literaturą i innymi dziedzinami sztuki. Tymczasem wiele najwspanialszych wytworów ludzkiej myśli pochodzi od naukowców" – uważa rosyjski miliarder Jurij Milner (z wykształcenia fizyk cząstek), pomysłodawca i główny fundator Breakthrough Prize, nagrody przyznawanej corocznie za przełomowe osiągnięcia w dziedzinach matematyki, fizyki oraz nauk o życiu. Opiewająca na okrągłe 3 mln dolarów, jest najwyższą nagrodą pieniężną w świecie nauki (dla porównania: Nobel to ok. 1,2 mln dolarów).

6 sierpnia ogłoszono przyznanie dodatkowej, „specjalnej" Breakthrough Prize w dziedzinie fizyki fundamentalnej. Trafi ona do Sergiego Ferrary, Daniela Freedmana i Petera van Nieuwenhuizena, którzy przeszło 40 lat temu opracowali tzw. teorię supergrawitacji. Była to pierwsza zaawansowana próba pożenienia ze sobą dwóch filarów współczesnej fizyki: ogólnej teorii względności Einsteina oraz krzepnącego wówczas modelu standardowego fizyki cząstek elementarnych. Niestety supergrawitacja nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań – w akceleratorach wciąż nie natrafiono na żaden ślad wymaganych przez nią tzw. cząstek supersymetrycznych, a fizycy do dziś nie wiedzą, jak skwantować grawitację. Kapituła nagrody podkreśla jednak, że supergrawitacja nadała kierunek wielu dalszym poszukiwaniom tzw. teorii wszystkiego. Krytycy zauważają kwaśno, że lepsze od teorii wpływowych byłyby teorie potwierdzone.

© TOMASZ MILLER

KULTURA W SKRÓCIE

STACJA.
W 2023 r. w Antarktyce powstanie nowy – i nowocześniejszy – budynek Polskiej Stacji Badawczej im. Henryka Arctowskiego. Efektowny projekt przygotowała pracownia Kuryłowicz & Associates, koszt budowy to ok. 88 mln zł.

TRANSFER.
Scenarzyści David Benioff i Dan Weiss, twórcy słynnej „Gry o tron" na podstawie powieściowego cyklu George'a R.R. Martina, zakończyli współpracę z HBO i przeszli do stajni Netfliksa, inkasując przy okazji okrągłą sumę 200 mln dolarów.

CASTING PO POLSKU.
Jesienią na antenę TVN wróci kontrowersyjny „Big Brother". O oglądalność stacja chyba nie musi się martwić, skoro samą chęć udziału w nowej edycji programu wyraziło 26 tys. osób.

CASTING PO ANGIELSKU.
W najnowszym filmie o Jamesie Bondzie – ostatnim, w którym w tytułowej roli wystąpi Daniel Craig – może zagrać książę Karol. „Independent" twierdzi, że jako uosobienie wszystkiego, co brytyjskie, następca tronu nie tylko otrzymał propozycję od twórców serii, ale że odwiedził również plan filmowy.

NAGRODA.
Na festiwalu Stolica Języka Polskiego w Szczebrzeszynie nagrodę Wielkiego Redaktora otrzymała Małgorzata Szczurek, założycielka krakowskiego wydawnictwa Karakter, pracująca także nad powieściami Wiesława Myśliwskiego.

GRAŻYNA MAKARA

Wege nie nad Wisłą

W UBIEGŁYM ROKU ZJEDLIŚMY, jak podał GUS, 77 kg mięsa na osobę, czyli o prawie 7 kg więcej niż rok wcześniej. A ściślej – na naszych stołach było w bród wieprzowiny i drobiu, ponieważ spożycie wołowiny spadło, raczej jednak nie z powodu zwiększonej świadomości ekologicznej (ten rodzaj mięsa ma największy „ślad węglowy" i hodowla bydła rogatego czyni największe spustoszenia przyrodnicze). Odpowiedzialna jest za to cena, wołowina pozostaje relatywnie droga – ceny zaś i tak taniej wieprzowiny w zeszłym roku jeszcze spadły. Niskie ceny miały też, zdaniem badaczy zachowań konsumemckich, wpływ na zwiększenie spożycia jaj i mleka. Tym bardziej widać, jak przesadzone były medialne doniesienia o badaniach, z których wynika, iż Polacy przestawiają się na dietę roślinną. Weganizm pozostaje nadal niszowym wielkomiejskim zjawiskiem, w skali masowej moda przegrywa z tradycją i budżetem.

©℗ PAWEŁ BRAVO

STEPHANE CHARMOILLAUX / SOLENT NEWS / / EAST NEWS

Krajobraz po człowieku

WYSPY NOWEJ ZELANDII – która w zasadzie jest zatopionym kontynentem – przez całe wieki były ptasim rajem. Ta grupa organizmów zdominowała lokalną faunę w stopniu niespotykanym w żadnym innym miejscu na świecie. Występowało tam wiele unikalnych linii ewolucyjnych, takich jak te, których przedstawicielami były wymarłe nielotne olbrzymy: moa i mamutaki, oraz nadal są kakapo, najcięższe, jedyne nielotne papugi – czy kiwi.

Kolonizacja tego regionu przez wywodzących się z Polinezji Maorysów zaledwie 700 lat temu, do których 200–300 lat temu dołączyli mieszkańcy Europy, doprowadziła do ogromnych zmian nowozelandzkiej fauny. Jak szacują Luis Valente z Muzeum Historii Naturalnej w Berlinie i współpracownicy w artykule opublikowanym ostatnio w „Current Biology", od czasu przybycia człowieka wymarła połowa gatunków tamtejszych ptaków, a wiele innych jest zagrożonych wyginięciem. Badacze wyliczyli, że natura potrzebowałaby 50 mln lat, by odbudować bogactwo utraconych gatunków. Izolowane środowisko wysp jest niestety nie tylko wspaniałym laboratorium biologicznej różnorodności, ale także frontem antropogenicznych wymierań.

©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

PIERWSZA OSTATNIA RODZINA

Przebudowując kraj na własną modłę, Jarosław Kaczyński przeprowadza proces państwowej gloryfikacji swej rodziny. Nawet jego bardzo odlegli kuzyni mają w dzisiejszej Polsce status niemal królewski.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jarosław Kaczyński buduje dla partii i dla wyborców odrębny świat, w którym jego matka, brat, ich przodkowie oraz kuzyni stanowią panteon wzorców i cnót. (2018)

FOTOGRAFIE: SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA // LASKI DIFFUSION / EAST NEWS // ARCHIWUM RODZINNE / EAST NEWS // MAREK KAREWICZ / EAST NEWS // MACIEJ BIEDRZYCKI / FORUM // MICHAŁ DYJUK / REPORTER /// MONTAŻ „TP"

Jest środa 16 stycznia 2019 r., dwa dni po śmierci Pawła Adamowicza. Rano w Sejmie wspomnienie o prezydencie Gdańska, jest minuta ciszy i modlitwa. Lider PiS Jarosław Kaczyński przychodzi po uroczystości – to spóźnienie zaplanowane. Od niedzieli, gdy podczas koncertu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy świeżo wypuszczony z więzienia recydywista wbił nóż w serce Adamowicza, najważniejszy człowiek w Polsce milczy. Wydaje jedynie suche oświadczenie i zamawia nekrologi w trzech gazetach.

Ta sama środa 16 stycznia, wieczór. To wigilia rocznicy śmierci matki Kaczyńskiego, Jadwigi. Prezes PiS jak co roku jest w Starachowicach w Świętokrzyskiem – tu się urodziła, spędziła dzieciństwo i wczesną, wojenną młodość. Tradycyjna msza w kościele Wszystkich Świętych jest jednak tym razem inna – na żywo transmituje ją TVP Info, sterowana przez czytającego w myślach i pragnieniach prezesa Jacka Kurskiego.

To element wyjątkowej celebracji przez Kaczyńskiego nieokrągłej, szóstej rocznicy śmierci matki.

Zresztą tej rodzinnej celebracji jest w tym wyjątkowym czasie więcej. Dzień przed pogrzebem Adamowicza Kaczyński zabiera wierchuszkę PiS na Wawel, gdzie spoczywa jego brat. Nieistotne, że część z przybyłych znała Lecha Kaczyńskiego słabo, a niektórzy – jak premier Mateusz Morawiecki – wcale. Ważne jest to, że równolegle do smutku tysięcy Polaków po Adamowiczu Kaczyński urządza dla swego elektoratu festiwal żałoby konkurencyjnej. Może się nawet wydawać, że to on jest głównym żałobnikiem – choć przecież to nieprawda.

Nie ma w tym przypadku. Jarosław Kaczyński buduje dla swej partii i dla wyborców odrębny świat, w którym jego matka, brat, ich przodkowie oraz kuzyni stanowią panteon wzorców i zasób cnót. Kaczyński zawsze uważał swą rodzinę za wybraną. Przyczyn tego zjawiska należy szukać w jego myśleniu, w którym klan Kaczyńskich i ich kuzynów doświadczył w XIX i XX w. ciężkiego losu elity polskiej inteligencji, walcząc z zaborcami i okupantami, potem stawiając opór komunistom zainstalowanym w Polsce przez Kreml, wreszcie odmawiając kolaboracji z postkomunistami, którzy tworzyli zręby III RP. To obraz czysty i niezłomny. Pomnikowy.

Wykład na temat rodzinnego patriotyzmu dał Kaczyński w biograficznej książce „O dwóch takich...". Są w nim powstania listopadowe i styczniowe, jest wojna z bolszewikami, konspiracja i nieskażony antykomunizm. W tej wersji nawet carscy oficerowie z rodziny w końcu okazują się patriotami.

Katastrofa smoleńska w 2010 r. umocniła te mesjanistyczne przekonania prezesa. Gdy PiS wygrało wybory, plan gloryfikacji rodziny był już gotowy, trzeba go było tylko przełożyć na instrumenty i działania władzy.

Na Wawelu z Piłsudskim

W planie zbudowania mitu rodziny Kaczyńskich szczególną rolę odgrywa nieżyjący prezydent. Tragiczna wyprawa do katyńskiego lasu nadała jego śmierci wyjątkową symbolikę. Stąd już tylko krok na obeliski, pomniki i na karty podręczników historii. Tak też rozumował Jarosław Kaczyński, jeszcze zanim wysypał ostatnie grudki ziemi na trumny swych politycznych towarzyszy, którzy zginęli w Smoleńsku. Pochówek Lecha Kaczyńskiego na Wawelu był – mimo traumy w PiS – bardzo świadomą decyzją, podjętą na politycznych i intelektualnych szczytach partii. I przy pełnej akceptacji Jarosława Kaczyńskiego. Odrzucony został pomysł pochowania prezydenta w kwaterze powstańców warszawskich na Powązkach Wojskowych. Uznano, że grób w ziemi – taki jak ich groby – to historyczny synonim narodowej porażki.

Decyzja o pogrzebie na Wawelu była pierwszą, która zburzyła wspólną narodową żałobę po Smoleńsku. Ale jednocześnie od razu wskazywała, jaki jest plan prezesa PiS – budowa mitu brata.

Organizowane przez osiem lat miesięcznice miały na celu nie tylko – a nawet nie przede wszystkim – podtrzymanie mobilizacji elektoratu czy też lansowanie spiskowych teorii Antoniego Macierewicza. Chodziło o mitologizację życia i śmierci Lecha Kaczyńskiego oraz tworzenie klimatu dla wznoszenia jego pomników i nazywania ulic jego imieniem.

Kaczyński, papież, Popiełuszko

Początkowo szkoły, pomniki i ulice imienia powstawały tam, gdzie rządzili samorządowcy bliscy PiS. Dyrektorem pierwszej szkoły im. Lecha Kaczyńskiego – w Chełchach na Mazurach – jest Karol Marchel, samorządowiec PiS i działacz klubów „Gazety Polskiej".

Wraz z obraniem na patrona podstawówki prezydenta (już w kilkanaście dni po jego śmierci) tamtejsze gimnazjum – także kierowane przez Marchela – nazwano imieniem księdza Jerzego Popiełuszki. Prezes Kaczyński przysłał list: „Zarówno śmierć prezydenta, jak i kapelana to święta ofiara, która wprost krzyczy, że w naszym życiu społecznym i państwowym potrzeba prawdy, sprawiedliwości i uczciwości. Ofiara, która każdego prawego Polaka zobowiązuje do niezgody na niesprawiedliwość i kłamstwo, a także do budowania Polski prawej i solidarnej wokół siebie, w Chełchach i całej Ojczyźnie".

Kolejne było Podsarnie pod Nowym Targiem – w 2011 r. (szkołą kieruje żona posła PiS Edwarda Siarki), w 2017 r. Bujny w Łódzkiem i Chłopice na Podkarpaciu, w tym roku – Cieszyn w Wielkopolsce.

Od momentu dojścia do władzy PiS ma dla uczniów w niektórych regionach dodatkową ofertę – konkursy o Lechu Kaczyńskim. Np. na Mazowszu organizuje je kuratorium, na Podkarpaciu – partia razem z IPN. Tematy co roku podobne: „Rola Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w budowaniu dumy narodowej" . „NSZZ »Solidarność«, Lech Kaczyński, św. Jan Paweł II – wspólna rola w odbudowie Polski po 1989 r.", „Prezydent Lech Kaczyński jako lider państw Europy Środkowej i Wschodniej". „Życiowa postawa prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Czy warto być wiernym do końca?".

Kariery na pomnikach

Pierwsza tablica upamiętniająca prezydenta powstała w Skórczu na Pomorzu, odsłonięto ją niewiele ponad miesiąc po katastrofie. W 2013 r. odsłonięto pomnik w centrum Radomia. „Jestem przekonany, że to nie ostatni pomnik.

↦

↦ W Polsce mamy do czynienia z potężnym frontem zła, z którym mój brat skutecznie walczył. A gdyby nie katastrofa smoleńska, na pewno by tę walkę wygrał" – mówił podczas uroczystości lider PiS.

W kwietniu 2014 r. odsłonięto pomnik w Dębicy na Podkarpaciu (odwrócony ogon tupolewa, na którym osadzono wykonane z brązu popiersie Lecha Kaczyńskiego, wyłaniające się z całunu). We wrześniu 2014 r. powstał pomnik w Siedlcach (prezydent trzyma na nim księgę z logo PiS). Dalej Grudziądz, Mińsk Mazowiecki i Szczecin, a w planach Białystok i Lublin.

Do tego liczone w setkach pomniki i tablice ku czci ofiar katastrofy smoleńskiej, a także upamiętnienia Lecha Kaczyńskiego na terenach kościelnych w całej Polsce.

Dla niektórych działaczy prawicy był to autentyczny odruch serca, inni pomnikami starali się wkraść w prezesowskie łaski. Przez lata tak działał Antoni Macierewicz. Już jako szef MON w smoleńską rocznicę w 2017 r. ustawił popiersie prezydenta na wojskowym terenie, przyległym do placu Piłsudskiego w Warszawie, i wystawił przy nim warty. Wieczorem popiersie schowano, bo okazało się, że jest przenośne.

Na pomnikach zbudował swą karierę wicepremier Jacek Sasin. Choć był wiceszefem kancelarii Lecha Kaczyńskiego, to tak naprawdę nie znał prezydenta blisko. Po Smoleńsku potrafił za to obsadzić się w roli kustosza jego pamięci. Najpierw wystartował w nieformalnym wyścigu na pierwszy w Polsce pomnik prezydenta – chciał go postawić w rodzinnym Wołominie w 2011 r. Skończyło się konfliktem między mieszkańcami. W związku z tym latem 2012 r. pomnik stanął na leśnym terenie otaczającym cmentarz wojenny w Ossowie, na którym spoczywają polscy żołnierze polegli w bitwie warszawskiej z bolszewikami w 1920 r.

Znów obok Piłsudskiego

Po dojściu do władzy PiS sytuacja przyspieszyła – Jarosław Kaczyński zyskał instrumenty do państwowej intronizacji swej rodziny. Widać to było szczególnie w Warszawie, gdzie rządząca miastem Platforma chciała uniemożliwić budowanie mitu i przez lata nie zgadzała się na pomnik prezydenta. Mazowiecki PiS zaczął od samowolki budowlanej i w kwietniu 2016 r. ustawił głaz z wyjątkowo szpetną płaskorzeźbą prezydenta na dziedzińcu stołecznego ratusza. Napis na głazie głosi, że prezydent „poległ" – co negatywnie zaopiniowała Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, tłumacząc, że to określenie zarezerwowane dla żołnierzy, którzy ginęli w boju. W sierpniu 2016 r. rząd PiS rozwiązał Radę. Głaz – po zmianie płaskorzeźby – na stałe wszedł do prezydenckiego panteonu PiS. Już jesienią 2016 r. ówczesna minister rodziny Elżbieta Rafalska składała tam kwiaty z okazji 14. rocznicy zaprzysiężenia Lecha Kaczyńskiego na prezydenta stolicy.

Ale szczególną energię PiS włożyło w walkę o pomniki w zabytkowym centrum miasta. Zaraz po Smoleńsku Kaczyński zaczynał skromnie – oczekiwał pomnika ofiar w poczesnym miejscu stolicy. Jednak wraz z upływem czasu postulat ewoluował i w finale prezes oczekiwał dwóch pomników – jednego dla ofiar, ale odrębnego dla brata.

Właśnie wedle tego scenariusza po wyborach nowy rząd PiS najpierw odebrał zarząd nad placem Piłsudskiego stołecznemu samorządowi. Potem społeczny komitet prowadzony ręką Sasina przeprowadził dwa konkursy na pomniki. Ponieważ propozycje pomnika prezydenta nie zadowalały Kaczyńskiego, autora jedynej wyróżnionej pracy skłoniono do tego, by porzucił swe artystyczne wizje (ciąg drzwi, przez które przechodzi prezydent pozostawiając swe odbicie) i stworzył klasyczny pomnik.

Dziś na placu, gdzie są szczególnie patriotyczne symbole, są też dwa pomniki ustawione wedle woli prezesa, służące ugruntowaniu wiekuistej pamięci o bracie i jego śmierci. Sasin zapewnia, że wbrew pozorom pomnik Lecha Kaczyńskiego nie jest większy od znajdującego się nieopodal pomnika Józefa Piłsudskiego. Mają być tej samej wielkości. Mniej więcej.

Kaczyński zamiast komunistów

Pierwsza zbudowana od podstaw ulica im. Lecha Kaczyńskiego powstała w 2011 r. w Kielcach, choć wcześniej – latem 2010 r. – otwarto skwer Lecha i Marii Kaczyńskich w Sopocie, gdzie mieszkali wiele lat. Dziś wszystkie ulice, ronda i skwery nieżyjącego prezydenta (czasem z małżonką) trudno zliczyć. Początkowo inicjatywy szły z samorządu, choć oczywiście głównie z kręgów PiS – Sieradz, Świdnica, Gdynia, Ostrołęka, Pułtusk, Zgierz, Rumia, Lublin, Zakopane, Siedlce, Wrocław.

Jednak przyspieszenie było już centralne. Jako pretekst PiS wykorzystało przymusową dekomunizację ulic, uchwaloną zaraz na początku rządów – w kwietniu 2016 r. Po usunięciu starych patronów powstało miejsce dla nowych, a samorządy, w których PiS jest silne, z miejsca zasypały mapy Lechami Kaczyńskimi. Jeśli zaś były oporne, wkraczał rządowy wojewoda. Lech Kaczyński zamiast Planu 6-letniego w Bydgoszczy, Lech Kaczyński za Dąbrowszczaków w Gdańsku, a w towarzystwie Marii – za ul. 19 Stycznia w Bełchatowie. Lech Kaczyński za pl. Zwycięstwa w Łodzi był tylko kilka dni, bo samorząd wygrał z wojewodą przed sądem. W Warszawie polityczno-sądowy bój trwał kilka miesięcy. Przed sądem Lech Kaczyński ostatecznie przegrał z Armią Ludową. Jest w tym paradoks – samorządowcy z Platformy byli nawet gotowi bronić ulicznego uhonorowania związanej z komuistami armii. To dlatego, że Kaczyński chce brata wprowadzić na tabliczki ulic i cokoły pomników szybko, bez konsultacji, które uważa za próbę utrudnienia budowy mitu.

I stawia na ilość. Widać to wyraźnie tam, gdzie rząd może nadawać nazwy samodzielnie, bez oglądania się na samorządy. Pierwszy – w połowie 2016 r. – zyskał nazwę „im. Lecha Kaczyńskiego" gazoport w Świnoujściu. Prezes PiS odsłonił okolicznościową tablicę w 67. rocznicę urodzin Lecha (i swoich). Była też Marta Kaczyńska. Zgromadzeni na placu związkowcy krzyczeli: „Chwała bohaterom!".

Na początku 2017 r. imię prezydenta nadano Krajowej Szkole Administracji Publicznej, placówce kształcącej urzędników.

W 2016 r. odsłonięto tablicę ku pamięci Lecha Kaczyńskiego w Kancelarii Prezydenta, w 2017 r. – w Kancelarii Premiera. W 2018 r. tablicę Lechowi Kaczyńskiemu poświęcono w Sejmie (tuż obok tablicy upamiętniającej Jana Pawła II), a odrębną zapowiedziano w Senacie.

Żeby nadać Lechowi Kaczyńskiemu szczególną, historyczną rolę, obóz władzy próbuje przedefiniować rzeczywiste role działaczy opozycji antykomunistycznej w czasach PRL. Wojna PiS z Lechem Wałęsą o jego kontakty z SB służy tak naprawdę zrzuceniu historycznego lidera Solidarności z cokołu, by ustawić na nim Lecha Kaczyńskiego. Rzeczywiście, Kaczyński był ważną postacią Solidarności, zwłaszcza w momencie przełomu 1989/90 r. Ale to nie on był bohaterem emocji Polaków w sierpniu 1980 r., a w latach 80. nie on symbolizował walkę o demokrację. Bohaterem i symbolem był Wałęsa, nawet jeśli kiedyś był skażony kontaktami z bezpieką, a dziś bywa grubiański i groteskowy. Mimo to mazowieckie kuratorium, przedstawiając założenia konkursu o bohaterach opozycji antykomunistycznej w roku szkolnym 2017/2018, zapomniało o Wałęsie, Kuroniu, Mazowieckim czy Frasyniuku, pamiętało za to o Kaczyńskim, Macierewiczu oraz o ojcu premiera, Kornelu Morawieckim. Był także Jan Józef Lipski, którego matka braci Kaczyńskich znała od studiów, a potem pracowali w jednym pokoju w Instytucie Badań Literackich PAN. To on wciągnął Jarosława Kaczyńskiego do opozycji antykomunistycznej.

Wszystko dla matki

Upamiętnienie matki obu braci do niedawna nie wykraczało poza lokalny, starachowicki wymiar.

Tablica w Starachowicach została odsłonięta przez prezesa PiS w styczniu 2014 r., rok po śmierci Jadwigi Kaczyńskiej. Tablicę wmurowano w Panteonie Pamięci Narodu Polskiego na placu przed kościołem Wszystkich Świętych. Już po objęciu władzy przez PiS – jesienią 2016 r. – imieniem Jadwigi Kaczyńskiej nazwano jedną z ulic, która biegnie przy Skwerze Ofiar Zbrodni Katyńskiej i dochodzi do ronda Lecha Kaczyńskiego.

Próba rozszerzenia tego lokalnego kultu rozpoczęła się w 2018 r. Przy okazji piątej rocznicy śmierci TVP nadała w najlepszym czasie antenowym – tuż po „Teleexpressie" i na koniec głównego wydania „Wiadomości" – materiał wspomnieniowy o Jadwidze Kaczyńskiej. W maju tego samego roku – dzięki staraniom amerykańskiej, mocno związanej z PiS Polonii – jej imieniem nazwano uliczkę na chicagowskim Jackowie, oczywiście nieopodal ulicy Lecha Kaczyńskiego. Co prawda w obu przypadkach to rodzaj występującego w Chicago honorowego upamiętnienia, bo oficjalne nazwy ulic nie zostały zmienione. Ale posłanka Anna Paluch (PiS) odczytała zebranym list od prezesa Kaczyńskiego, zaś posłanka Barbara Chrobak (Kukiz'15) przedstawiła biografię patronki.

Rok później była już transmisja ze starachowickiej mszy w TVP Info. A także okolicznościowe nabożeństwo w kościele Św. Krzyża w Warszawie. Rocznicowa msza to oczywiście święte prawo rodziny i standard wśród wierzących. Wyjątkowość tej sytuacji polegała jednak na tym, kto na owej mszy się pojawił. Byli ci, którzy czują, że to dobrze widziane politycznie: Antoni Macierewicz, Jacek Kurski, Jacek Sasin, koordynator służb specjalnych Mariusz Kamiński, rzeczniczka rządu Joanna Kopcińska, prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska. Znów: większość z nich znała zmarłą słabo lub wcale.

Obaj bracia Kaczyńscy mieli na punkcie matki obsesję. To ona była najważniejszą osobą w ich życiu, miała na nich decydujący wpływ, ukształtowała ich poglądy.

Ale – powiedzieć to trzeba wprost – Jadwiga Kaczyńska nie miała z punktu widzenia państwa żadnych wielkich zasług ani osiągnięć. Wychowując synów w kulcie Powstania Warszawskiego, sama – wbrew powszechnemu przekonaniu, budowanemu przez niedopowiedzenia – wcale w nim nie uczestniczyła. Była sanitariuszką w Szarych Szeregach, tyle że starachowickich. Pracując większość życia w PAN, nie zrobiła nawet doktoratu – to był przez lata powód frustracji braci.

To, za co jako literaturoznawca zostanie Kaczyńska zapamiętana, to analiza dzieł Leona Kruczkowskiego, pisarza o istotnym dorobku, tyle że żarliwego komunisty, którego IPN za rządów PiS umieściło na liście do ulicznej dekomunizacji. Czy to dowód na jej afirmację PRL? Nic podobnego. Raczej brak asertywności, bo wiele wskazuje na to, że Kruczkowskiego jej narzucono. Ale czy w świecie czarno-białych ocen wystawianych przez Jarosława Kaczyńskiego taka postawa mogłaby liczyć na rozgrzeszenie, gdyby nie dotyczyła jego matki?

Matka była najważniejszą osobą w życiu braci, miała na nich decydujący wpływ, ukształtowała ich poglądy. (1950)

Na tablicy w Starachowicach jest napis: „Jadwidze Kaczyńskiej z wdzięczności za dar życia Prezydenta i Premiera RP – w I rocznicę śmierci. Mieszkańcy Starachowic". To oddaje sens upamiętniania Jadwigi Kaczyńskiej – była matką Lecha i Jarosława. Tyle że żadna inna matka nie jest dziś tak przez obóz władzy czczona. Ani matka błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki – Marianna, która zmarła w tym samym roku, co Jadwiga Kaczyńska. Ani nawet Emilia Wojtyła, matka świętego – przypadająca w tym roku 90. rocznica jej śmierci przeszła bez echa.

Wygumkowany ojciec

W przeciwieństwie do gloryfikowanej ponad miarę matki ojciec jest ponad miarę wykluczany z rodzinnego mitu. ↦

↦ A powinien być w jego epicentrum. Bracia prawie nigdy o Rajmundzie Kaczyńskim nie mówili, stąd przekonanie, że wcześnie zmarł. Nic podobnego. Żył w zdrowiu do kwietnia 2005 r., zmarł krótko przed zwycięstwem Lecha w wyborach prezydenckich i wiktorią Jarosława w wyborach do Sejmu.

Gdy w 2013 r. Jarosław żegnał matkę, wygłosił płomienne przemówienie. Na pogrzebie ojca żaden z braci nie zabrał nawet głosu.

To zdumiewające, bo to Rajmund Kaczyński był wojennym bohaterem, nie zaś jego żona. W pierwszej godzinie Powstania Warszawskiego został ranny w rękę. Mimo amputacji palca walczył w powstaniu do końca, za co został odznaczony m.in. Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych. Po upadku powstania uciekł z obozu w Skierniewicach, ukrywając się pod ciałami zmarłych. A mimo to nie dla niego tablice, skwery i ulice.

W przeciwieństwie do gloryfikowanej ponad miarę matki ojciec jest ponad miarę wykluczany z rodzinnego mitu. (Rodzina Kaczyńskich, Sopot, 1954)

Niezwiązani z PiS biografowie Kaczyńskich stawiają kilka tez, które mają to wytłumaczyć. Po pierwsze, Kaczyński senior nie miał nabożnego stosunku do powstania i dystansował się od mesjanistycznej wizji historii Polski, wtłaczanej w głowy braci przez ich matkę. W PRL był pragmatykiem – do partii nie wstąpił, ale od ludzi partii nie stronił, dzięki czemu Kaczyńscy byli rodziną zamożną i na swój sposób elitarną. Po wtóre, w III RP krytycznie podchodził do polityki swych synów, sympatyzując raczej z obozem przeciwnym. Miał się z nimi wielokrotnie kłócić o politykę, zwłaszcza z Jarosławem. Po trzecie wreszcie, miał łatkę kobieciarza, a jego relacje z ukochaną przez braci Jadwigą Kaczyńską bywały szorstkie.

W tej sytuacji nic dziwnego, że nie ma go dziś w oficjalnej rządowej propagandzie.

Ojciec chrzestny

Siostrą Jadwigi Kaczyńskiej była Irena Tomaszewska. Wyszła za Stanisława Tomaszewskiego, znanego pod okupacyjnym pseudonimem „Miedza". To niebywale ważna postać w biografii braci. Po pierwsze, był ojcem chrzestnym Lecha i to on zgłosił bliźniaków do filmu „O dwóch takich, co ukradli księżyc". Po wtóre – z powodu napiętych relacji z ojcem to „Miedza" stał się dla braci punktem odniesienia. W odróżnieniu od Rajmunda Kaczyńskiego gloryfikował powstanie i snuł na jego temat barwne opowieści. „Jego wpływ na kształtowanie charakterów i zainteresowań braci Kaczyńskich jest nie do przecenienia" – pisze Sławomir Cenckiewicz w książce „Lech Kaczyński. Biografia polityczna 1949–2005".

Trzeba to powiedzieć jasno: „Miedza" był bohaterem. Jako plastyk Biura Informacji i Propagandy Armii Krajowej tworzył karykatury wyśmiewające okupantów, a także satyryczne pismo, które miało obniżać morale niemieckich żołnierzy. W 1941 r. został złapany przez Gestapo i trafił na Pawiak, gdzie był torturowany. Grypsem poprosił towarzyszy z AK o truciznę, ale przysłali mu bakterię tyfusu. Celowo się zaraził, żeby trafić do szpitala. Tam sfingowany został zgon – na jego miejsce podstawiono zmarłego mężczyznę, który spoczął w grobie jako Stanisław Tomaszewski. „Miedza" uciekł w przebraniu sanitariusza. Po zakończeniu wojny związał się z konspiracją antykomunistyczną. Schwytany pod koniec epoki stalinizmu – w 1954 r. – znów trafił na tortury.

W kreowaniu mitu rodziny Kaczyńskich ważnym elementem jest właśnie antykomunistyczna niezłomność. Stosunek rodziny do komuny był jednoznaczny, jak zapewnia Kaczyński w biograficznej książce. Szkopuł w tym, że – co nie pasuje do dzisiejszej propagandy – „Miedza" w pełni zaakceptował PRL Gierka i Jaruzelskiego. Dowody na to znajdują się w Instytucie Pamięci Narodowej.

6 grudnia 1984 r. „Miedza" napisał list do szefa bezpieki gen. Czesława Kiszczaka, prosząc o stały paszport dla swego syna, także plastyka, który wyjechał do Austrii. „Zamiast biletu wizytowego" przysyła listę swych odznaczeń, zarówno tych wojennych, jak Krzyż Zasługi z Mieczami (1941) i Krzyż Walecznych (1944), ale też przyznawanych w PRL – Krzyż Partyzancki (dostał go w 1959, czyli kilka lat po poznańskim Czerwcu), Medal 30-lecia Polski Ludowej (1974, po Grudniu '70 na Wybrzeżu), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1976, rok protestów w Radomiu, Ursusie i Płocku) czy Złoty Medal Zasługi dla Ligi Obrony Kraju (1984, tuż po stanie wojennym, podczas gdy LOK był organizacją paramilitarną, kontrolowaną przez komunistycznych generałów).

Te dokumenty i ordery to nie akt oskarżenia wobec „Miedzy". To dowód na skomplikowane, nieoczywiste losy polskiej inteligencji w XX wieku. Wielu wojennych bohaterów, antykomunistów dręczonych przez stalinowców, uznawało gierkowską odwilż za dar od niebios. Trauma wojny i stalinizmu nigdy ich nie opuściła.

To charakterystyczne, że pierwszy film o „Miedzy" powstał za PRL, tuż po stanie wojennym – w 1984 r. („Umarłem, aby żyć"). A kolejny („Zapaliłem świeczkę na swoim grobie...") wyprodukowała TVP w latach 2008/09, gdy rządzili nią ludzie PiS – wypowiadał się tam m.in. prezydent Lech Kaczyński.

Z powodu napiętych relacji z ojcem to Stanisław Tomaszewski „Miedza", ojciec chrzestny Lecha, stał się dla braci punktem odniesienia. (1960)

Zresztą odkąd PiS wróciło do władzy, wszystkie wydarzenia dotyczące „Miedzy" mogą liczyć na wysoką rangę. Wiosną 2016 r. Narodowe Centrum Kultury zorganizowało wystawę zdjęć Grobów Wielkanocnych, które „Miedza" tworzył w kościele św. Anny w Warszawie w latach 1940-44. Ich zdjęcia wykonał w tamtym czasie jego brat Jerzy Tomaszewski, ps. „Jur", fotograf ranny w powstaniu warszawskim. W otwarciu wzięli udział prezes PiS Jarosław Kaczyński i wicepremier Piotr Gliński, honorowy patronat nad wystawą objął prezydent Andrzej Duda.

Związani z PiS biografowie klanu Kaczyńskich PRL-owskie wątki w życiu „Miedzy" omijają albo starają się je bagatelizować. Omawiając wydane przez niego w PRL-u wspomnienia „Benefis konspiratora" – gdzie znajdują się zdania o „ubolewaniu" nad niechęcią dowództwa AK wobec Polskiej Partii Robotniczej, czy też deklaracje, że mimo zakazu przełożonych utrzymywał kontakty z komunistami – owi biografowie dowodzą, że nie wiadomo, czy to rzeczywiście były jego opinie.

Nawet oni przyznają jednak, że książka została wrogo przyjęta przez londyńską emigrację. W dokumentach IPN znajduje się datowany na maj 1977 r. dokument wskazujący na to, że byli tacy, których ta publikacja cieszyła. To osobiste podziękowanie dla „Miedzy" za przesłanie egzemplarza „Benefisu konspiratora". „Jest publikacja Pana cennym świadectwem historii, dramatyczną, pouczającą dla młodego pokolenia, lekcją patriotycznej postawy". Ręczny podpis – minister obrony, generał armii Wojciech Jaruzelski.

Życiorysy pod lupą, ale cudze

„Miedza" miał także innego brata – Zbigniewa Tomaszewskiego. Formalnie to już nie jest żadna rodzina Kaczyńskiego – brat męża ciotki. Pamiętać jednak należy, że ścisła rodzina prezesa PiS jest nieliczna, tak naprawdę została mu bratanica i jej patchworkowa familia. W związku z tym, szczególnie po objęciu władzy przez PiS, w jego orbicie pojawili się bliżsi i dalsi kuzyni, którzy korzystają z wyjątkowego statusu Pierwszej Rodziny.

Tak jest z synami Zbigniewa Tomaszewskiego. Kluczowy jest Grzegorz – prezes kontrolowanej przez Kaczyńskiego spółki Forum, która wydaje „Gazetę Polską Codziennie".

Tomaszewski jest z wykształcenia inżynierem mechanikiem. Od 1974 r. pracował w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Obróbki Plastycznej Metali „PLASOMET". Był konstruktorem. W archiwach IPN znajduje się tajna korespondencja z marca 1982 r. między dyrekcją zakładu a specsłużbami PRL w sprawie „wyrażenia zgody i dopuszczenia do prac tajnych o charakterze techniczno-konstrukcyjnym produkcji zbrojeniowej" grupy sześciu pracowników, w tym mgr. inż. Grzegorza Tomaszewskiego. Sam Tomaszewski wyjaśnił mi, o co chodziło. – Ośrodek dostał od wojska zlecenie na opracowanie linii do produkcji łusek do nabojów, bardzo wydajnej linii. Mieliśmy opracować dokumentację i przygotować prototyp – stwierdził.

W kwietniu 1982 r. bezpieka napisała, że „nie wnosi zastrzeżeń w sprawie upoważnienia do wykonywania prac tajnych o charakterze obronnym". A to oznacza, iż Tomaszewski wszedł w podporządkowane relacje z Ludowym Wojskiem Polskim i bezpieką, które kilka miesięcy wcześniej – w połowie grudnia 1981 r. – zdławiły karnawał Solidarności. To nie były zwyczajne instytucje państwa, to nie był zwyczajny projekt socjalistycznego przedsiębiorstwa. – Mogliśmy rozbroić polskie wojsko i oddać się pod opiekę armii ZSRR albo NRD. Ale ja uważałem, że należy mieć własne wojsko i je unowocześniać. Wtedy wszyscy uczestniczyliśmy w systemie – powiedział mi Tomaszewski.

Gdy rozpoczynał pracę dla armii PRL, jego kuzyn Lech Kaczyński siedział, internowany przez generałów, którzy wprowadzili stan wojenny. Dziś Tomaszewski wydaje dla szefa PiS gazetę radykalnie antykomunistyczną, specjalizującą się w rozliczaniu ówczesnych życiorysów.

Kuzyni sprawiają kłopoty

To zresztą przez klan Tomaszewskich Jarosław Kaczyński wpadł w największe tarapaty w czasie swych rządów. Grzegorz Tomaszewski, poza wydawaniem propisowskiego dziennika, jest też członkiem rady nadzorczej spółki Srebrna, która stanowi zaplecze gospodarcze PiS. Srebrna – wedle planów Kaczyńskiego – miała wybudować biurowiec z dwiema wieżami w centrum Warszawy i czerpać z niego milionowe profity, które zapewniłyby środowisku PiS dominację na scenie politycznej.

Tomaszewski był jednym z kluczowych uczestników narad z Jarosławem Kaczyńskim w tej sprawie. Spotkania nagrał austriacki biznesmen Gerald Birgfellner. Austriak miał zbudować wieżowiec dla Srebrnej na jej działce, ale gdy inwestycja została wstrzymana, poróżnił się z Kaczyńskim o pieniądze. Doniósł na prezesa PiS do prokuratury, zarzucając mu oszustwo.

Birgfellner to mąż skoligaconej z Kaczyńskim Karoliny Tomaszewskiej, która także była uczestniczką nagranych negocjacji i tłumaczką swego męża (przez lata mieszkała w Austrii). Tomaszewska jest przedstawicielką tej wąskiej odnogi rodziny, która łączy klany Kaczyńskich i Tomaszewskich – to wnuczka Ireny Tomaszewskiej (czyli siostry ↦

↦ Jadwigi Kaczyńskiej) oraz „Miedzy" (czyli stryja Grzegorza i Konrada Tomaszewskich).

Po wybuchu afery Kaczyński mimowolnie przyznał, że w życiu publicznym opiera się na rodzinie. „Byłem pod pewnym naciskiem moralnym ze strony tej części rodziny, bo oni się tu sprowadzili, kupili sobie tu dom, a ten Austriak doszedł chyba do wniosku, że będzie z tej inwestycji po prostu żył, i to dobrze" – powiedział prezes PiS w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". Czy dwie wieże miały symbolizować obu braci? Kaczyński sugeruje, że grano na tej jego czułej strunie. „Propozycje, by były tam litery JK czy LK, rzeczywiście padały, ale zdecydowanie je odrzucałem" – stwierdził.

Jan Maria Tomaszewski od kilkunastu lat ma zapewniony byt i opierunek w kontrolowanych przez Kaczyńskiego instytucjach. (po prawej, 2010)

Nieoficjalnie wiadomo, że po wybuchu afery Karolina Tomaszewska stanęła po stronie męża. Jej ojciec Jan Maria Tomaszewski, rzeczywisty kuzyn Kaczyńskich i towarzysz ich dziecięcych zabaw, ma inne zdanie. „Moja córka była na spotkaniu tylko jako tłumacz. Została oszukana przez Birgfellnera – twierdzi Tomaszewski. – Birgfellner doprowadził do dużego problemu w naszej rodzinie. Wkręcił mnie w to wszystko. Czuję się przez niego oszukany".

Taki dowód lojalności – ale i zawoalowana forma przyznania się do nacisków na Kaczyńskiego w sprawie powierzenia inwestycji Birgfellnerowi – to nie jest niespodzianka. Jan Maria Tomaszewski – artysta z wykształcenia i charakteru – od kilkunastu lat jest przyklejony do Kaczyńskiego, który zapewnia mu byt i opierunek w kontrolowanych przez siebie instytucjach.

Dziś jest w TVP, gdzie ma patrzeć na ręce Jackowi Kurskiemu. Z ramienia Pierwszej Rodziny Tomaszewski uczestniczył też w pracach nad filmem „Smoleńsk" Antoniego Krauzego – symbolicznym dla środowiska PiS, bo wspierającym teorie spiskowe dotyczące katastrofy. Został „konsultantem ds. obyczajowych", czyli w praktyce miał pilnować mitologicznej poprawności tego obrazu.

W IPN nie znalazłem przesłanek wskazujących na to, że JMT walczył z komuną, jak każe rodzinny etos. W latach 70. na studiach był członkiem lojalnego wobec władz Zrzeszenia Studentów Polskich. W latach 80. zakotwiczył się jako konserwator zabytków w Austrii. Dlatego jego ojciec – czyli „Miedza" – pisał do Kiszczaka prośby o stałe przedłużanie mu paszportu.

Komu łaska, komu kara

Budowa mitu wyjątkowości klanu Kaczyńskich wraz z przyległościami jest możliwa z jednego, głównego powodu – bo Jarosław Kaczyński ma dziś w Polsce status niemal monarszy.

To w sumie drobnostka, że prace Sejmu podporządkowane są jego rytmowi dnia, czyli umiłowaniu sennych poranków i nocnych nasiadówek. Może w każdej chwili wejść na mównicę – jak to sam ujął – „bez żadnego trybu" i powiedzieć, co chce, nawet jeśli jest to oskarżenie opozycji o zamordowanie brata. Może gestem kciuka w dół zatrzymywać ustawy nawet tuż przed ostatecznym głosowaniem. Może kazać ministrom zwracać premie, a posłom uchwalać ścięcie własnych pensji – wykonają wszystko.

Ale Sejm to tylko drobny element państwa zbudowanego pod Kaczyńskiego. Media publiczne – zwłaszcza programy informacyjne TVP – mają dziś tak karykaturalną, propagandową formę dlatego, że takie są oczekiwania Kaczyńskiego. Lider PiS, przez dekady żyjący w przekonaniu, że przeciwnicy przyprawiają mu gębę niebezpiecznego oszołoma, ma dzięki propagandzie TVP stać się dobrym królem. To Kurski wymyślił określenie „jarkowe" na trzynastą, przedwyborczą emeryturę, co TVP szeroko rozpromowała. Przy okazji ci, których przez lata prezes – słusznie czy nie – zdążył uznać za swych przeciwników, dostają od telewizji państwowej brutalne lanie. To sama esencja państwa dworskiego.

Za Kurskim poszli inni, jak to na dworze. Gdy prezes miał kłopoty z nogą, kule ortopedyczne osobiście przywoził mu do domu szef wojskowego szpitala w Warszawie, którego posada chwilę wcześniej była zagrożona. Prezes państwowego banku PKO BP wywodzący się jeszcze z czasów Platformy wkrótce po wyborach – wiosną 2016 r. – uznał, że musi zasponsorować Nagrodę im. Lecha Kaczyńskiego dla konserwatywnych twórców. Wcześniej takiej potrzeby nie czuł, choć Nagroda została stworzona przez PiS w 2011 r.

Zabiegająca o wzmocnienie swej pozycji szefowa Trybunału Konstytucyjnego zaczęła zapraszać Kaczyńskiego na biesiady do służbowego apartamentu w centrum stolicy, dlatego dziś nie ma mowy o odwołaniu jej męża z ambasady w Berlinie, choć był taki pomysł.

Dworski jest też system kar, zwłaszcza jeśli sprawca uderza w mit Pierwszej Rodziny. Najbardziej odczuł to znany historyk Sławomir Cenckiewicz. Kaczyński myślał, że wynajmując go za pieniądze Srebrnej do napisania biografii prezydenta, otrzyma bezkrytyczne epitafium. Jednak gdy Cenckiewicz odkrył w archiwach IPN, że Maria Kaczyńska była w młodości zarejestrowana jako kontakt operacyjny komunistycznej bezpieki i została wytypowana do werbunku na tajnego współpracownika, zaczęły się kłopoty. Kaczyński naciskał na usunięcie tego fragmentu, Cenckiewicz odmówił. Rejestracja ostatecznie znalazła się w książce, podob-

nie jak informacja o tym, że brat prezydentowej – w PRL pilot wojskowy – „kształcił się w Związku Sowieckim”. Głównie z tego powodu Cenckiewicz nie został po dojściu przez PiS do władzy prezesem IPN.

Marzenia o muzeum

Ale i tak najpoważniejszym dowodem na szczególny status Kaczyńskiego są wspomniane oskarżenia związane z próbą budowy wieżowca. Wżeniony w klan Kaczyńskich Austriak twierdzi, że prezes kazał mu nieformalnie dać 50 tys. zł księdzu z władz fundacji, która przez spółkę Srebrna zarządza tym terenem. Miała to być cena za jego podpis pod zgodą na tę inwestycję.

Czy to wiarygodne? Trzeba pamiętać, że to Kaczyński tak naprawdę rządzi tą fundacją – oczywiście imienia Lecha Kaczyńskiego – i bez ryzyka dla inwestycji mógłby się pozbyć księdza oczekującego pieniędzy pod stołem. No, ale żeby to rozstrzygnąć, potrzebne jest śledztwo prokuratury. A prokuratura – mimo wyraźnych terminów kodeksowych – miesiącami nie wszczyna śledztwa, które byłoby dla Kaczyńskiego wielce niewygodne.

Z tego samego powodu prokuratura nie rozpoczyna dochodzenia w sprawie informacji z listów, które do prezydenta i prezesa PiS skierował bohater afery taśmowej, Marek Falenta. Opisał tam swe kontakty z politykami PiS sprzed ujawnienia taśm i zasugerował, że nagrywał Platformę w porozumieniu z nimi. Gdyby prokuratura wszczęła śledztwo, prędzej czy później stanęłaby przed koniecznością odpowiedzi na pytanie, co Kaczyński wiedział o aferze taśmowej przed jej wybuchem. A to pytanie niebezpieczne.

Choć Kaczyńskiego nigdy nie łączyły z Martą ciepłe relacje, musi ją tolerować jako jedyną dziedziczkę brata. (2011)

Na tych przykładach widać wyraźnie, że Kaczyński z definicji uważany jest przez instytucje państwa za człowieka na wskroś uczciwego i nieomylnego, któremu należy bezgranicznie wierzyć i – broń Boże – nie kontrolować go.

Nigdy dotąd tak nie było. Bo nigdy dotąd III RP nie była paramonarchią, w której instytucje państwa są w pełni i bez żadnych zabezpieczeń podporządkowane jednemu człowiekowi.

Kaczyński chce utrzymać tę władzę, a mitologizacja rodziny jest jednym z najważniejszych bodźców popychających go do walki. Zresztą może ten cały, tworzony z politycznego polecenia mit wokół rodziny ma jakiś strategiczny cel? Może Kaczyńscy mają zająć ostatnie wolne miejsce na liście wielkich polskich niepodległościowych rodów, na miarę Piłsudskich, mniej więcej?

Teraz w planie jest muzeum Lecha w Warszawie. Zalążek już powstał: w budynku sąsiadującym z rodzinnym domem na stołecznym Żoliborzu, za pieniądze fundacji i spółek związanych z PiS, prezes urządził zamkniętą izbę pamięci brata. Są tam pamiątki, a nawet pierwszy sarkofag z wawelskiego grobu uszkodzony podczas ekshumacji zarządzonej na potrzeby śledztwa smoleńskiego po wyborach. Jest nieformalny kustosz, organizowane są seminaria w wąskim gronie, czasem prezes zaprasza tam na audiencję prezydenta.

Nie ma co do tego wątpliwości: mauzoleum Lecha Kaczyńskiego będzie w istocie świątynią ku czi Pierwszej Ostatniej Rodziny.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP”.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Złoty gołąb

„Skrzydła gołębicy pokrywają się srebrem / A pióra jej skrzydeł mienią się złotem" (Ps 68, 14). Gołąb jest jednym z ważnych symboli Izraela. Opowieść, którą przytoczę, znalazłem w jednym z wielu kazań rabina Abrahama Kuka, kabalisty, talmudysty, a przede wszystkim religijnego syjonisty. Wywodził się z dzisiejszej Łotwy, jego rodzina od pokoleń była związana z chasydyzmem. Po przybyciu do Palestyny był rabinem Jaffy i okolicznych wspólnot rolnych, a gdy powstał rabinat palestyński, wybrany został pierwszym naczelnym rabinem Izraela w brytyjskim protektoracie obejmującym ziemię obiecaną. Zmarł w roku 1935.

Teraz czas na talmudyczną opowieść. Dotyczy babilońskiego uczonego z IV wieku wspólnej ery, Rabba bar Hanna. Wędrował z karawaną. Zatrzymali się na chwilę odpoczynku, zjedli posiłek i ruszyli dalej. Nagle Bar Hanna zdał sobie sprawę, że po jedzeniu nie odmówił Birkat Hamazon, modlitwy dziękczynnej po posiłku. Pomyślał: powinienem powiedzieć pozostałym, że muszę wrócić tam, gdzie się posilali, ale jeśli powiem, że nakazy religijne każą mi wypowiedzieć to błogosławieństwo w miejscu popasu, usłyszę – módl się tutaj, w drodze, wszak Bóg i tak ciebie wysłucha. Powiedział więc, że zostawił w miejscu postoju niezwykle cennego złotego gołębia. Karawana zawróciła, bar Hanna mógł odmówić we właściwym miejscu Birkat Hamazon, a w nagrodę rzeczywiście znalazł tam złotego gołębia. Bar Hanna rozumiał, że gdy odmawiamy Birkat Hamazon w miejscu, w którym jedliśmy, dokonujemy ważnego aktu duchowego, który łączy to, co duchowe, z tym, co materialne. Przypomina wydobycie złota z głębi ziemi, aby skrzydła mogły nas unosić wyżej i wyżej.

Dlaczego gołąb? Talmud wyjaśnia, że symbolizuje lud Izraela. Ukazuje, jak wykonywanie micwot wpływa na lud żydowski. Mają one dwa podstawowe wymiary, zewnętrzny i wewnętrzny. Zewnętrzny w tym przypadku to mięśnie skrzydeł, wewnętrzny to odpowiednie stawy i chrząstki. Pierwsze mienią się srebrem, a drugie mają złoty połysk. I wiedzą o tym jedynie wybrani mędrcy. Osoby, które widzą, jak jedna część skrzydła wpływa na pozostałe, tworząc jednolity mechanizm, wiedzą, jak wewnętrzy sens micwy wpływa na to, jak jest widziana, rozumieją znaczenie poprawnego, detalicznego wykonywania nakazów religijnych.

Micwot tworzą wspólny, trwający od tysiącleci porządek religijny Izraela. Judaizm jest (jak islam) oparty na nakazach prawnych. Ich łamanie osłabia wewnętrzną wieź narodu. Oczywiście dużo się zmienia. Powstały nowe denominacje religijne, nie wszystkie nakazy są już wiernie przestrzegane, ale pozostało poczucie wspólnoty, w której Torę czyta się przez prawa i codzienne nakazy formujące historię *am Israel.* ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Zwodziciel

W Liście do Hebrajczyków czytamy: „odłożywszy wszelki (...) grzech, który nas łatwo zwodzi, winniśmy wytrwale biec w wyznaczonych nam zawodach". Inaczej być nie może, skoro Szatan jest zwodzicielem. Mylą się ci, którzy przedstawiają go w postaci więcej niż szkaradnej, sadząc, że w ten sposób odstraszą amatorów grzechu od grzeszenia. Nic z tego, diabeł nie taki głupi, jak go malują.

Chcąc kogoś zwieść, trzeba najpierw zdobyć jego zaufanie. Robią tak wszyscy oszuści, a wśród nich politycy. Szatan stosuje te same metody i nie wiadomo, kto od kogo czego się uczy. Nie jest on Bogiem na odwyrtkę, ale jest inteligentny, z łatwością odgaduje, kto czego chce. Jeśli już najdzie nas ochota, żeby diabła upostaciowić – choć najwłaściwiej byłoby nie przedstawiać go wcale – to należałoby to zrobić jak najpiękniej. Jego obecności nie zdradza wcale woń smoły i siarki, ale nadmiar bodźców miłych dla zmysłów. Diabeł to przecież anioł i nic dziwnego, że, jak to ktoś powiedział, oddzielić jednego od drugiego wcale nie łatwo.

Uprzywilejowanym polem, na którym Zwodziciel lubi działać, jest religia. To przecież ludzie religijni skazali na śmierć Jezusa, sądząc, że wyświadczają przysługę Bogu i ludziom. Zgubił ich nadmiar pobożności. Dlatego św. Jan od Krzyża przestrzega przed grzechem obżarstwa duchowego, który polega na mnożeniu praktyk religijnych i intensyfikacji emocji w nadziei, że Bóg poczuje się zobowiązany i spełni nasze prośby. Tak fałszywi prorocy „modlili się do Baala od rana do południa, wołając: »Baalu, odpowiedz nam!«. Nie było jednak żadnego głosu, żadnej odpowiedzi. Wtedy zaczęli podskakiwać wokół zbudowanego przez siebie ołtarza. Kiedy było już południe, Eliasz wyśmiewał się z nich. »Krzyczcie głośniej – wołał – przecież to jest bóg, więc może jest zamyślony albo zajęty swoimi sprawami, albo jest jeszcze w drodze. A może po prostu śpi i musi się obudzić?«".

Bóg najwyraźniej nie lubi nadmiernego, choć pobożnego, harmidru. Zwodziciel owszem. Anioł Ślązak mówi: „Diabeł nic nie słyszy, jeno grzmoty, huki, / Dlatego łagodnością możesz go ogłupić". A umierającym ze strachu przed diabłami radzi: „W Bogu schroń się, człowieku, w jego świetle spocznij: / Przysięgam ci uczciwie, diabeł cię nie dojrzy".

Zamiast więc wymyślać coraz to nowe sposoby egzorcyzmowania Szatana, lepiej się pomodlić o jego zbawienie, jak sugeruje św. Grzegorz z Nyssy. Herezja? Niekoniecznie, skoro św. Izaak Syryjczyk ułożył modlitwę za demony, wychodząc z założenia, że „miłosierdzia Stwórcy nie powstrzymują występki Jego stworzeń", a „grzechy wszelkiego ciała w porównaniu ze sposobem myślenia Boga" są „jak garść piasku rzucona do wielkiego morza". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Paradoks to nie sprzeczność

W dzisiejszym „okruchu” nie będzie chodzić o jakiś biblijny szczegół czy detal, lecz o jeden z możliwych kluczy do „Całości”. Podczas pobytu w Taizé, w jednym z wprowadzeń biblijnych, wygłaszanych każdego dnia usłyszałem zdanie: „Paradoks nie jest tożsamy ze sprzecznością!”. Tak, paradoks kryje w sobie przeciwieństwa, ale nie jest tożsamy ze sprzecznością. Zawarte w nim przeciwieństwa wcale się nie wykluczają; przeciwnie, ujawniają tkwiącą w objawieniu dynamikę.

Paradoks: zwycięski Lew z pokolenia Judy okazuje się zabitym barankiem, którego purpurowa krew służy do wybielenia (!) szat Jego naśladowców.

Paradoks: wszechmogący Bóg stoi u drzwi i puka. Czy nie ma siły wyważyć zamkniętych drzwi? Ma. Ale nie na tym polega Jego wszechmoc. Ona wyraża się raczej w tym, że nie ma żadnej siły, która byłaby w stanie oderwać Go od tych drzwi i zniechęcić do dalszego pukania. Nie ma siły zdolnej odebrać Mu nadzieję i zmusić Go do poddania się. Będzie pukał, i czekał.

Paradoks: Jezus mówi o tym, że każdy, kto przyjdzie do Niego, znajdzie odpoczynek. Tych jednak, którzy doń przychodzą, wzywa do drogi – dalekiej i wymagającej (wyznaczonej pouczeniem zawartym choćby w Kazaniu na Górze).

Paradoks: Jezus mówi także „weźcie Moje jarzmo na siebie”. „Moje”, nie „Boże”. Mówi więc tym, którzy uważnie słuchają: „to Ja jestem wcieloną Bożą Mądrością. To ode Mnie możecie się ostatecznie i w pełni nauczyć, czym jest jarzmo Boga. To we Mnie objawiona jest cała Prawda”. I zaraz w tym samym zdaniu dodaje: „uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem”. Deklaracji Bóstwa i wszechwiedzy towarzyszy deklaracja pokory.

Paradoks: „Kto chce być pierwszy między wami, niech będzie waszym sługą”.

Cieszę się, że dane mi było oddychać paradoksami w Taizé, jak najświeższym ewangelicznym powietrzem – razem z pięćdziesiątką młodych ludzi z mojej łódzkiej archidiecezji i jeszcze z ponad setką młodzieży z innych polskich diecezji. Że dane im było doświadczyć Kościoła, w którym ekumenizm jest wyborem życiowym, a nie nabożeństwem (jednym w ciągu roku), wymuszonym kościelnym kalendarzem.

Cieszę się, że doświadczyli takiego miejsca, w którym żadna religia, ani żadne chrześcijańskie wyznanie nie jest używane w charakterze maczugi, którą okłada się innych po głowie – nawet w wątpliwej „obronie” samego siebie.

Cieszę się, że spotkali chrześcijańskich mnichów/braci, którzy nie tylko przyjęli uchodźców, i nie tylko pomogli im w nauce języka, studiach i zdobyciu pracy, ale potrafią się od nich uczyć najprostszych postaw – dawno zapomnianych nie tylko w Europie, ale także w europejskim Kościele.

Cieszę się bardzo tymi młodymi ludźmi, którzy – jestem tego pewien – zbudują bardziej ewangeliczny Kościół niż ten, który im przekazujemy. Więcej: oni już go budują. ©

Burzy się we mnie Twój głos, Panie, i wstrząsa całym moim wnętrzem. Mój wzrok wewnętrzny oślepia blask Twojej prawdy.

WILHELM Z SAINT-THIERRY

Najwyższa Prawda nakłada na nas brzemię gorąca i chłodu, smutku i bólu, strachu, nędzy i słabości ciała, aby uwidocznił się kruszec naszej najgłębszej istoty.

RUMI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (18 – 25 VIII)

20. niedziela zwykła: Jr 38, 4-6. 8-10; Ps 40; Hbr 12, 1-4; Łk 12, 49-53;
Poniedziałek: Sdz 2, 11-19; Ps 106; Mt 19, 16-22;
Wtorek: Sdz 6, 11-24a; Ps 85; Mt 19, 23-30;
Środa: Sdz 9, 6-15; Ps 21; Mt 20, 1-16;
Czwartek: Iz 9, 1-3. 5-6; Ps 113; Łk 1, 26-38;
Piątek: Rt 1, 1. 3-6. 14b-16. 22; Ps 146; Mt 22, 34-40;
Sobota: Ap 21, 9b-14; Ps 145; J 1, 45-51;
21. niedziela zwykła: Iz 66, 18-21; Ps 117; Hbr 12, 5-7. 11-13; Łk 13, 22-30.

BĄDŹMY NIEKONSEKWENTNI

Polaków myślowego centrum, którzy nie dzielą świata na „nasz” i „obcy”, jest więcej niż ekstremistów, którzy opanowali media i politykę.

DARIUSZ ROSIAK

Nie chodzę na marsze równości, bo nie chodzę na żadne polityczne marsze w Polsce – kiedyś pisałem w „Tygodniku", dlaczego dziennikarze w demokratycznym kraju nie powinni uczestniczyć w takich demonstracjach.

Jest oczywiście teza, popularna zwłaszcza na lewicy, że marsze równości nie są polityczne; wręcz przeciwnie, są apolitycznym wezwaniem do tolerancji i miłości bliźniego. Jeśli tak, byłby to ewenement na skalę światową – wszędzie indziej na Zachodzie marsze Gay Pride (a parada równości jest ich polskim odpowiednikiem) są elementem całkowicie politycznej walki o poszerzanie sfery praw dla osób homoseksualnych, transpłciowych, agenderowych, demigenderowych, genderfluidowych i innych odmian płciowości opisanych w ostatnich dekadach – zainteresowanych odsyłam do literatury fachowej. Formy tych marszów są różne, w Londynie czy Paryżu okazywanie dumy z bycia gejem czy transseksualistą polega czasem na publicznym demonstrowaniu technik seksualnych, w Polsce się tak nie dzieje.

Po właściwej stronie

W krajach zachodnich walka podjęta przed laty przez (swoją drogą podzielone i często skłócone wewnętrznie) środowiska LGBT+ jest w zasadzie wygrana. Na przykład naukowcy i intelektualiści, którzy publicznie kwestionują tezę, że płeć jest wyłącznie konstruktem kulturowym, albo twierdzą, że istnieją różnice w budowie mózgu kobiet i mężczyzn, bywają traktowani jak barbarzyńcy. W Polsce jest na odwrót: siła polityczna środowisk LGBT+ jest mizerna, a za udział w marszu pod tęczową flagą można co najwyżej dostać po twarzy, a nie np. własną katedrę na uniwersytecie.

W kraju mamy więc lustrzane odbicie problemów obecnych w znacznie bardziej liberalnych społeczeństwach: tam na margines debaty publicznej spychani są kwestionujący prawdy „świętej trójcy" determinującej poziom postępu cywilizacyjnego (rasa, gender, seksualność), u nas ofiarą braku tolerancji padają ludzie, którzy odstają od nacjonalistyczno-katolickiego wzorca określonego przez obecne władze, część Kościoła, mediów i innych wpływowych osób publicznych.

W jednym nasza lokalna wojna kulturowa nie różni się od innych. Obie jej strony robią to, co zwykle robi się w przypadku wojny: dzielą świat na swoich i obcych, tych drugich traktując jak wrogów, których należy unicestwić. W imię wolności, sprawiedliwości, równości i braterstwa. W obu grupach triumfują wrzaskliwi oportuniści, a zachowania stadne i kolektywizm myślenia charakteryzują ludzi przekonanych w głębi duszy o swojej intelektualnej niezależności i skrajnym indywidualizmie.

Wydaje im się, że biorą udział w starciu dobra ze złem – po właściwej stronie, ma się rozumieć. Tymczasem wojna kulturowa to świat podobny do starcia Pepsi z Colą – marketingowcy przekonują cię, że wybierając jedną z nich, kreujesz swoją tożsamość. Podobnie, przyłączając się do jednego z obozów wojny kulturowej, dostajesz gwarancję, że stajesz po właściwej stronie. Warunkiem jest wyłączenie myślenia i zaprzedanie politykom jeśli nie duszy, to na pewno rozumu. Nie będzie ci potrzebny.

Polska chce, żebyś wiedział

Co mają zrobić ludzie, którzy nie chcą brać udziału w tym teatrze cieni? Czyli np. tacy, których przeraża przemoc wobec uczestników parady w Białymstoku i obrażają słowa arcybiskupa Jędraszewskiego, ale nie oznacza to automatycznie, że akceptują znak Polski Walczącej wpisany w gejowską tęczę? A co jeśli mdłości wywołują w nich androny wygadywane przez Zofię Klepacką, podobnie jak sugestie, że warszawscy powstańcy walczyli o prawa społeczności LGBT+? Co mają robić ci, których w ogóle nie interesuje, co robią w swoim domu dorośli ludzie w przeróżnych dobrowolnie ustalonych konfiguracjach, ale nie chcą, by miarą naszego rozwoju cywilizacyjnego miał być przejazd ulicami Warszawy platform, na których postaci w lateksie z pluszowymi penisami odgrywają fantazje erotyczne?

Tacy ludzie mają problem i to poważny. Mają problem, bo żyjemy przecież w kraju pod okupacją PiS-u, w Polsce toczy się wojna na wyniszczenie i jeśli nie jesteś z nami, to jesteś faszystą. Albo inaczej: w październiku 2015 r. Polska została odzyskana od komuchów, Niemców i Tuska, ale siły wroga przegrupowują się, kontrrewolucja przybiera nowe formy i barwy. W 2015 r. chcieli nam wymienić naród na Arabów i czarnych, tym razem nadchodzi tęczowa zaraza. Jeśli tego nie widzisz, nie jesteś prawdziwym Polakiem. Określenie się po jednej ze stron jest konieczne, inaczej świat się zawali. Musisz działać, musisz mieć zdanie nie tylko w sprawie LGBT+, w każdej sprawie musisz mieć zdanie. Jeśli nie masz, to znaczy, że ci nie zależy na Polsce. Budzisz się i masz myśleć, jak obalić pisizm albo jak go ocalić.

Jeśli po przebudzeniu myjesz się i pijesz kawę, a potem odprowadzasz dzieci do szkoły, to jesteś nikim. Jeśli nie wiesz, czy budowa Centralnego Portu Lotniczego to dobry pomysł czy zły, bo niby skąd, u diabła, miałbyś to wiedzieć – nie liczysz się. Jedni piszą to, a drudzy owo, ale Polska chce, żebyś wiedział. Polska, czyli jedni albo drudzy, którzy szantażują cię moralnie. Jeśli się nie określisz, uznają cię za podejrzanego, pożytecznego idiotę, symetrystę, a ostatecznie i tak skończysz jako zdrajca. Lepiej więc, nawet jeśli musisz wyłączyć rozum, przyłącz się do stada – wszystko jedno którego, oba będą zadowolone, bo oba nie mogą bez siebie żyć. Będzie ci łatwiej.

Świat plemienny jest poukładany i przewidywalny, czyli zapewnia człowiekowi jedną z podstawowych potrzeb – poczucie bezpieczeństwa. Wiesz, jak trzeba reagować na każde wydarzenie, wiesz, kogo słuchać, żeby mieć zdanie na każdy temat, zwłaszcza na taki, o którym nie masz pojęcia.

Większość ludzi nie ma pojęcia o większości tematów. Świat jest skomplikowany, wszystkiego jest za dużo i dzieje się za szybko, nikt normalny za tym nie nadąża. Nie wiem, czy Centralny Port Lotniczy jest dobrym pomysłem, nie wiem nawet, czy likwidacja podatku dla osób poniżej 26. roku życia jest dobra. Chyba dobra, ale w końcu to PiS na to wpadł, więc może nie tak dobra, jak się wydaje na pierwszy rzut oka.

Dowody? Tylko te wygodne

Teoretycznie można by się podszkolić albo np. posłuchać specjalistów. Tylko że nie ma już niezależnych specjalistów. Są eksperci postępowi i reakcyjni, literaci piszą książki gejowskie albo prawicowe, nawet sportowcy i kibice są patriotyczni (piłka nożna) albo januszowi (siatkówka). Jeszcze kilka lat temu chodziłem na Legię, żeby w pełnej godności frustracji towarzyszyć mojej drużynie w jej swobodnym spadaniu punktowanym co jakiś czas niespodziewanym wzlotem. Dzisiaj nie dość, że oglądam beztalencia na boisku, to dodatkowo zmuszony jestem ↦

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

uczestniczyć w tzw. oprawie, której nieodzowną częścią są gusła polskiego kościoła narodowo-kibicowskiego odprawiane pod drogimi mi symbolami. Żeby było ciekawiej, kogo nie spytam, to się im podoba. Czy jestem ostatnim człowiekiem w Polsce, który przychodzi na mecz piłkarski, żeby obejrzeć mecz piłkarski?

Dodam zresztą, że większość dziennikarzy-komentatorów także nie ma pojęcia na tematy, na które się wypowiada. Ja np. znam się jako tako na dwóch, może trzech rzeczach i z sentymentem wspominam czasy, kiedy nie stanowiło to dla nikogo problemu. Każdy znał się tylko na piłce nożnej i polityce, co było ostatecznie do wytrzymania, natomiast dziedziny specjalistyczne były jednak domeną ludzi, którzy coś wiedzieli. Dziś każdy, kto przepisze z internetu tekst na temat ocieplenia klimatu, staje się ekspertem, zaprasza się go do telewizji, potem robi podkast na YouTubie, gdzie komentuje jeden z najbardziej skomplikowanych tematów współczesności. Pewnie dlatego, że temat jest skomplikowany, media wolą zaprosić kogoś takiego, a nie naukowca, który będzie dzielił włos na czworo i tłumaczył trudno zrozumiałe zagadnienia.

Youtuber albo inny publicysta ma ocieplenie klimatu w małym palcu – wystarczy, że sprawdzi, co na ten temat mówią jego ulubieni politycy. Wśród negacjonistów klimatycznych przodują ludzie prawicy, co lewicowcom służy czasem za dowód na to, że prawica to motywowany ideologicznie ciemnogród, a stanowisko lewicy bazuje na niekwestionowanych zdobyczach oświeceniowego rozumu. Problem w tym, że lewicowcy zwykle odwracają się od dociekań naukowych, gdy mowa np. o skutkach spożywania żywności genetycznie modyfikowanej (nie istnieje naukowy konsensus w sprawie jej szkodliwości) albo o biologicznych różnicach między kobietą a mężczyzną (jest mnóstwo poważnych opracowań naukowych na ten temat).

A zatem bardzo prawdopodobne jest, że różnice w podejściu do zmian klimatycznych nie polegają na sprzeczności między ideologicznym skrzywieniem prawicowców a naukową czystością lewicowców. Chodzi raczej o to, że ludzie wybierają tylko takie dowody naukowe, które potwierdzają to, w co i tak wierzą. Żyjemy w czasach, w których zainteresowanie drugim człowiekiem, wysłuchanie tego, co ma do powiedzenia, podzielenie się z nim życiowym doświadczeniem, wreszcie nauczenie się czegoś od niego jest traktowane jako dziwactwo.

Polski Ruch Myślących Samodzielnie

Co zatem mają zrobić ludzie, którzy nie chcą tak żyć? Najbardziej kuszącym wyjściem jest emigracja wewnętrzna: można się zamknąć w domu, czytać Dostojewskiego i Szekspira, słuchać Mozarta, oglądać stare mecze i walki bokserskie na YouTubie albo nowe seriale na Netfliksie. To jest rozwiązanie dające sporo satysfakcji, sprawdzone przez pokolenia Polaków. Emigracja wewnętrzna wymaga jednak pieniędzy – z czegoś trzeba żyć – co mocno ogranicza jej dostępność. Co ważniejsze, dzisiaj oznaczałaby ona kapitulację przed zalewem miernoty, ignorancji, prostactwa i nienawiści, czyli naczelnymi orężami bojowników wojny kulturowej. Nie wolno się godzić na ustawianie rozmowy o Polsce w takich kategoriach. Ludzi myślowego centrum, którzy nie dzielą świata na „nasz" i „obcy", jest w Polsce więcej niż ekstremistów, którzy opanowali media i politykę. Właśnie ludziom z centrum miałbym do zaproponowania coś innego, zwłaszcza tym, którzy żyją z pisania albo mówienia, choć w mniejszym lub większym stopniu wszyscy wyrażamy opinie i komentujemy wydarzenia, nawet jeśli tylko niektórzy biorą za to pieniądze.

Pomysł nie jest oryginalny, ideę ściągam z portalu Quillette. Brytyjski konserwatysta Toby Young zaproponował niedawno powołanie Związku Zawodowego Wolności Słowa. Nazwa taka sobie, ale to mniej ważne. Chodzi o organizacyjno-prawną ochronę osób, które ze względu na poglądy stają się obiektem nagonki, czasem przemocy psychologicznej, niekiedy fizycznej, tracą pracę i szansę na zatrudnienie na skutek działań mobbingowych. W krajach Europy zachodniej dotyczy to głównie naukowców, pisarzy, intelektualistów, których poglądy nie mieszczą się w liberalnym mainstreamie.

W Polsce w mainstreamie nie mieszczą się poglądy ludzi, którzy nie chcą ustawiać się po jednej ze stron barykady, tylko desperacko próbują zachować trzeźwość umysłu. Proponuję zatem powołanie PRMS – Polskiego Ruchu Myślących Samodzielnie. Jeśli nie odnajdujesz się w podziale na faszystów i zdrajców, jeśli nie masz poglądów na wszystko i czujesz się z tym dziwnie, jeśli w ogóle czujesz się nieswojo w towarzystwie, kiedy coś powiesz; jeśli bardziej niż samym sobą jesteś zainteresowany światem i innymi ludźmi, jeśli potrafisz dostrzec dobre i złe strony decyzji politycznych bez względu na to, kto je podejmuje – to PRMS jest miejscem dla ciebie.

Jednym z powodów spustoszeń, jakie czyni każda wojna kulturowa, jest umiejętność kreowania przez jej żołnierzy wrażenia, że ich poglądy są nie tylko jedynie słuszne, ale że wyznaje je większość ludzi na ziemi. Przypuszczam jednak, że jest dokładnie na odwrót – najgłośniejsi rycerze słusznych spraw reprezentują w istocie samych siebie i garstkę znajomych z Facebooka. Jednocześnie przy pomocy mediów, zwłaszcza społecznościowych, potrafią wytworzyć wrażenie, że ich postawy są powszechne, a prawdy przez nich głoszone nie do zakwestionowania.

Kwestionujmy je. Odkrywajmy sprzeczności, bądźmy niekonsekwentni, używajmy zwrotu „nie wiem". Nie gódźmy się na urawniłowkę, szufladkowanie, etykietowanie ludzi i wyrzucanie ich na margines tylko dlatego, że myślą samodzielnie. Jedną z najdotkliwszych cech bycia samodzielnie myślącym jest samotność, która czyni człowieka wrażliwym na ataki tłumu. Może warto z tej słabości uczynić oręż. Może warto policzyć się, stworzyć na początek forum wymiany opinii, potem jakąś inną formułę organizacyjną. Kto wie, może kiedyś będziemy płacić składki i znajdziemy sponsorów strategicznych.

Jest inny świat

Nie mam złudzeń – PRMS może okazać się ruchem nielicznym, bo większość potencjalnych członków zajmuje się pracą, nauką, wychowywaniem dzieci, czytaniem książek, sprawianiem sobie i innym drobnych przyjemności, przeżywaniem osobistych sukcesów i dramatów, czyli życiem, a nie polityką. Mimo wszystko warto spróbować. Nie musi nas być wielu, ważne, żeby dawać o sobie znać. Przed nami wybory, okres, kiedy wielu Polaków zawiesi rozum na kołku w imię większego dobra. Nie przyłączajmy się do nich, nie dajmy sobie wmówić, że nie ma świata poza PiS-em i anty-PiS-em.

Nie obiecuję, że zmienimy Polskę, ale na pewno poczujemy się pewniej w swoim w kraju. Czekam na odzew.

© DARIUSZ ROSIAK

Frankowa choroba banków

PROF. DARIUSZ FILAR, EKONOMISTA:

Jeśli banki przegrają z klientami bitwę o przewalutowanie kredytów frankowych, zwycięzcom i tak trudno będzie przekonać opinię publiczną, że to wygrana w sprawiedliwej wojnie.

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

Frankowicze demonstrują po wzroście kursu szwajcarskiej waluty, Warszawa, 2015 r.

MAREK RABIJ: Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wstrząśnie polskim sektorem bankowym?

PROF. DARIUSZ FILAR: Nie chcę zgadywać. Poczekajmy na decyzję.

Z ostatnich wypowiedzi bankowców wynika, że branża pogodziła się już z tym, że orzeczenie Trybunału w sprawie kredytów indeksowanych kursem obcej waluty będzie dla niej niekorzystne.

Banki zaczęły przyznawać się do winy w kwestii tzw. spreadów walutowych. Rzeczywiście, w wielu przypadkach – bo były też banki, które zachowywały się uczciwie – taka konstrukcja kursowa stanowiła nadużycie wobec klientów. Dzisiejsze ustępstwa w tej sprawie można więc odczytać jako ruch wyprzedzający decyzję TSUE, bo prawdą jest, że może się ona okazać dla banków nie tylko kłopotliwa wizerunkowo, ale też bardzo kosztowna. W ewentualnej decyzji Trybunału najważniejsze nie jest jednak samo uznanie klauzuli różnicy kursowej za nieuczciwy warunek umowy. Kluczowe znaczenie mieć będzie wskazówka, co polskie sądy powinny robić z umowami zawierającymi klauzule abuzywne – i w tym aspekcie sprawa nie wydaje mi się przesądzona. Nawet jeśli Trybunał istotnie wypowiada się zazwyczaj tak samo jak jego rzecznik.

A rzecznik stwierdził w maju, że obecność klauzuli niedozwolonej w polskiej umowie kredytowej unieważnia tę umowę w całości lub oznacza konieczność przekształcenia kredytu w złotówkowy, ale wciąż oprocentowany bardzo nisko podług stawek dla waluty szwajcarskiej.

Po pierwsze – są prawnicy, którzy uważają, że przepisy unijne z 1993 r., na które w tamtej wypowiedzi powoływał się rzecznik, dotyczące nieuczciwych klauzul w umowach konsumenckich, odnoszą się do dostawców prostych produktów i usług, którzy próbują wykorzystywać swoją przewagę w relacjach z klientem – na przykład narzucając kupującym niekorzystne warunki gwarancji. Czy można to zastosować w przypadku kredytu bankowego? Zobaczymy, co na ten temat powie TSUE.

Po drugie – stopa procentowa to po prostu cena za pożyczenie kapitału. Kapitał może być wyrażony w różnych walutach, ale istotą stopy procentowej jest jej nierozerwalne powiązanie z konkretną walutą. Jak mówi jeden z moich kolegów – nikt nie zabroni sprzedaży złota po cenie srebra, ale byłby to ekonomiczny absurd. Jeśli więc umowa miałaby zostać przekształcona z wyrażonej we franku szwajcarskim na złotową, to – przy zachowaniu racjonalności ekonomicznej – stopa procentowa powinna zostać oparta na odpowiednim dla złotego krajowym WIBOR-ze (stopa, po jakiej banki pożyczają sobie złotówki, podawana w umowach kredytowych jako punkt odniesienia do oprocentowania kredytu złotówkowego – red.).

Na odnoszący się do franka szwajcarskiego LIBOR (stopa, po jakiej banki pożyczają sobie m.in. franka na giełdzie w Londynie – red.) po prostu nie byłoby już tutaj miejsca. Wypowiedź rzecznika Trybunału skłania mnie ku przypuszczeniu, że nie jest on z wykształcenia ekonomistą.

Metafora o złocie jest sofistycznie bardzo kusząca. Tylko że zaczynamy w ten sposób rozmawiać znów o problemach banków. Orzeczenie TSUE dotyczy tymczasem sprawy, w której za poszkodowanego uważa się jeden z ich klientów.

Obawiam się, że jednego od drugiego nie oddzielimy.

Ale dlaczego interes banków stawiamy znów przed interesem kredytobiorców? Gdy w 2015 r. Narodowy Bank Szwajcarii przestał bronić kursu rodzimej waluty do euro i frank wystrzelił nagle pod 5 zł, bankowcy powtarzali, że kredytobiorcy muszą ponieść konsekwencje swoich decyzji. Banki nie muszą? ↦

↦ Klientów rzeczywiście nikt nie zmuszał do zadłużania się w obcej walucie. A niektórzy nawet ich zachęcali i uspokajali. I to nie tylko w bankach. Zacytuję panu oficjalny komunikat Klubu Parlamentarnego PiS ogłoszony 1 lipca 2006 r., a więc w dniu, w którym Komisja Nadzoru Bankowego próbowała przynajmniej ograniczyć ekspansję kredytu we frankach szwajcarskich – bo do jego zakazania nie miała, niestety, uprawnień. W tym partyjnym dokumencie możemy przeczytać: „Podstawowe uzasadnienie Komisji Nadzoru Bankowego dla Rekomendacji S, powołujące się na ogromne ryzyko związane przede wszystkim z nagłymi spadkami wartości walut, możliwością znacznego podniesienia stóp procentowych przez zagraniczne banki centralne, a także na możliwy znaczny spadek wartości złotówki, nie znajduje potwierdzenia w danych makroekonomicznych". A ja tylko dla porządku przypomnę, że byłem w tamtym czasie członkiem Rady Polityki Pieniężnej i w przeciwieństwie do posłów PiS-u konsekwentnie ostrzegałem przed wpuszczeniem Polaków do tego walutowego kasyna.

Bankowców też nikt nie zmuszał do wpisywania klientom do umów klauzul niezgodnych z prawem. A teraz, gdy okazuje się, że to ich może słono kosztować, kombinują jak małe dzieci, żeby się wymigać od odpowiedzialności.

Wiele banków przyznało się do posługiwania spreadami w sposób krzywdzący dla klientów i płacą zasądzone z tego tytułu kary. Nie mylmy jednak dwóch spraw. Czym innym jest zwrócenie nienależnie pobranych opłat, które osiągnięto manipulując kursem walutowym, a czym innym znalezienie się w sytuacji, w której rentowność udzielonych kredytów, wynikająca z utrzymania w umowach stopy LIBOR, stałaby się niższa od refinansowania portfela kredytowego na rynku, wynikającego ze znacznie wyższej stopy WIBOR. Z punktu widzenia banków oznaczałoby to udostępnianie kapitału kredytobiorcom po cenie niższej od tej, jaką im samym przyszłoby zapłacić za dostęp do tego kapitału na rynku. W ten sposób wracamy do absurdu ekonomicznego, o którym już rozmawialiśmy. Proszę mi wierzyć, to nie jest dziecinne wymigiwanie się od odpowiedzialności. To walka o życie, bo koszty wynikające z takiego przewalutowania nie tylko mogłyby niektóre spośród banków popchnąć w stronę bankructwa. Mogłyby nawet rozstroić całą politykę pieniężną państwa.

Związek Banków Polskich oszacował już nawet koszty takiej decyzji TSUE na okrągłe 60 mld zł.
Mam to jakoś skomentować?

Poproszę.

To przybliżone szacunki. Osobiście robię następującą kalkulację – wartość portfela kredytów frankowych wyrażona w złotych to wciąż około 100 mld. Średni czas, jaki pozostał kredytobiorcom do spłaty na dotychczasowych zasadach, to 17 lat, a różnica między polską stopą WIBOR i szwajcarską LIBOR (CHF) to około 2,5 punktu procentowego. Z takiego bardzo pobieżnego rachunku wychodzi mi 35 mld zł straty banków. Jeśli uzupełnimy to o zwrot nieuzasadnionych zysków na spreadach i możliwość udania się do sądów osób, które kredyty zdążyły już spłacić, ale zauważą możliwość zrekompensowania sobie poniesionych w przeszłości kosztów, to bez wątpienia wychodzimy na kwoty liczone w dziesiątkach miliardów. Dlatego bardzo przestrzegam przed rozpowszechnianym tu i ówdzie twierdzeniem, że operacja przewalutowania kredytów frankowych na złotowe nie będzie banków kosztować ani grosza.

Zanim przejdzie Pan dalej, ustalmy, co rozumiemy jako koszt lub stratę, bo banki lubią nazywać w ten sposób także niezrealizowane zyski.

Ale nawet te niezrealizowane zyski oznaczają, że wyniki niektórych banków przesuną się w wieloletniej perspektywie na minus i nie będzie sposobu, by to zrekompensować. Niektóre z nich będą musiały przestać istnieć. Sektor bankowy w dużym stopniu utraci zdolność kredytowania polskiej gospodarki.

To ciekawe, bo prezes ZBP przyznał właśnie, że bankom bardziej opłaca się kupować obligacje państwowe, niż pożyczać polskim firmom. A oszczędności indywidualne do kwoty stu tysięcy euro chroni przecież Bankowy Fundusz Gwarancyjny.

Zasoby BFG zostały bardzo mocno uszczuplone na skutek ostatnich upadłości SKOK-ów. Fundusz może przyjść z pomocą jednemu, dwóm bankom. Tymczasem chorobą frankową, w różnym stopniu, zarażonych jest około 20 banków w Polsce. A jeśli chodzi o apetyty banków na obligacje skarbowe, to proszę nie zapominać, że to pozycja aktywów, która od lutego 2016 r. wyłączona jest z podstawy opodatkowania podatkiem bankowym. Dlatego banki pożyczają rządowi, a nie przedsiębiorstwom.

Skoro Pan w kółko o bankach, to ja o klientach. Stowarzyszenie Stop Bankowemu Bezprawiu twierdzi, że niektóre banki w kalkulatorach zdolności kredytowej klienta celowo zaniżały wynik dla złotego, a zawyżały dla franka.

Ode mnie się pan nie doczeka obrony polityki kredytowej polskich banków w minionych dwóch dekadach. Dla wielu banków boom na kredyty hipoteczne był okazją do szybkiego powiększenia portfela kredytowego. Niektóre, nie bójmy się tego określenia, pojechały po bandzie. Ale nie wszyscy. Kiedy byłem głównym ekonomistą banku Pekao SA, świadomie nie zdecydowaliśmy się na przystąpienie do wyścigu na kredyty frankowe, mimo że w krótkoterminowej perspektywie taka decyzja wydawała się wtedy biznesowo niekorzystna.

Od lat powtarzam, że zadłużanie się w walucie, w której się nie zarabia, to igranie z ogniem, zwłaszcza gdy bierze się kredyt na 20-30 lat. Nie mogę też nie zgodzić się z opinią, że banki, zwłaszcza na początku boomu na kredyty walutowe, nie dołożyły należytej staranności w informowaniu o ryzyku związanym z takimi transakcjami. I że nie zawahały się, by oskubać klientów na niekorzystnie dla nich ustawionych kursach wymiany. Będę się jednak upierał, że same kredyty walutowe nie były złowrogą intrygą mającą na celu schwytanie Polaków w pułapkę kursów walutowych. Nie wyszły bankowcom – i tyle.

Część kredytobiorców zarzuca dziś bankom ni mniej, ni więcej jak doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem, wymienione w artykule 286. Kodeksu Karnego.

Dlaczego w takim razie klienci nie zgłaszają tego przestępstwa prokuraturom, tylko wchodzą w kosztowniejszą i bar-

dziej ryzykowną formułę procesu cywilnego, zarzucając umowom kredytowym delikt w postaci klauzul indeksacyjnych? Moim zdaniem prawnicy podpowiadają klientom, która ścieżka daje większe szanse na wygraną. Naprawdę, nie róbmy z posiadaczy kredytów we frankach ofiar systemu bankowego. W Polsce brakowało mieszkań. Banki wykorzystały ten trend do stworzenia nowego produktu, ale zrobiły to, jak wszystko dziś wskazuje, z niedostatecznym uwzględnieniem interesów klientów. Proszę zauważyć, że ani rzecznik TSUE, ani polskie sądy, które coraz częściej obierają linię orzeczniczą bliską opinii rzecznika, nie kwestionują kredytów walutowych jako takich. Problemem jest to, że banki źle skonstruowały umowy.

I teraz grożą im za to konsekwencje finansowe. Co w tym dziwnego? Myśli pan, że konsekwencje poniosą jedynie banki?

Pamiętam identyczną argumentację sprzed 11 lat, kiedy upadł Lehman Brothers, a kilka innych banków uratowali podatnicy. Potem okazało się, że za kryzys zapłacili właścicie tylko podatnicy.

Banki już płacą za swoje błędy. Na warszawskiej giełdzie od ponad miesiąca trwa wyprzedaż ich akcji, a to może świadczyć o tym, że inwestorzy już wyceniają orzeczenie TSUE, zakładając, że może być dla branży niekorzystne. Indeks WIG Banki spadł w lipcu z poziomu 7900 w okolice 7400 punktów.

I znów mówimy o kłopotach banków.

Tak. Ale też o potencjalnych kłopotach ich klientów. Od lat powtarzam, że to banki w największym stopniu ponoszą winę za wywołanie tego kryzysu. Ale teraz nie rozmawiamy o tym, kto zawinił, tylko jak rozwiązać problem. Bo chodzi o to, żeby wyleczyć sektor z frankowej choroby unikając przy tym wstrząsów, które mogą być niebezpieczne dla posiadaczy oszczędności i gospodarki.

Zastanawia mnie, że bankowcy kreślą od razu najczarniejszy scenariusz. Decyzja TSUE będzie tylko wskazówką dla polskich sądów, które klienci muszą dopiero poprosić o unieważnienie klauzul indeksacyjnych. W sądach leży obecnie około dwóch tysięcy takich pozwów. Po wyroku TSUE może być ich więcej, ale nie wierzę we frankowe tsunami, które zmiecie nam banki. To branża, która w zeszłym roku miała 65,1 mld zł przychodów i 14,5 mld zł zysku. Ucierpią prezesi, którzy będą musieli odpisać z bilansów sporo kapitału i pożegnać się przez to z premiami.

A mnie zastanawia co innego: czy to uczciwe, żeby klient frankowy wskutek decyzji TSUE dostał kredyt hipoteczny niemal za darmo, podczas gdy ktoś, kto zadłużył się w rodzimej walucie, za pożyczkę na taki sam cel płacił nadal znacznie więcej? Obawiam się, że jeśli nawet banki przegrają z klientami bitwę o przewalutowanie kredytów frankowych, zwycięzcom i tak trudno będzie przekonać opinię publiczną, że to wygrana w sprawiedliwej wojnie. Zwłaszcza teraz, kiedy już widać, że inflacja w Polsce nabiera rozpędu i podwyżki stóp procentowych wydają się nie do uniknięcia. Kredyty złotowe podrożeją. A jednocześnie posiadaczom kredytów frankowych banki będą musiały darować część długu.

Darować? Raczej zwrócić to, co pobrały niezgodnie z prawem.

Zgodzę się, ale tylko co do spreadów walutowych. Proszę zwrócić uwagę, że hipoteki frankowe należą do najrzetelniej spłacanych w całym portfelu kredytowym polskich banków. Odsetek umów opóźnionych o co najmniej trzy okresy rozliczeniowe nie przekracza 1,27 proc. i jest niższy nawet od tego samego wskaźnika dla kredytów mieszkaniowych w złotym (1,3 proc.). Obsługa tych kredytów nie boli więc klientów aż tak bardzo, jak sugeruje choćby Stowarzyszenie Stop Bankowemu Bezprawiu.

> Dla wielu banków hipoteczny boom był okazją do szybkiego powiększenia portfela kredytowego. **Niektóre pojechały po bandzie.**

Bo na kredyt mie szkaniowy pieniądze muszą się znaleźć – kosztem innych wydatków. Spłata hipoteki w prawie każdym badaniu zwyczajów konsumenckich Polaków pojawia się jako jeden z priorytetów.

Znam te badania. Ale czytałem również statystyki, z których wynika, że wśród hipotek frankowych jest więcej zaciągniętych na cele spekulacyjne niż wśród złotowych. Słyszałem o takich, którzy za kredyt we frankach kupowali w Trójmieście po dwa stumetrowe apartamenty.

I banki trzymały takie dane w szufladzie? Na czarną godzinę? Nie mogły wcześniej wyjść z ofertą pomocy dla frankowiczów, ale ograniczoną do tych, którzy zadłużyli się na zakup pierwszego własnego mieszkania?

Przypominam, że banki miały program pomocy dla nieradzących sobie ze spłatą po wzroście kursu franka. Ale faktycznie, dziś można powiedzieć, że tamte propozycje były niewystarczające. Uważam, że najlepsze rozwiązanie problemu pojawiło się na początku dyskusji na ten temat. Ówczesny szef Komisji Nadzoru Finansowego zaproponował wtedy, żeby kredyty frankowe przewalutować na złotowe po kursie ich otwarcia, ale z przeliczeniem oprocentowania wstecz w oparciu o stawkę WIBOR dla złotego. Kredyty frankowe po prostu stałyby się złotówkowymi, tak jakby nigdy nie miały nic wspólnego ze stopą LIBOR dla franka. Zniknęłoby i ryzyko kursowe, i problem skokowego wzrostu wysokości zadłużenia do wartości nieruchomości.

Kosztem wyższej raty.

Być może czegoś nie doczytałem, ale nie przypominam sobie, żeby ze środowiska frankowiczów wyszła wtedy jednoznaczna aprobata dla tego rozwiązania.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

PROF. DARIUSZ FILAR *jest ekonomistą związanym od lat z Uniwersytetem Gdańskim. Specjalizuje się w makroekonomii. W latach 2004-10 był członkiem Rady Polityki Pieniężnej.*

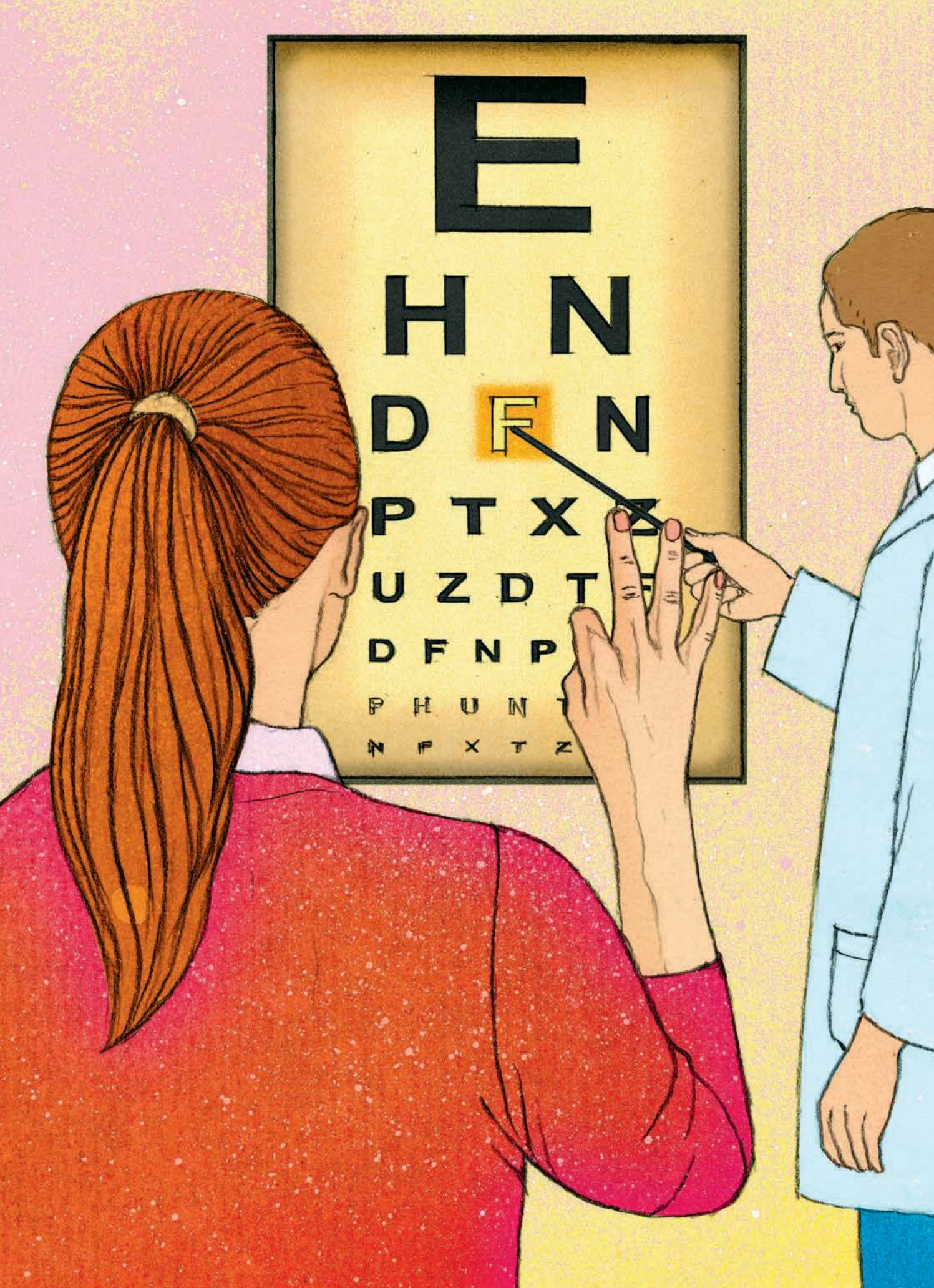
E
H N
D F N
P T X
U Z D T
D F N P

Protest, którego nie usłyszycie

TEKST ANNA GOC | ILUSTRACJA MAGDA WOLNA

Najgorzej jest u psychiatrów. O ile złamaną kość można prześwietlić, to w chorobie psychicznej bez komunikacji się nie obejdzie.

GŁUSI I TŁUMACZE POLSKIEGO JĘZYKA migowego nie wychodzą na ulice, by zaprotestować. Ale wystarczy między nich wejść, by sobie wyobrazić, co mogliby mówić podczas takiej demonstracji.

NAJPIERW KAROLINA, tłumaczka z Warszawy: Wie pani co? My musimy niejednemu lekarzowi wyjaśniać nawet to, że głusi nie słyszą.

Było tak: laryngolog, patrząc na mnie, pokazując na głuchą kobietę: – Mówi?

Ja: – Jest głucha, używa języka migowego.

Laryngolog, zdziwiony: – Jak to nie mówi?

Ja: – Proszę pana, ma niedosłuch na poziomie 120 dB, nic nie słyszy, więc jak ma mówić?

Laryngolog nachylając się nad głuchą z lusterkiem, mówi: – Powiedz „AAA...".

Kobieta nic.

Laryngolog dalej: – „AAA... AAA...".

Kobieta nic.

– Całkowicie głucha, nic nie słyszy, nie mówi – stwierdza.

Wyobraża to sobie pani? Lekarz!

Inny przykład, niedawny. Do ośrodka, w którym pracuję, przychodzi dziewczyna z Mokotowa. Ma 40 lat i co się widzimy, to ma mniej zębów. W ostatnim półroczu straciła cztery. W końcu pytam:

– Marta, dlaczego ty nie masz zębów? Nie mogłaś naprawiać? Borować?

Miga: – Ja nie wiem, lekarz wyrywać.

Dzwonię do jej dentysty.

– Czy pan nie może zębów leczyć?

Lekarz: – Pani Marta chciała wyrywać.

– Skąd pan wie?

– Pytałem: „leczymy czy wyrywamy?", kiwała głową, więc wyrywałem.

ZA NIĄ BOŻENA, tłumaczka z Warszawy: To nasza największa zmora, odkręcić coś, co ustali lekarz sam na sam z osobą głuchą. Z moją głuchą mamą od lat chodzimy do tych samych lekarzy. I oni już wiedzą: jak coś się dzieje, od razu dzwonią do mnie. Cyrk zaczyna się, gdy trafia do szpitala.

Mamę zabiera karetka z przychodni. Ja wsiadam do samochodu.

Mamę wiozą na SOR. Ja wbiegam do szpitala.

Mamę przewożą do lekarza. Ja za nią, ale nie chcą mnie wpuścić.

Mama czeka na badania. Ja w rejestracji: – Mama głucha, pogotowie przywiozło, ja córka, pomogę w komunikacji.

– Lekarz da sobie radę, proszę czekać.

Mama w sali nie wie, jak poprosić o wodę. Ja w poczekalni myślę, co tam się dzieje.

W końcu nie wytrzymuję: – Rozumiem, że lekarz ustalił, na jakie leki mama jest uczulona?

– Zaraz, chwileczkę, sprawdzę.

Po chwili: – Lekarz zaprasza.

Lekarz do mnie: – Na jakie leki mama jest uczulona?

A ja: chwileczkę, sprawdzę, co z mamą, czy nie chce pić, czy do toalety nie potrzebuje, a potem mówię: – Na żadne, panie doktorze. Ale panu nie udało się tego ustalić przez trzy godziny.

Bo wie pani, jak to zwykle wygląda?

Lekarz ma przed sobą osobę głuchą, więc mówi głośno, powoli i wyraźnie: – Czy pa-ni mia-ła za-wał ser-ca?

Osoba głucha kiwa głową. Lekarz podsuwa karteczkę: – A to pa-ni mia-ła?

Znowu kiwa głową.

Czy ta osoba miała zawał serca? A skąd!

Osoby głuche często nie wiedzą, na co są leczone. Gdy się im leki skończą, przychodzą do tłumaczy i proszą, żeby im na kartce zapisać, że potrzebują jeszcze. I z tą kartką idą do lekarza. A potem wracają, z kolejną karteczką, od lekarza. Mam tych karteczek całe segregatory.

Ale dobrze, że przychodzą. Przykład? Pan miga, że potrzebuje jeszcze tego leku, bo na razie nie pomógł. Patrzę, lek na zapalenie pęcherza, dawka uderzeniowa. Pytam: – Byłeś u lekarza? On ci kazał brać ten lek tak długo?

Głuchy przytakuje. Podejrzane.

– A jak kazał ci go brać?

Głuchy wyjmuje karteczkę, a tam „1x7". I miga, że brał jedną tabletkę co tydzień. Sprawdzam ulotkę: brać codziennie, przez siedem dni.

OBOK EWA, tłumaczka ze Szczecinka: Dlatego ja się tak łatwo nie daję wyrzucić z gabinetu. Raz było tak: głuche dziecko głuchej kobiety ma problemy skórne. Jest leczone antybiotykiem. Matka miga do mnie, że smaruje, smaruje i nic. Biorę dzień wolnego, idziemy razem do lekarza.

Dermatolog: – Ale po co pani przyszła? My się świetnie dogadujemy.

– Jestem tu na prośbę matki – mówię. To jedno z tych zdań, które zwykle działa.

Dermatolog: – Jak już się pani upiera, to proszę. Słucham. Co się dzieje?

Matka miga, tłumaczę: – Smarowaliśmy trzy razy dziennie, nie pomaga.

Dermatolog: – Jak to trzy razy dziennie? Przecież mogła pani dziecku skórę spalić.

I RYSZARD, tłumacz z Łodzi: Hasło „my się dobrze dogadujemy" znam od lat, może na studiach ich tego uczą? Poszedłem z tatą do lekarza: – Dzień dobry, mój tata nie słyszy, będę tłumaczył.

Lekarz do mnie: – Dogadamy się, proszę wyjść.

Wyszedłem. Zza drzwi dobiega krzyk, potem ryk. Po chwili lekarz pojawia się na korytarzu: – Pana tata jednak nie słyszy, czy może pan wrócić?

A ile razy było tak, że lekarz mówił do mnie i prosił, żeby głuchemu przetłumaczyć wszystko już na korytarzu?

DALEJ MARTA, tłumaczka z Łodzi: Kiedy coś dłużej tłumaczę, wyjaśniam trudne słowo, w końcu lekarz nie wytrzymuje i pyta, jakby zapomniał, że osoba głucha dalej siedzi w gabinecie: „Ale co, ta pani tego nie rozumie?".

I JESZCZE RAZ BOŻENA, tłumaczka z Warszawy: Jak byłam na komisji lekarskiej z osobą głuchą, pani doktor wyprosiła mnie z gabinetu, mówiąc, że nie jestem potrzebna, bo ma wszystkie dokumenty. ↦

↦ A poza tym głusi czytają z ust. Gdy próbowałam wyjaśnić, że nie wszyscy, opowiedziała: „Bzdura, ich tego w szkołach uczą”.

ZA NIMI PIOTR, tłumacz z Katowic: Zdarza się, że personel boi się głuchego pacjenta. Niby ktoś miał jakiś kurs migowego, 30- albo 60-godzinny, ale jak przychodzi nagle osoba głucha, to nie wie, co robić.

OBOK KARINA, tłumaczka z Konina: Boją się do tego stopnia, że nie chcą przyjmować osób głuchych nawet z tłumaczem. Poszłam z bezdomnym głuchym do szpitala, na oddział leczenia uzależnień, żeby go zapisać na terapię. Mówię lekarzowi, że to dla niego ostatnia szansa, bo jest bliski załamania. Lekarz na to, że skoro jest głuchy, to oni nie mają jak go przyjąć, bo nie mają go jak leczyć. Zaproponowałam, że mogę przyjść jako tłumacz, nawet za darmo, a potem postaramy się o jakieś dofinansowanie. Odpowiedział, że to forma terapii grupowej, a ja jestem osobą postronną. Więc nie mogę. Nawet nie spytał o to grupy. Tamten człowiek wpadł w ciąg, straciliśmy kontakt. Spotkaliśmy się dwa lata później, w szpitalu, na oddziale zakaźnym, bo groziła mu amputacja nogi. Nie poznałam go.

I MAGDA, tłumaczka z Krakowa: Gdy chcę wezwać pogotowie, mogę od razu zadzwonić. Głuchy musi wysłać esemesa, wypełnić formularz, odpowiedzieć na pytania, uruchomić aplikację. Można sobie wyobrazić: nie znasz dobrze jakiegoś języka i musisz w tym języku napisać, co się dzieje twojemu dziecku.

WRACA MARTA, tłumaczka z Łodzi: Aplikacje działają tylko w niektórych województwach. To tak, jakby karetka jeździła tylko w wybranych. Dlatego wciąż działa tzw. pomoc sąsiedzka. Dzieje się coś nagłego, głuchy biegnie do sąsiada. O ile może.

TERAZ EUNIKA, tłumaczka z Poznania: Ja nigdy nie wyłączam dźwięków w telefonie na noc. Bo się boję, że jak wyłączę, to ktoś zginie. I na ten stres naraża mnie państwo polskie. Nawet się zastanawiam, czy nie wytoczę państwu polskiemu procesu. Rok temu głuchy chłopak próbował się powiesić, a do mnie pisała jego głucha dziewczyna: „Błagam, pomocy”. Takie esemesy dostaję codziennie. Niech pani spojrzy, tylko z wczoraj: poród, okulista, problemy w pracy, jak napisać CV. Byłam już przy porodach i pogrzebach. W szpitalach i w kostnicy. U lekarzy chyba wszystkich specjalności.

Raz tylko puściłam głuchą dziewczynę samą do lekarza. To było dwa lata temu. Kaszlała, wydawało się, że nic takiego. Nagle dostaję esemesa: „Ratuj”. Pędzę do szpitala, ona przypięta pasami, kilku lekarzy wokół. Okazuje się, że to zapalenie wsierdzia, trzeba operować.

Ona na mój widok zaczyna wyrywać się spod pasów, chce coś przekazać. Lekarze ruszają do niej, myślą, że to wymachiwanie rękami, agresja.

Ja do nich: – Czyście zwariowali? Rozluźnić jej ręce, bo chce coś powiedzieć! I gdzie jest tłumacz?

Oni do mnie, że mam wyjść i jakim prawem pytam, skoro nie jestem z rodziny.

Dziewczyna do mnie: – Co się dzieje, jaka operacja?

Ja wzywam ordynatora, oni policję.

Dziewczyna zaczyna płakać. Migam, żeby się uspokoiła, bo zaraz mnie wywalą. Do lekarzy: czy potrafią sami przekazać głuchej, co się dzieje. Nie potrafili, więc zostałam, z łaską.

Tylko że nie zawsze chodzi tylko o to, żeby coś przetłumaczyć. Bo zdarza się i tak, że aby pomóc głuchym, trzeba znać ich świat.

Najgorzej jest u psychologów i psychiatrów, bo o ile złamaną kość można prześwietlić, a anemię rozpoznać w badaniu krwi, to już przy chorobie psychicznej bez komunikacji się nie obejdzie.

Jestem z głuchym u psychiatry.

Psychiatra: – Niech go pani spyta, czy słyszy głosy.

Głuchy miga, że nie.

Lekarz się dziwi, a ja pytam:

– A czy kogoś tam widzisz? Czy ktoś do ciebie w głowie miga?

Głuchy: – Tak, aniołowie.

Ja: – Lubią mnie?

OBOK ANNA WIŚNIEWSKA-JANKOWSKA, psycholożka i psychoterapeutka z Poznania, jedna z kilku w Polsce, która prowadzi terapie w języku migowym:

Osoby głuche, które przychodzą na terapię, często wychodzą z rodzin, które nie migają. Proszę to sobie wyobrazić: posługuje się pani jakimś językiem, innego nie może się pani nauczyć albo jest to bardzo trudne, a pani rodzice nie decydują się na naukę pani języka. Nie macie prawie żadnego kontaktu. U tych osób pojawia się poczucie, że najbliżsi nie uznali kontaktu z nimi za na tyle cenny, by było warto w niego włożyć wysiłek. Takie dziecko może czuć się niekochane.

Z NIĄ ALEKSANDRA, tłumaczka z Poznania: W Polsce nie ma psychiatrów znających język migowy. Jeśli idę jako tłumacz na wizytę do psychiatry, to zawsze pracuję za darmo. Osoby głuche nie powinny przychodzić na terapię z kimś z rodziny czy z tłumaczem, którego znają od lat. A zwykle innej możliwości nie mają. Środowisko jest na tyle małe, że rezygnują z terapii. Tylko raz pani psychiatra zadzwoniła do mnie i poprosiła o tłumaczenie. W dniu wizyty szpital jednak wycofał się z zapłaty dla mnie: stwierdzono, że nie ma na to środków. Zostałam, tłumaczyłam za darmo. Pani psychiatra przepraszała i pewnie już więcej do mnie nie zadzwoni.

GŁOSY Z TŁUMU: Ale i tak najgorzej, gdy do gabinetów z głuchymi rodzicami wchodzą ich słyszące dzieci. A zaczynają tłumaczyć już jako czterolatki, m.in. u kardiologów, onkologów, ginekologów.

WRACA KARINA, tłumaczka z Konina: Nie ma znaczenia wiek. Ja miałam 19 lat. Musiałam mamie przekazać diagnozę. Wyglądało to tak: lekarz mówił do mnie, zaczęłam płakać, mama złapała mnie za ramię, co się dzieje. Dopiero jak wyszłyśmy z gabinetu, powiedziałam jej, że ma raka żołądka. Potem telefon do dziadków i ich wściekłość, jak mogłam powiedzieć mamie prawdę.

Potem operacja: my słyszący wiemy, że są dwie opcje – albo będzie krótka, bo już nic nie da się zrobić, albo długa, bo będą próbowali mamę ratować. Mama o tym nie wie. Operacja jest krótka.

I kolejna scena: mama się budzi po operacji, przy łóżku ja, brat i dziadkowie. Mama pyta, co dalej, a dziadek od razu do mnie: – Nic jej nie mów.

Więc zaczynam migać, że niby nie jest dobrze ani nie jest źle. Ale wie pani, jak się obserwuje czyjąś twarz od prawie dwudziestu lat, a tak patrzą na twarze swoich dzieci głuche matki, to się zna każdy grymas.

Jedno kłamstwo ciągnęło się przez dwa miesiące, do jej śmierci. Ale ona wiedziała, musiała wiedzieć, co się dzieje. Ja to do dziś czuję, nie potrafię sobie wyba-

czyć tego, że uległam kłamstwu, choć minęło kilkanaście lat. I wie pani co, teraz wolę prawdę, nawet najgorszą. Tylko się zastanawiam: dlaczego żaden z lekarzy nie spytał, czy to jest OK, że ja jestem tłumaczką mamy.

DALEJ KILKA OSÓB Z ELBLĄGA. Najpierw Marianna, głucha, i tłumaczka Anna: Problemy w służbie zdrowia są już w rejestracji! Napisałam pani w rejestracji swój numer telefonu i informację „Jestem głucha, nie dzwonić, tylko esemes". By zanieść tę karteczkę i umówić męża na badanie tomografem, wzięłam dzień urlopu. Dwa dni przed badaniem zadzwonił nieznajomy numer. Wysłałam esemesa: „Jestem głucha, kto dzwoni?". Nikt nie odpisał. W dniu badania wzięłam kolejny dzień urlopu i poszłam z mężem. „Tomograf jest zepsuty, dzwoniliśmy w tej sprawie". Straciłam dzień urlopu, ale nie nadzieję, napisałam na karteczce: „Jestem głucha, nie dzwonić, tylko esemes". Pani w rejestracji pokazała mi telefon stacjonarny. Dwa dni przed kolejnym terminem ktoś dzwonił. Pamiętając, jak wygląda telefon stacjonarny, poprosiłam słyszącą koleżankę, by oddzwoniła na ten numer. Badanie znów zostało przesunięte.

OBOK MARIA i tłumaczka Anna: Poszłam do okulisty, oko spuchnięte. Stanął za mną, podświetlał coś na tablicy. Nie wiedziałam, o co chodzi. Potem domyśliłam się, że mam czytać litery. Starałam się, ale nie wiem, czy coś zrozumiał, bo nie potrafię chyba mówić. Założył mi jakieś okulary. Oko boli – pokazywałam palcem na oko. Machnął ręką, a potem pokazał na drzwi. Dostałam krople, nie wiem na co. Nie wiem też, dlaczego oko bolało.

ZA NIMI PIOTR, pracownik PZG, z Łodzi: Osoby głuche cały czas muszą się czegoś domyślać. Moja znajoma ledwo przeżyła poród, bo nie dostała pełnej informacji. Może pani do niej napisać na messengerze, Katarzyna dobrze zna polski, co wśród głuchych jest raczej rzadkością.

FRAGMENTY WIADOMOŚCI od Katarzyny: „To był mój pierwszy poród, cesarskie cięcie. Zero informacji. Co, jak, dlaczego. (...) Przyjechałam z mężem, ciśnienie podskoczyło do ponad 200 (...). W połowie ciąży zaczęły się problemy z ciśnieniem. Brałam leki, było OK. Nagle po świętach skoczyło, nie wiem dlaczego. (...) Szybka decyzja: zostaję w szpitalu. Przy przyjęciu było OK. Młoda pielęgniarka, nie robiła problemów, żeby pisać na kartce. (...) Dostałam leki, domyśliłam się, że na ciśnienie. (...) Jeśli coś do mnie mówili, to nie rozumiałam. Kartka i długopis przestały obowiązywać. Nagle podchodzi i mówi, żebym się szykowała. Ja czasami odczytuję z ust, ale nie od każdego. Mówię »Na co?«. Za 30 minut pani rodzi. Jak lekarz powiedział, że mam się przygotować, to zapytałam pielęgniarki, powiedziała, że cesarskie cięcie. (...) Coś podpisywałam na pewno, ale nie wiem co. (...) Po porodzie było gorzej. Żadnych informacji, na obchodzie było kilka osób, nic nie rozumiałam. Mój mąż jest głuchy, moi rodzice są głusi, męża też, nie miał mi kto pomóc. (...) Lekarze wchodzili, coś mówili, wychodzili. Próbowałam pytać pielęgniarki, ale rozumiałam 20 proc. (...) Jedna sytuacja była najgorsza. Lekarz przyszedł i dał mi do podpisania zgodę na transfuzję. Wystraszyłam się i poprosiłam o pisemną informację, dlaczego mam ją mieć. Jakie jest ryzyko odmowy. Nie dostałam informacji. (...) Udało mi się odczytać z ruchu ust lekarza, że za dwie godziny przyjdzie po decyzję. W ciągu tych dwóch godzin szukałam informacji w internecie. (...) Pielęgniarka powiedziała, że to żelazo. Nie wiedziałam, jaką mam wartość żelaza. (...) Zdecydowałam się nie zgodzić. Lekarz pokazał znak krzyża. Narysował go palcem [nade mną]. Spanikowałam. A potem podniósł dwie ręce do góry, taki znak »To nie ja«, że nie bierze odpowiedzialności. Wyszedł, już więcej się nie pokazał".

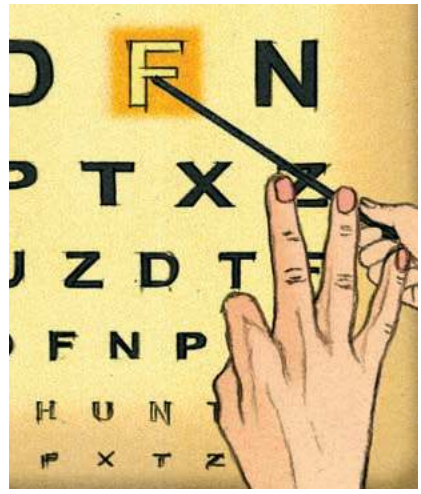

MARIA:

Domyśliłam się, że mam czytać litery. Starałam się, ale nie wiem, czy okulista coś zrozumiał, bo nie potrafię chyba mówić.

GŁOSY Z TŁUMU: Podczas porodów głuchych najczęściej tłumaczkami są matka, wychowawczyni z internatu, tłumaczka lub tłumacz albo własne dziecko.

WŚRÓD NICH MONIKA, głucha, i Magdalena, tłumaczka z Krakowa: Jak to wyglądało? Odczytywałam z ust słowa: „przyj", „oddychaj". Jedna osoba podawała informację „przyj", inna, stojąca obok mnie, z ust której odczytywałam, powtarzała. Ale z opóźnieniem, więc zdarzało się, że parłam za późno. Zdałam się na siebie. Do porodu przygotowywałam się pytając głuche koleżanki, co jest ważne. Czy nie chciałam iść na bezpłatny kurs rodzenia? Chciałam, ale w moim mieście nie było dostępnego tłumacza języka migowego.

JESZCZE RAZ KAROLINA, tłumaczka z Warszawy: Inna historia, sprzed dwóch lat: głucha kobieta dostała skierowanie na badania prenatalne, które powinno się zrobić między 11. a 13. tygodniem ciąży. Tyle że ani lekarz, ani pani w rejestracji nie wyjaśnili jej, co to są badania prenatalne i kiedy trzeba je zrobić. Nie było terminu, więc zapisano ją na nie po 20. tygodniu ciąży. W trakcie badania nie było tłumacza, za to na wyniku był dopisek: „Wskazana konsultacja lekarza genetyka". Przerażona zadzwoniła do mnie. Powtórzyłyśmy badania – wyniki były tak złe, że kobieta chciała usunąć ciążę. Ale to już był 24. tydzień i żaden lekarz nie zgodził się wykonać zabiegu. Nie mogę mówić o szczegółach, mogę powiedzieć, że jedyne, co się udało, to znaleźć tej kobiecie opiekę psychologiczną.

MARTA, tłumaczka z Łodzi: O tłumacza stara się głuchy. Najpierw przychodzi do nas, miga, na co potrzebuje, potem wypełniamy wniosek, zanosi go do pomocy społecznej, zaznacza liczbę godzin, choć nigdy nie wiadomo, ile się przyda. Raz odpowiedź przyszła po czterech miesiącach. Jeśli słyszący czekają na terminy u lekarzy, to głusi czekają podwójnie: na terminy u lekarzy i na tłumaczy. Chorującym przewlekle radzimy, by składali wnioski tuż po nowym roku. ↦

Z BOŻENĄ, tłumaczką z Warszawy: Miasto dofinansowuje około czterdziestu wyjść w miesiącu, czyli dwa dziennie. Załóżmy, że jedziemy z głuchym na onkologię do Wieliszewa. Nie mamy służbowych samochodów. Żeby dojechać na dziewiątą do szpitala, z centrum trzeba wyjechać o siódmej. Pobranie krwi, dziki tłum. Wywoływanie, osoba głucha nie usłyszy, przepadnie kolejka, więc trzeba dopilnować, by weszła. Dwie godziny czekania na wyniki. Potem kotłowanie do onkologa. Wizyta o trzynastej. Jak się autobusy zgrają, jesteśmy w centrum o piętnastej. W karcie pracy mam wpisane tłumaczenie od trzynastej do trzynastej piętnaście.

I Z DOMINIKIEM, tłumaczem z Łodzi: Kiedyś rodzina zgłosiła nam, że zaginęła starsza pani, głucha. Pomagaliśmy w poszukiwaniach. I nagle, po kilku dniach, udało się ją namierzyć w jednym ze szpitali. Przez telefon nic nie chcieli powiedzieć, daliśmy znać jej siostrze, gdzie jest. Nie wiem, jaki był jej stan, nim tam trafiła, ale gdy jej siostra przyjechała, już nie żyła. Szpital nie wezwał tłumacza. Jak się porozumieli? Nie wiem. Jakoś musieli, bo wiedzieli, jak się nazywa, choć nie miała dokumentów. Może pisali do siebie na kartce?

POTEM EWELINA, głucha, i Anna, tłumaczka z Warszawy: Lekarze nie mają czasu pisać z nami na kartkach. Rzadko się zgadzają. To było w zeszłym roku, w maju. Do alergologa zapisałam się cztery miesiące wcześniej. Pani przy rejestracji widziała, że jestem głucha, ale nie spytała, czy potrzebuję tłumacza. W dniu wizyty wzięłam numerek, ustawiłam się w kolejce. Pielęgniarka wychodziła i coś mówiła, starałam się zrozumieć co. Nagle jakaś pani, z dalszym numerkiem, weszła przede mną. Poszłam do lekarza spytać, pokazałam jej mój numerek, a ona zaczęła mówić. Poprosiłam, żeby pisała, bo nie słyszę. Zrozumiałam, że kazała mi wyjść. Po jakimś czasie poszłam do niej znowu, bo moja godzina wizyty dawno minęła. Dalej mówiła. „Co pani mówi?" – napisałam na kartce. Pokazałam, żeby też pisała. Zrobiła oburzoną minę. Kazała mi w końcu przyjść za miesiąc z tłumaczem. Jak to? Tyle czekałam, żeby wizyta przepadła? Jestem na coś uczulona, nie wiem na co, mam czekać kolejny miesiąc? Wtedy wstała, złapała mnie za rękę i wypchnęła z gabinetu. Zdenerwowałam się, z ruchu ust odczytałam, że mówi coś o ochronie. W gabinecie zastępcy dyrektora powiedziano mi, że mogę złożyć skargę. Kiedy wszystko dokładnie opisywałam, zadzwoniła ta pani i powiedziała, że byłam agresywna. Dwa miesiące później pocztą przyszła informacja, że moją skargę odrzucono.

PO NICH ALEKSANDRA, tłumaczka z Poznania: Głusi są bezbronni za każdym razem, kiedy czegoś nie rozumieją. A więc wśród słyszących, bez tłumacza, właściwie przez cały czas. Uczestniczyłam w tłumaczeniu przyjęcia pacjentki do szpitala. Pacjentka weryfikowała ze mną pewne fakty. Chciała usłyszeć moją wersję, bo wersja personelu była taka, że nie mogła uwierzyć. Potwierdziłam, że ma rację. Nie mogę zdradzać szczegółów – chodzi o zapis w dokumentacji medycznej, który nie zgadzał się z rzeczywistością.

Z ALEKSANDRĄ, tłumaczką z Wrocławia: To duży problem, jak nie być jednocześnie tłumaczem i matką, opiekunką, przyjaciółką. Ile razy idziemy do lekarza, przekazujemy diagnozę, a głusi pytają: „A ty, co byś zrobiła?" albo: „To jest groźne?". Przychodzą z wynikami badań i pytają, co to znaczy. Patrzę: „guzy", wrzucam w wyszukiwarkę. Głuchy stoi obok i obserwuje moją twarz. Jeden grymas i on już pyta: „Będę umierał?". Wyjaśniam, że różne rzeczy są napisane, może to być nowotwór, może być guz łagodny.

Ale najgorzej, gdy głuchy nawet w języku migowym nie rozumie tego, co tłumaczymy. Jedną taką historię pamiętam dobrze: znałam go z widzenia, nie to, co moich głuchych – z imienia, nazwiska i numeru buta. Przychodził do związku głuchych grać w karty i bilard. Na tamtą wizytę miał iść z nim inny tłumacz, ale coś w ostatniej chwili wypadło. W gabinecie lekarz powiedział od razu: – Ma pan raka płuc.

– Rak płuc – przemigałam. Na twarzy chorego nic się nie zmieniło. Wie pani, to jest dziwne uczucie, powiedzieć komuś, że jest poważnie chory i przypuszczać, że nie zrozumiał. Próbowaliśmy potem z lekarzem wyjaśniać, ale nie wiem, czy się udało. Podobnie było z panią, która miała mieć biopsję tarczycy. Przeliterowałam słowo „biopsja", spytałam, czy wie, co znaczy. Nie wiedziała. Lekarz wyjaśniał, ja migałam:

– Będzie igła w szyi, pobiorą kawałek.

Nie zgodziła się, a lekarz zanotował, kto był podczas spotkania tłumaczem.

JESZCZE RAZ DOMINIK, tłumacz z Łodzi: Proszę zawsze lekarza, żeby trudne słowa wyjaśnił. Najpierw je literuję, a jeśli głuchy dopytuje, proszę lekarza, żeby wyjaśnił. Byłem z osobą głuchą u kardiologa, i tam są słowa: „koronografia", „stenty", trzeba pokazać, że przez żyły wchodzi się do serca. Niski indeks glikemiczny? Wymieniam jedzenie, którego nie można jeść. Tłumaczę, że podniesie się cukier. Gorzej z pompą insulinową – nawet lekarz nie potrafił w prosty sposób wyjaśnić, jak działa.

ANNA, tłumaczka i prawniczka z Olsztyna: Wie pani, co jest najgorsze? Że osoba głucha nigdy nie złoży skargi. A przecież każda z tych sytuacji to przynajmniej kilka złamanych praw pacjenta, które ustawowo przysługują wszystkim obywatelom. Prawo do informacji o swoim stanie zdrowia i o rodzaju i zakresie świadczeń zdrowotnych udzielanych przez podmiot udzielający świadczeń zdrowotnych. Prawo do tajemnicy informacji. Prawo do wyrażenia zgody na udzielenie określonych świadczeń zdrowotnych lub odmowy takiej zgody, po uzyskaniu pełnej informacji (tzw. zgoda poinformowana). Prawo do dostępu do dokumentacji medycznej. Dlaczego osoby głuche nie złożą skargi? Bo nie wiedzą, że takie prawa im przysługują, a poza tym do prawnika też musiałyby iść z tłumaczem. Znów na swój koszt.

Nad protestem powiewałby transparent: „Chcemy służby zdrowia, nie weterynarii".

Ustawa o języku migowym i innych środkach komunikowania, która weszła 1 kwietnia 2012 r., miała umożliwić komunikację w języku migowym m.in. w służbie zdrowia, tyle że nie określała, w jaki sposób. W tym miesiącu parlament przyjął ustawę o dostępności: jeszcze bardziej dostępne dla osób głuchych mają być m.in. gabinety lekarskie. To kolejna ustawa, po której głuchym osobom ma się w Polsce żyć lepiej. ©℗ ANNA GOC

Nazwa jednego z miast, a także imiona dwóch bohaterek zostały zmienione. Materiał powstał dzięki dofinansowaniu przez Fundację Towarzystwa Dziennikarskiego „Fundusz Mediów".

ANNA

Dziewit-Meller:
Off-patriotyzm

Nie ma co ukrywać, w nadmiernym podniecaniu się sprawami narodowymi, we wszelkich zbiorowych polskich emocjach jestem słaba. Możliwe, że winę za to ponosi moje klasyczne śląskie wychowanie, przebiegające w duchu „weź, nie fandzol gupot", sceptyczne wobec romantycznych zrywów, uniesień ponad miarę i innych tego typu niejasnych dla mnie odlotów.

Nie raz, nie dwa widzę przecież, patrząc kątem oka, jak mój na wskroś mazowiecki mąż szlocha, poruszony zupełnie nieprzemawiającą do mnie sceną, która gra na jakiejś zbiorowej a obcej mi emocji, na odruchach bezwarunkowych zrodzonych z tłuczonej nam w szkołach do głów tradycji kochania cmentarzy i klęsk. Czy to film w kinie, czy to jakaś kolejna manifestacja w słusznej sprawie – może bym i chciała się tak umieć rzucić głową w tę rozedrganą emocję, ale pokolenia twardo po ziemi stąpających pragmatycznych śląskich praszczurów trzymają mnie w garści.

Ale wszystko do czasu, jak to u nas godają – przyszła kryska na Matyska: wzięło mnie ostro i poczułam ci ja nagle przypływ głębokich uczuć do ojczyzny i potrzebę budowania wspólnoty.

A działo się to wszystko w miejscu i o czasie raczej całkowicie niesprzyjającym jakimkolwiek refleksjom tego typu, czyli podczas katowickiego OFF Festivalu, na początku sierpnia.

Przyjechaliśmy tam całą rodziną, co być może – jak wie każdy rodzic przedszkolaków – jeszcze dalej powinno mnie odsunąć od rozważań na temat miejsca narodu w moim sercu, bo ogarnianie dwójki rezolutnych a szybkich przy tym osób w wieku do lat siedmiu nie sprzyja jakimkolwiek refleksjom poza tymi, jak patrzeć w dwóch przeciwległych kierunkach naraz.

Mijało więc sobie ostatnie przyjemne niedzielne popołudnie w Dolinie Trzech Stawów – mnóstwo znajomych, przyjazne twarze, powszechny brak koszulek patriotycznych i tatuaży w duchu „Pamiętamy" i „Śmierć wrogom ojczyzny", ekologiczne kubki zwrotne na cienkie piwko, wegetariański kotlet w orkiszowym pieczywie, biodegradowalne talerze, książki Marcina Napiórkowskiego do kupienia, słowem – daleko od ronda Dmowskiego.

I oto nagle na scenie głównej pojawił się zespół Śląsk. Moja 5-letnia córka, zafascynowana kolorowymi strojami pań z zespołu, pociągnęła mnie pod scenę, a ja przeciskając się przez dziki tłum, jaki się nagle zjawił, by zobaczyć ten koncert, pisałam właśnie SMS-a do mojego ojca: „Nie uwierzysz – największy hit festiwalowej niedzieli – zespół Śląsk. Totalne szaleństwo!". Tata jednak – człowiek, co z niejednego pieca już się chlebem pożywiał, z typowym dla siebie śląskim dystansem do wszystkiego, odpisał od razu krytycznie, w duchu „wszystko pięknie ładnie, ale pamiętajmy, że te niby śląskie piosenki napisał pan Hadyna na polityczne zamówienie po wojnie". Nie da się zaprzeczyć – władza kochała zespół Śląsk, a sam wojewoda Jerzy Ziętek rzekł Hadynie: „Toż róbcie, Stanisławie, swoje", roztaczając nad nim swój pancerny parasol. Tym razem jednak – ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu – nawet ta silna dawka szczepionki przeciwko emocjonalnym wybuchom nie zadziałała.

Stałam pod samą sceną, trzymając na rękach rozpromienioną córkę, która co chwilę krzyczała mi do ucha: „Mamusiu, ja chcę tańczyć w takim zespole!". Nagle ze sceny popłynęły dźwięki „Ondraszka", pieśni o zbójniku, który oczywiście rabował bogatych i rozdawał biednym, a zdradzony przez jednego ze swojej bandy – niejakiego Juraszka – został ponoć dla przykładu poćwiartowany na rynku we Frydku.

W dzieciństwie słyszałam tę pieśń wiele razy – może w radiu, może w jednym z trzech istniejących wówczas kanałów telewizji, może podczas odwiedzanego przez nas latem każdego roku Tygodnia Kultury Beskidzkiej w Wiśle albo w Żywcu, nie pamiętam już dobrze. A potem ją zapomniałam.

Kiedy jednak wokalistka ubrana w piękny istebniański strój załkała „Ondraszku, Ondraszku, kaj się ty podziywosz", po pierwsze usłyszałam, jak z całej siły moich strun głosowych śpiewam tę pieśń razem z nią, zupełnie nie bacząc na hipsterską publiczność, która mnie otaczała, po drugie poczułam, jak po mojej niewzruszonej przecież zazwyczaj twarzy płyną łzy, po trzecie zobaczyłam, że dziewczyna obok mnie też płacze, może nawet płacze bardziej, zanosi się wręcz szlochem, po czwarte poczułam prawdziwą miłość do tej ojczyzny, do której przez kilka lat wracałam z rodzicami z zagranicznych wyjazdów, przekraczając granicę Zwardonia. Wysiadaliśmy z samochodów tuż za przejściem i wtedy wybrzmiewała nieśmiertelna fraza, wypowiedziana kiedyś przez mojego cieszyńskiego wujka do mojego ojca: „ Ale takich piknych smreków jak u nos to nikaj ni ma".

Pieśń o Ondraszku wzbudziła we mnie wielką tęsknotę za pojednaniem, za wspólnotą, za możliwością swobodnego mówienia o miłości do ojczyzny, bez stygmatu przynależności do narodowej prawicy, za smrekami na Sołowym Wierchu i Rachowcu. I do mnie więc w końcu dotarło, że trzeba odebrać prawicy ten samowolnie przyznany sobie monopol na patriotyzm. Skoro nawet takie impregnowane na wiele jego odcieni osoby jak ja miewają momenty wielkiej słabości, to, *sorry* koledzy, ale wciąż ten kraj jest nasz i wasz, jak w hymnie Samoobrony. Możliwe, że po prostu trzeba nam jakiegoś sensownego Ondraszka, co go wam odbierze, jako tym, co sobie wzięli za dużo. ©

KWIETNA PANI

ANNA NIEDŹWIEDŹ, ANTROPOLOŻKA KULTURY:

Kościół chce zapanować nad religijnym żywiołem. Jednak kult Maryi tym próbom się wymyka.

ARTUR SPORNIAK: Dlaczego Polacy tłumnie uczestniczą w uroczystości Wniebowzięcia Maryi Panny, choć teologicznie nie jest to najważniejsze święto?

ANNA NIEDŹWIEDŹ: Zacznijmy od pierwszego paradoksu związanego z kultem maryjnym. Mimo iż trudno utrzymać w mocy stereotypowe wyobrażenie Polaka-katolika, to właśnie symbole religijne – najczęściej umocowane w tradycji katolickiej – łączy się z narracją patriotyczną. I postać Matki Bożej odgrywa tu nadal istotną rolę – także poprzez poświęcone jej dni świąteczne. Od 1992 r. 15 sierpnia jest nie tylko świętem maryjnym, lecz również państwowym i dniem wolnym od pracy. Mamy tu dwa elementy, które zestawione razem wciąż w Polsce oddziałują: element religijny i patriotyczno-narodowy. Przywołując tzw. cud nad Wisłą jako związany z religijnym świętem, otrzymujemy mocną opowieść symboliczno-mitologiczno-narodowo-chrześcijańską.

Nie bez powodu w III RP ustanowiono ten dzień Świętem Wojska Polskiego.

Oczywiście. Ale okres komunizmu paradoksalnie wzmocnił powiązania między symbolami katolickimi a wyobrażeniami na temat patriotyzmu. Wystarczy przywołać postacie prymasa Stefana Wyszyńskiego czy kardynała Karola Wojtyły, późniejszego papieża. Obaj mocno stawiali na pobożność maryjną. Z kolei w okresie karnawału Solidarności i potem – podczas stanu wojennego – symbole maryjne były bezpośrednio zaangażowane w walkę polityczną. Przypomnijmy choćby słynną plakietkę z Matką Boską Częstochowską wpiętą w marynarkę Lecha Wałęsy.

Dlaczego ta mieszanka w Polsce tak działa?

Nasze korzenie sięgają kultury agrarnej – w dużej mierze wywodzimy się ze społeczeństwa wiejskiego. Zarówno szlachta, jak i chłopi mieli bliski związek z ziemią. Gdy sięgniemy do materiałów etnograficznych z XIX w., zobaczymy, że w wyobraźni chłopów Matka Boża funkcjonuje niemal jako bogini płodności, bogini ziemi, patronka roślinności i przemian w cyklu przyrody. Do dziś zachowały się dawne nazwy świąt maryjnych: Gromniczna, która chroni w trudnym zimowym czasie, czyli Ofiarowanie Pańskie obchodzone 2 lutego; Strumienna albo Zagrzewna lub Roztworna – bo otwiera się ziemia na Zwiastowanie 25 marca; Jagodna – czyli Nawiedzenie św. Elżbiety, dawniej obchodzone 2 lipca;

III Ogólnopolski Zlot Matek Boskich, Jamna, sierpień 2008 r.

PAWEŁ ULATOWSKI

Zielna – czyli Wniebowzięcie 15 sierpnia, Siewna – Narodzenie Najświętszej Maryi Panny 8 września. Mamy tu cały cykl przemian rocznych – zamykania się i otwierania ziemi, celebrowanie jej płodności, cudu życia.

W źródłach folklorystycznych odnajdziemy legendy, w których postać Matki Bożej jest pozaczasowa i pozaterytorialna. Na przykład pojawia się w opowieści o potopie. Na początku czasów panowała wspaniała obfitość – kłosy miały ziarna od ziemi do wierzchołka łodygi. Jednak ludzie coraz bardziej grzeszyli. I Pan Bóg zesłał potop. Wszystko miało być zniszczone. Ale pojawia się Matka Boża, która ratuje ludzi przed ostateczną katastrofą. Gdy już prawie wszystko jest zatopione, łapie kłos na samej górze. Są dwie wersje tej opowieści: w pierwszej prosi Boga, żeby chociaż tyle zostawił ludziom. W drugiej okłamuje Boga, mówiąc, że trzeba wyżywić psa i kota. Stąd powiedzenie, że ludzie żyją na psiej lub kociej doli. Tą opowieścią tłumaczono silne tabu zakazujące zabijania psów i kotów oraz jedzenia tych zwierząt, bo to „zwierzęta Matki Bożej". Zboże zatem – coś, od czego zależało przeżycie ludzi – zostało według tych ludowych legend darowane przez Matkę Bożą. Ona uratowała ludzi przed gniewem Bożym.

Można też zobaczyć, że postać Maryi jest wpisana w przyrodę. Wiele potocznych nazw roślin odnotowanych w źródłach folklorystycznych miało z nią związek: mamy dzwonki Matki Boskiej, łzy, włoski, rzęsy, koszyczki, lenek, drzewko. Moc niektórych ziół pochodziła od Maryi. Były używane do leczenia, ale także do odczyniania uroków.

Przed tym magicznym rozumieniem Maryi Kościół próbuje się bronić, proponując religijną interpretację. W formule błogosławienia ziół podczas uroczystości ↦

Wniebowzięcia słyszymy: „Bukiety kwiatów, roślin zielonych i ziół (...) oznaczają duchową dojrzałość Maryi i bogactwo łask”.

To zrozumiałe, że Kościół chce zapanować nad tym żywiołem i go oswoić. Kult Maryi jednak się tym próbom wymykał i chyba nadal wymyka. Matka Boża była i jest adaptowana przez ludzi w bardzo różnych kontekstach.

Chyba jednak przesadą jest doszukiwać się w kulcie maryjnym śladów kultu Gai – Pramatki?

To dobre pytanie. Trzeba by się zastanowić, na ile ludzie działają zgodnie z głębokimi archetypami. W jakimś wymiarze postać Matki Bożej może stanowić uosobienie takiej symboliki.

Maryja nie rodzi rzeczywistości, tak jak Pramatka – ona co najwyżej pomaga pośrednio przyrodzie odradzać się – np. przez wpływ na pogodę – ze względu na swoją uprzywilejowaną pozycję Bożej Rodzicielki.

W badaniach kulturowych dysponujemy dziewiętnastowiecznymi tekstami, w których Maryja jednak ma moce stwórcze – np. to ona ustanawia słońce i księżyc, ustanawia pagórki w danej okolicy itd. Toczy się na ten temat akademicki spór – jak tego typu teksty możemy interpretować i czy jednak potoczna religijność nie przypisywała jej mocy demiurgicznych.

Na pewno jednak wciąż obecny w naszej religijnej świadomości jest wątek, który z Maryją wiąże rzeczywistość alternatywnego zbawiania. W wierszu ks. Twardowskiego to Maryja wpuszcza grzeszników boczną furtką do nieba.

Reakcją na lęk przed Bożym gniewem była ucieczka do Maryi. Stąd tak jej silna obecność w kontekście śmierci i umierania. Uroczystości Wniebowzięcia towarzyszą rytuały pogrzebu Matki Bożej. W Kalwarii Zebrzydowskiej i w Kalwarii Pacławskiej te rytuały są intensywnie i zmysłowo odprawiane.

Uczestniczyłem w takiej procesji w 1991 r. w niewielkim maryjnym sanktuarium w Borku Starym pod Rzeszowem. W tym samym czasie na Jasnej Górze odbywały się Światowe Dni Młodzieży z udziałem Jana Pawła II. Wyglądało na to, że miejscowej ludności w ogóle one nie interesują – tłumnie zjawiła się na procesji, podczas której figura śpiącej Maryi była znoszona z górnej kaplicy do kościoła w asyście dziewcząt ubranych na biało.

Co nadal pociąga ludzi w Maryi?

Dzisiaj aktualne jest to, że jest uchodźczynią, jest biedna, wykluczona, często odbierana jako samotna matka.

Bo to święto jest wpisane wręcz w doświadczenia rodzinne, jest bardzo ważne tożsamościowo. W Kalwarii Zebrzydowskiej w procesji Wniebowzięcia uczestniczy kilkadziesiąt asyst z różnych wsi i miasteczek. Z reguły udział w tych asystach jest dziedziczony w obrębie rodzin.

Ale mam też rytuały wprost związane ze śmiercią. W niektórych regionach Polski osobie umierającej podkładało się pod siennik zasuszone zioła poświęcone podczas uroczystości Matki Bożej Zielnej. Po co? Żeby po drugiej stronie życia spotkała Matkę Bożą, gdyż ona przeprowadzi ją do raju. Nawet jeśli najpierw trafi do czyśćca, Maryja z niego wyprowadzi. W ludowych opowieściach związanych z Wniebowzięciem Maryja jest Królową niebieskiego dworu. Czasem siedzi sama na tronie w otoczeniu aniołów, ale czasem siedzi na kolanach Boga Ojca, obok stoi Pan Jezus, a nad ich głowami unosi się Duch Święty „jako gołąbek bieluchny” – taki opis pozostawił nam Oskar Kolberg. W każdym razie ma władzę, a jednocześnie jest bardzo bliska, matczyna.

W liturgii pogrzebowej śpiewamy „Salve Regina, Mater misericordiae...” – „Witaj, Królowo, Matko miłosierdzia...”.

Figura Maryi akumuluje dużo wątków, dlatego jest tak popularna. Maryja jest zwykłą i zarazem niezwykłą kobietą. Dobrze ilustruje to jedna z wielu ludowych opowieści: Matka Boża uciekając z małym Jezusem przed Herodem trafia pośrodku lasu do chaty ubogiej kobiety i prosi ją o nocleg. Kobieta ma chorego na wrzody synka. Mówi, że akurat szykowała synkowi kąpiołkę, niech więc Jezuska pierwszego wykąpie. Gdy Matka Boża skończyła kąpać Jezusa, a gospodyni do tej samej wody wsadziła swojego synka, wrzody zniknęły. Najciekawsze w tej opowieści jest to, kim ta kobieta była. Otóż była żoną zbója, a małe uzdrowione zbójątko, gdy dorośnie, ponownie spotka się z Jezusem na krzyżu jako św. Dyzma, czyli Dobry Łotr.

W biblii ludowej Maryja jest bohaterką o wielu twarzach – to zarówno potężna Królowa dworu niebieskiego, jak też uboga matka drżąca o losy swego syna, a potem cierpiąca wraz z nim. Świetnie pokazała to w analizie tekstów etnograficznych prof. Magdalena Zowczak, pisząc wręcz o „Pasji Marii”. Oczywiście „biblia” ta czerpała ze starożytnych apokryfów maryjnych i rozmaitych krążących w świecie chrześcijańskim tekstów. Z nich pochodzi opowieść, że po trzech dniach od pochowania Maryi (tu paralela do zmartwychwstania Jezusa) otwarto jej grób i zamiast ciała znaleziono pachnące świeże kwiaty. Tak między innymi tłumaczono powiązanie Wniebowzięcia ze święceniem ziół.

Maryi potrzebujemy – czy potrzebowaliśmy – do obrzędów przejścia w cyklu rocznym. Widać to choćby w powiedzeniach, na przykład „Na Wniebowzięcie pokończone żęcie”.

Jeszcze w XIX w. ludzie pracujący na roli byli całkowicie zależni od natury. Małorolni chłopi naprawdę mogli umrzeć z głodu, gdy gradobicie czy inna plaga zniszczyła plony. Obecność Maryi i różne rytuały, jak okadzanie poświęconymi ziołami chorych zwierząt czy zasianych zagonów, pomagały mierzyć się z tym lękiem.

Ze świętami kościelnymi związane były także różne zakazy, na przykład runo leśne spożywać można było dopiero od Matki Bożej Jagodnej, czyli w lipcu. Czemu one służyły?

Z jednej strony były praktyczne – pozwalały jagodom dojrzeć. Z drugiej porządkowały życie w wymiarze symbolicznym. Porządek natury wpisywał się w porządek boski – nie było natury bez Boga. Natura była przesiąknięta *sacrum*. Bez poszanowana natury człowiek by

nie przeżył. Natura to była sprawa życia i śmierci, a więc jak najbardziej sakralna, obdarzona mocą i sprawczością. Dzisiaj tę świadomość utraciliśmy, bo mamy leki, lodówki, ostrzeżenia przed pogodą. Wydaje się nam, że jesteśmy bezpieczni.

Osoba Maryi zarówno w teologii, jak i w pobożności została dość późno odkryta. Wybuch tej pobożności nastąpił po soborze efeskim, na którym w 431 r. ogłoszono dogmat o Bożym rodzicielstwie Maryi. To był pierwszy dogmat maryjny. A już w 495 r. papież Gelazy wydał dekret wzywający do wstrzemięźliwości w czytaniu apokryfów maryjnych, które powstawały jak grzyby po deszczu.

To zainteresowanie Maryją zaczęło rozwijać się wcześniej – sobór efeski był właściwie jego efektem. Maryja łatwo kojarzyła się z boginiami pogańskimi i to był problem dla Kościoła. Wówczas zaczął rozwijać się też kult relikwii, a przecież jej relikwii nie było. Dlatego zaczęto czcić jej rzekome ubrania, całuny, wstążki, nawet łzy. Są też domki Maryi – w Nazarecie i w Izmirze, czyli dawnym Efezie. No i oczywiście obrazy, które są jej „prawdziwymi wizerunkami". Tak jak Matka Boska Częstochowska, namalowana według legendy przez św. Łukasza na desce ze stołu z domu Matki Bożej, w który wsiąkły jej łzy. Poprzez takie opowieści obraz staje się relikwią – bo według nich miał bezpośredni kontakt z ciałem Maryi. Znaczące są też historie o obrazach maryjnych wyłaniających się z żywiołów – wyoranych z ziemi, znalezionych w lesie, przyniesionych przez wodę.

Czy postać Maryi oddala się w naszej pobożności wraz z zanikiem kultury agrarnej?

Religijność i kultura religijna zmieniają się zarówno w obrębie katolicyzmu, jak i w szerszych kontekstach. Tymczasem wydaje się, że właśnie ze względu na symboliczną pojemność i wszechstronność Maryi jej postać jest nadal nośna. Antropolodzy odnajdują zainteresowanie Maryją – jej bliskością – nie tylko w zachodnim i wschodnim chrześcijaństwie, ale także w ruchach postchrześcijańskich czy newage'owych.

W chrześcijańskich sanktuariach maryjnych pojawiają się pielgrzymujące muzułmanki. Wszak Maryja – Miriam

ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. ANNA NIEDŹWIEDŹ jest antropolożką kultury, wykłada jako profesor w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autorka m.in. książek o katolicyzmie w Ghanie i Polsce.

przywołana jest w Koranie. Okazuje się, że jej postać bliska jest kobietom w różnych kontekstach kulturowych, u niej szukają wsparcia, pociechy, zrozumienia. Przeprowadzono też badania we francuskim sanktuarium maryjnym w Rocamadour, gdzie czczona jest figurka Maryi, jedna z tzw. Czarnych Madonn. Okazuje się, że wśród pielgrzymów jest wiele niechrześcijanek, które czczą Maryję jako boginię płodności. Takie osoby przyjeżdżają także do Lourdes, gdzie kult Maryi związany jest z wodą. Ceremonia ablucji jest ważna w wielu religiach – wiąże się z oczyszczeniem, odnową, uzdrowieniem. Do Lourdes przyciąga również wyznawców hinduizmu. To pokazuje, że Maryja jest postacią bardziej uniwersalną, niż może się nam wydawać z perspektywy tradycji katolickiej.

Czy to znaczy, że pobożność maryjna jest uwarunkowana płcią – dla mężczyzn mniej się liczy?

To jest raczej uwarunkowane kulturowo. W Hiszpanii czy we Włoszech w procesje maryjne angażują się mężczyźni. I gdy się robi z nimi antropologiczne wywiady, wcale nie są powściągliwi i nieemocjonalni.

Co nadal pociąga ludzi w Maryi?

Jej bliskość. Dzisiaj aktualne jest to, że jest uchodźczynią, jest biedna, wykluczona, często odbierana jako samotna matka.

Józef gdzieś znika...

Tak. Potwierdzają to badania wśród afrykańskich katoliczek pielgrzymujących do Lourdes – ich jest sporo, bo przez francuskie misjonarstwo to sanktuarium jest mocno rozpropagowane w Afryce. Maryja jest też wstawienniczką w trudnościach z poczęciem oraz we wszelkich chorobach. Tego motywu pewnie nigdy nie zabraknie.

A jak jest odbierana jej dziewiczość?

Z jednej strony Maryja kojarzy się z płodnością, ze zmysłowością – rodzi dziecko, karmi je piersią. Przedstawiana jest jako brzemienna i karmiąca. Ale jednocześnie jest aseksualna. Jej symbolem jest lilia. W tym wymiarze chrześcijaństwu udało się wykorzenić cechy przedchrześcijańskich bogiń płodności, które często kipiały seksem.

Trochę wraca w ruchach New Age. Podejmowane są próby wykorzystania postaci Maryi czy Marii Magdaleny do rytuałów związanych z menopauzą, co w dzisiejszych czasach jest dla kobiet czymś bardzo ważnym. Jedna z badaczek opisała grupę Hiszpanek, które takie nowoczesne rytuały przejścia stworzyły i praktykują.

Czy przyszłością kultu maryjnego nie będzie ekologia?

Religie zawsze były wpisane w ekologię. Rozwój nauki i techniki doprowadził do tego, że zmanipulowaliśmy środowisko i ono teraz upomina się o swoje prawa. Świadomość, że ono nie jest przedmiotem, tylko naszym partnerem, a może nawet czymś więcej, będzie zapewne wzrastać. Ślady Maryi ekologicznej pojawiają się i w chrześcijaństwie, i w nurtach postchrześcijańskich.

Zobaczmy też, co się dzieje tuż obok. W Krakowie coraz większą popularnością cieszy się coroczne wydarzenie organizowane właśnie podczas święta Wniebowzięcia – Cudowna Moc Bukietów. Na Małym Rynku organizowany jest konkurs na najpiękniejszy bukiet. Jest i msza święta, a bukiety są poświęcane. Przy okazji mamy też warsztaty tworzenia zielników, zajęcia florystyczne. Rośnie uwrażliwienie na rośliny, które są wokół nas, które można zebrać na łące czy w lesie. To jakby nowe odkrycie maryjnego święta w kontekście współczesnego zainteresowania przyrodą, a także dowartościowania lokalności.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

KATHRIN ZIEGLER / GETTY IMAGES

Odczarowanie

JOLA SZYMAŃSKA

Przyjmowane w dobrej wierze, zapadają głęboko w duszę. Dopiero po latach rady okazują swą destrukcyjną moc.

Osiem zdań to na pewno nie wszystko. Ale jednocześnie osiem zdań to już coś. Czy to wiele? Nie wiadomo. Annie wystarczyły cztery przykłady. Każdy z nich miał potwierdzać poprzedni. Pierwszy o szklance. Drugi o bucie. Trzeci o kwiatku. I dopiero czwarty o gumie. Bo guma była najgorsza.

1. Będziesz „wyżutą gumą"!

Anna ma 26 lat. Z zawodu – matematyczka. Prywatnie – od dwóch lat żona. Rozmawiamy krótko przed jej porodem. – Kiedyś zapytałam mamę o czystość, bo przyznałam się do niej kolegom i pytali o powody. Odpowiedziała: „To zapytaj chłopaków, czy nie chcieliby mieć dziewicy w łóżku po ślubie? Przecież każdy facet by chciał".

Wiele o intymności nie rozmawiały. Wszystko wiedziała z Kościoła.

– Czystość była dla mnie świętością, na równi z dogmatem o Trójcy Świętej. Od dziecka do czasu studiów bezkrytycznie przyjmowałam treści głoszone w Oazie, w Odnowie w Duchu Świętym, w duszpasterstwie akademickim.

Usłyszała tam między innymi, że powinna być dumna z siebie. To znaczy z tego, że żyje w czystości. Że dzięki temu nie jest: „opalcowaną szklanką", „używanym butem", „wąchanym kwiatkiem" ani „wyżutą gumą".

I była dumna.

A potem okazało się, że tym wszystkim jest jej przyszły mąż.

– Od kiedy mi o tym powiedział, na początku relacji, nie mogłam się skupić na normalnym życiu. Przez wiele miesięcy chodziłam przygnębiona, pojawiały się kolejne pytania o szczegóły. Ciągle wracały do mnie obrazy jego „zdrad".

Wracały, kiedy siedzieli u nich goście. Kiedy widziała szczęśliwą parę. Kiedy zostawała sama. Podczas wykładów na uczelni. Na wakacjach. Kiedy ktoś wspomniał w towarzystwie o jego eks.

– Dziś wiem, że poza Kościołem można być właściwie ukształtowanym, dobrym i szczęśliwym człowiekiem. Że można nie żyć w czystości i być wspaniałym mężem.

Nie wie, dlaczego dotąd słyszała coś zupełnie innego.

2. Nie prowokuj mężczyzn!

– Nie dostajesz takich komunikatów codziennie, ale wystarczy pięć, sześć razy i kilka artykułów o Ruchu Czystych Serc, a zaczynasz wierzyć, że szatan ma na ciebie haka – tłumaczy Asia, która uwierzyła. Po raz pierwszy w gimnazjum, długo przed nawróceniem. Spowiadała się z masturbacji. – Ksiądz powiedział, że jestem na prostej drodze do zostania prostytutką. Miałam 12 czy 13 lat.

Potem we wspólnocie. Trafiła do niej przez koleżankę. – Zaprosiła mnie na mszę o uwolnienie, bo widziała, że zdołowana chodzę. Zachłysnęłam się i zostałam na kilka lat.

Ale gdyby zgarnęli ją świadkowie Jehowy, też by poszła. Nieważny był target. Ważne było, żeby ktoś ją zauważył. – Miałam dużą potrzebę uznania. Chciałam być

taka „na sto procent", a tam mówiono, że dobra chrześcijanka jest miła, skromna, pokorna, cicha. Nie odezwie się ani nie wychyli. Nie miałam doświadczenia relacji damsko-męskich, więc nie wiedziałam, o czym mowa.

Pamięta, jak na rekolekcjach dziewczyny mogły wchodzić do kaplicy tylko w spódnicy za łydkę. – Ubierałam spódnicę do kolan i długie legginsy, a wszyscy mnie upominali, że mam za krótkie sukienki. Do dziś przed każdą mszą zastanawiam się, co ubrać, żeby nikt mnie nie upokorzył, nie powiedział, że „wodzę innych na pokuszenie".

Czasem na rekolekcjach były baseny. Dziewczyny miały na nich pamiętać o „godnym i zakrytym stroju". – Kąpałyśmy się w koszulkach i krótkich spodenkach, a chłopaki normalnie, w gaciach. Bo przecież wszystko jest w nas.

Uwierzyła nie tylko w haki, które ma na nią szatan. Uwierzyła, że jest odpowiedzialna za mężczyzn, którzy ją spotykają. Że nosi brzemię popędu księży i chłopców ze wspólnoty. Że im bardziej będzie aseksualna, tym lepiej. Że to dla dobra całego Kościoła. Że może sobie upleść warkocz, żeby podkreślić swoją urodę. Ale to tyle. Uwierzyła, że dziewictwo mówi o wartości człowieka.

– Kiedy ostatnio, po latach, umówiłam się z przyjaciółmi na plażowanie, czułam niepokój. Zastanawiałam się, dlaczego. Co mi nie gra. Wiesz, do czego doszłam? Bałam się, że mąż przyjaciółki zobaczy mnie w stroju kąpielowym. Że to nieskromne. Że mnie ocenią. Po tylu latach wciąż siedzi we mnie ten lęk.

Nadal nie potrafi wyjść z domu w szortach bez obawy, że kogoś sprowokuje i że będzie z tego rozliczana. – Bo przecież każdy moment mojego życia jest dawaniem świadectwa. Ciągle mam to wdrukowane w głowę – mówi Asia. Ma 27 lat, w tym pięć lat w małżeństwie. Mama trójki dzieci.

3. Nie siadaj chłopakowi na kolana!

Jak nie sprowokować – to jedno. Drugie – jak zachować czystość, będąc w związku.

Anna słyszała: nie siadać chłopakowi na kolana, spędzać czas zawsze w większej grupie, nie kłaść się nigdy obok siebie. W jednej z katolickich książek trafiła na przykład: narzeczony autorki nocował na jej klatce schodowej. Musiał gdzieś spędzić noc, a na co dzień mieszkał w innym mieście.

Dla jej męża wstrzemięźliwość była czymś nowym. Wpadł na pomysł, żeby nie myśleć o tym, że narzeczona go pociąga. Próbował traktować ją jak koleżankę. Po trzech dniach stwierdził: „To straszne". Anna: – Nie miał ochoty się ze mną całować. Nie miał ochoty iść ze mną za rękę. Musiał się cofnąć i wyłączyć to, co włączył. Tak nie da się budować relacji.

U Zuzy (25 lat, pedagożka, 10 miesięcy po ślubie) zgasła ochota na sam seks. – W związku byliśmy na siebie nakręceni, ale zależało nam na czystości do ślubu. Wiedzieliśmy, że to bardzo trudne i stawialiśmy mocną granicę: buziaczki, przytulanie, koniec. Byłam pewna, że wiem, o co chodzi, że nie będzie problemu. A tu po ślubie zonk. I nie ma katolickiego filmiku na ten temat. Czy coś ze mną jest nie tak, skoro u nas „to" nie działa?

Szukali z mężem rad w internecie. – Przeczytaliśmy, że warto próbować nowych rzeczy, ale boję się, że nie wszystko nam, katolikom, w łóżku wypada. Nie chcę być dla męża „gwiazdą porno", a tak bym się czuła, krzycząc podczas współżycia albo próbując dziwnych pozycji z Kamasutry. A może w wieku 25 lat spadek libido jest normalny? W końcu jesteśmy coraz starsi.

Nie ma pretensji. Dzięki Kościołowi jest szczęśliwa.

4. Co przed ślubem nieczyste, po ślubie jest święte.

Zainteresowanie czystością nie zawsze przychodzi wcześniej niż seks. Basia jest prawniczką, ma 34 lata. Od 10 miesięcy jest żoną, ale nawróciła się, będąc już w związku z obecnym mężem. – Wiara odrodziła się, kiedy zmieniłam pracę, zwolniłam tempo. Nagle zaczęłam pochłaniać nagrania i konferencje całą sobą, jak bułki. Zaczęłam nowennę pompejańską. Odgrzebywałam swoje emocje.

I czystość.

– Nie mieszkaliśmy razem, ale było ciężko. Wiesz, jesteś w relacji, w której jest seks, nagle się nawracasz, przed tobą jeszcze dwa lata do ślubu. I starasz się żyć w czystości, ale to nie zawsze się udaje. A ja bardzo chciałam chodzić do komunii. To było dla mnie najważniejsze. Załamywałam się za każdym razem, kiedy się nie udawało, kiedy uległam. Bałam się: a co, jeśli w nocy umrę? Leżałam z tym niepokojem, a rano biegłam do spowiedzi.

Basia wiedziała, że grzeszy. Wiedziała, że to złe. Że jej narzeczony się stara. Że nie chce „tego" robić. Wiedziała, że musi się zaprzeć samej siebie. I robiła w tym kierunku, co mogła.

– A po ślubie okazało się, że nie jestem w stanie z tych barier wyjść. Duchowość tak mocno we mnie weszła, że wyssała ze mnie prawie cały popęd.

I nagle wiedziała tylko jedno: że coś z nią nie tak. I że ma to związek ze zdaniem numer cztery.

Basia szukała więc rad na katolickich portalach. Dowiedziała się, że: jeżeli jedna osoba w związku ma wyższe aspiracje moralne („czyli katolickie"), to druga osoba powinna się do niej dostosowywać. Nie dowiedziała się: czy zasada ta stosuje się także do innych konfliktów („kiedy po ślubie uznam, że w jakimś konflikcie moje racje są wyższe moralnie, to mam nie liczyć się z mężem?"), ani: gdzie miejsce na rozmowę.

Basia: – Do dziś czasem nie wiem, co mówi mi Bóg, a co podpowiada mi zdyscyplinowana podświadomość. Co wynika z miłości, a co z zasad. Wiem za to, że seksualności nie da się niczym zastąpić. Że jeżeli z niej rezygnujemy, to w pewien sposób musimy ją wyprzeć. I że chciałabym to usłyszeć wcześniej.

5. Jeśli dochowacie czystości, noc poślubna będzie cudowna.

Zdanie numer pięć najbardziej boli Marzenę. – Zawsze na rekolekcjach mówiło się o plusach. Jak to warto czekać do ślubu, jaka wspaniała będzie noc poślubna, kiedy nastąpi „zjednoczenie małżonków". Księża twierdzą często, że każdy mężczyzna pasuje do każdej kobiety. Że wystarczy nie współżyć, żeby po ślubie zbudować relację seksualną. I o to jest zła.

– Nikt nigdy, żaden z tych wszystkich religijnych przewodników i nauczycieli nie powiedział nam, że nie tylko pierwszy raz, ale też kolejne współżycia mogą być traumatyczne. Wiesz, jeden ksiądz stwierdził, że właściwie to powinnam pogadać z Bogiem, bo to nie Kościół, ale On wymyślił czystość.

Marzena ma 25 lat, jest trenerką. Od 10 miesięcy w małżeństwie, od urodzenia aktywnie w Kościele.

– Różnych rzeczy szukałam, nikt nie uprzedzał, że zdarzają się trudności, na ↦

które warto się przygotować. Nawet Szustak mówił, że pierwsza noc będzie cudowna. A my czekaliśmy do ślubu. I niestety bolał mnie nie tylko pierwszy, ale i trzeci, dziesiąty i każdy kolejny raz. Oboje konsultowaliśmy to z lekarzami. Okazało się, że mam wyjątkowo grubą błonę dziewiczą. Niestety, po jej przebiciu ból nie minął. Z powodów biologicznych współżycie wiąże się dla mnie z wielkim bólem, który zmniejsza się po pięciu, sześciu dniach kochania się. Niestety, dni niepłodnych według metod naturalnych wychodzi mi naprawdę mało, do tego praca mojego męża wiąże się z częstymi, kilkutygodniowymi delegacjami. Doszły także stany zapalne (nie możemy współżyć, kiedy je leczę).

Co miesiąc powtarza się więc ten sam dramat: za pierwszym razem bardzo boli, a kiedy w piątym, szóstym dniu jest już trochę lepiej, zaczyna się miesiączka. W czasie płodnym nie współżyją, po nim znów boli.

Przyznaje: – Mam już odruchowy lęk przed współżyciem. Mój mąż stresuje się, kiedy mamy się kochać. Nie mam już sił tłumaczyć szczegółów naszego współżycia kolejnym księżom. A muszę, żeby zrozumieli, że nie chcę źle.

– Oboje jesteśmy przekonani, że w takiej sytuacji prezerwatywy to żaden grzech. Dzięki nim częstotliwość współżycia mogłaby być na tyle duża, że zniknąłby ból, odetchnęłabym psychicznie i spokojnie wrócilibyśmy do NPR [naturalnego planowania rodziny – red.]. Ale i tak boję się sobie zaufać. Przez lata tłuczono mi do głowy, że prezerwatywy to zło, nieuporządkowanie. Ten wewnętrzny głos ciągle mnie oskarża. Mimo że wiem, że w wyjątkowych sytuacjach można ich użyć. Trzeba tylko zapytać o to spowiednika.

Zapytała.

– Mój spowiednik powiedział, że bardzo mu przykro, że taka sytuacja mnie spotkała. Nic więcej. Pisałam z nim potem, bo przeprowadziłam się do innego miasta. Pytałam o prezerwatywy w mojej sytuacji. Z jednej strony się do nich przychylał, ale zaraz dosyłał fragmenty artykułów, w których podkreślano, że prezerwatywa jest dużym nieuporządkowaniem.

Czy pragnienie współżycia z mężem bez bólu to nieuporządkowanie? Na to pytanie żaden kapłan jej nie odpowiedział.

Asia spowiadała się z masturbacji.

„Ksiądz powiedział mi, że jestem na prostej drodze do zostania prostytutką. Miałam 12 czy 13 lat”.

– Inny ksiądz tłumaczył mi, że dyskusja w Kościele na ten temat trwa, więc trzeba uważać, co się mówi, żeby nikt tego źle nie wykorzystał. Powiedział, że w naszym przypadku przy prezerwatywach możemy korzystać z sakramentów, ale powinniśmy się z tego spowiadać. I że za resztę sam bierze odpowiedzialność. Czyli rozumiem, że tak czy inaczej popełniamy grzech. Tylko lekki.

Ból nie jest dla Marzeny najtrudniejszy. Lęk nie jest najtrudniejszy. Spowiedzi nie są najtrudniejsze. Najtrudniejsze jest to, że nie czuje się przyjęta.

– Wcześniej zgadzałam się ze wszystkim, co mówi Kościół, i wszystko było super. Teraz, kiedy zadaję pytania, na które nie ma łatwej odpowiedzi, nagle staję się problemem. Zawsze byłam związana z Kościołem, nigdy nie wątpiłam w istnienie Pana Boga. Od dzieciństwa słuchałam też o czystości i czystości małżeńskiej. Przyjmowałam to bezkrytycznie. Na psychoterapii musiałam przepracować neurotyczne, lękowe przeżywanie wiary. Skąd się wzięło? Może stąd, że w moim domu rodzinnym nie działo się dobrze. Kościół w takich sytuacjach coś zastępuje.

Czasem zastanawia się, co w przypadku par, u których po ślubie okazuje się, że penetracja w ogóle nie jest możliwa. Co wtedy? Kościół stwierdza nieważność małżeństwa i po kłopocie? Według niej to dopiero musi być straszne.

6. Niewspółżycie to okazja do doskonalenia cnót.

Asia: – Najtrudniejsza jest bezradność, bo nie masz do kogo się z tym zwrócić. Nie porozmawiasz sobie z koleżankami, bo o problemach z seksem w kręgach katolickich się nie mówi. Tak samo, jak nie mówi się o „enpeerach”, kiedy pojawi się problem. Ludzie nie chcą się tym dzielić.

Mimo to rozmawiać próbowała.

Z przyjaciółkami: – Dopiero, kiedy zaczęłam ciągnąć je za język, okazało się, że połowa się zabezpiecza, a połowa nie współżyje po pół roku czy rok po porodzie, bo tego nie ogarniają.

Na katolickich grupach na Facebooku: – Pod każdym pytaniem o „czystość małżeńską” pojawiają się panie, według których niewspółżycie przez osiem miesięcy to doskonała okazja do doskonalenia cnót. I że trzeba się modlić, ofiarować to w jakiejś intencji. Albo sugerują, że mam nieprzeciętnie wysokie libido, skoro nie jestem w stanie wytrzymać bez współżycia pół roku. Jedna kobieta napisała z dumą, że od dwóch lat nie współżyła z mężem, bo po ciąży nie mogli rozeznać, co i jak. A nie chcieli grzeszyć.

Czy to właśnie jest uporządkowana propozycja Kościoła dla małżeństw? Tego nikt na grupie nie wie.

7. Pamiętaj o modlitwie przed współżyciem.

– Rodzice nie byli dla mnie wzorem małżeństwa. Nie potrafili rozmawiać. Mieszkają razem, żyją osobno. Kiedy się nawróciłam, czerpałam z Kościoła, a tam mówiono, żeby pamiętać o pomodleniu się do Pana Boga przed współżyciem – mówi Zuza, która miała taki obraz małżeństwa przez historię Tobiasza i Sary. Na rekolekcjach usłyszała, że to wzór: pomodlić się, a potem iść do łóżka.

– I zdarzyło się kilka razy, że byliśmy już ze sobą blisko, a mnie łapał lęk: „Mateusz, nie pomodliliśmy się!”. Nie potrafiłam tego połączyć.

Czasem starała się modlić, kiedy się kochali. Powtarzać w głowie: „Panie Boże, dziękuję Ci”. – Nie wiedziałam, co robić. Skoro ma być w tym Pan Bóg, to czy On po prostu w tym jest, czy muszę Go do tego zaprosić?

Na naukach przedmałżeńskich nikt nie powiedział, że seks małżeński sam w sobie jest modlitwą. A szkoda. Bo dziś Zuzę boli zdanie siódme.

8. Spłynie na was łaska mistycznego zjednoczenia się we współżyciu.

Asia podpytywała o seks kolejne religijne koleżanki, a one nigdy ze swoim mężem nie miały orgazmu. Ale to normalne. Bo

część kobiet nie ma orgazmu, tak już jest. Mówiły do tego: „no wiesz, Pan Bóg tak chciał”, „po prostu trzeba to przyjąć, jesteś katoliczką” albo „nie jesteś Panem Bogiem, żeby się bawić w decyzyjność”.

Ale ona i tak myślała inaczej. Przynajmniej od kiedy wyszła za mąż.

– Wiesz, kiedy po ślubie wróciliśmy do domu, myślałam, że spłynie na mnie łaska bycia seksbombą. Że mam guziczek, który przeskoczy na tryb „żona”. Że będę uwodzicielska i pewna siebie, że będę potrafiła podrywać mojego męża. A ja stoję jak taka sierota i myślę: „Boże, on się zaraz rozbierze, a ja? No nie ma opcji!”. Co dopiero jakakolwiek zalotność, obcowanie z drugim ciałem, z nagością. Czułam, że dostanę jakiejś traumy.

– Zastanawiałam się, dlaczego nie spływa na mnie „łaska mistycznego zjednoczenia się we współżyciu”. Może za mało się modlę? Wiesz, nagle okazuje się, że to nie jest żadne „mistyczne zjednoczenie się”, tylko czysta biologia.

Trochę czasu minęło też, zanim Asia ośmieliła się przyznać mężowi, że nie odczuwa żadnej przyjemności. Zaczęli szukać sposobów na to, żeby także ona przeżywała orgazm. – Bałam się strasznie. No bo to powinno być jednocześnie. Bo to przecież jakaś masturbacja małżeńska. Czy kiedy przeżyję orgazm dziesięć minut przed moim mężem, to liczy się to jako ten sam stosunek? Jak zdobyć odwagę, żeby powiedzieć swojemu mężowi o tym, co cię podnieca, co ci się podoba, o tym, że chciałabyś tak, a nie tak?

Zdanie ósme dzisiaj ją śmieszy. Ale jest też o nie zła.

Osiem zdań

Asia chciałaby się nie martwić, co sobie pomyśli: ksiądz – przy spowiedzi, kolega – widząc ją w makijażu i sukience, mąż – kiedy powie mu, że chce mieć dzisiaj drugi orgazm. Chciałaby się nie wstydzić.

Jak na razie nie ma z kim porozmawiać o zdaniach, które siedzą w jej głowie. Bardzo nie chce ich przekazać swoim dzieciom.

© JOLA SZYMAŃSKA

Imiona bohaterek zostały zmienione.

Autorka jest youtuberką, dziennikarką, absolwentką Wydziału Prawa UJ.

Mowa o nadziei

PIOTR SIKORA

Gdy żyjemy w sytuacji pełnej napięć i konfliktów, Bóg – obecny w głębi naszych serc – otwiera przed nami drogę pokoju.

Spirala wzajemnej niechęci i agresji pomiędzy nami rozkręca się coraz szybciej. Tak, to brzmi jak banał, czyli tę dramatyczną sytuację zaczynamy traktować jako coś normalnego. I to jest dopiero dramat. Nie dziwi więc, że wybitny psychiatra i psychoterapeuta, prof. Bogdan de Barbaro, w wywiadzie udzielonym tuż po marszu równości w Białymstoku przyznał, że to, co dzieje się w przestrzeni publicznej w Polsce, napawa go trwogą porównywalną tylko z tym, co czuł w czasie stanu wojennego. Jako konieczny warunek zatrzymania tej złowieszczej spirali wskazuje zaangażowanie się Kościoła – zwłaszcza jego hierarchów – którzy powinni wszelkimi możliwymi środkami przekonywać do ewangelicznej postawy wobec Innego.

Siewcy burzy

Najbardziej słyszalnym głosem polskich biskupów, który rozległ się od tamtego czasu, była homilia abp. Marka Jędraszewskiego, określająca ruch LGBT+ jako „tęczową zarazę” o tej samej naturze co komunizm – „czerwona zaraza”, i nawołująca do walki z nią. Także inne głosy dominujące w katolickich mediach, wypowiedziach biskupów i księży kreślą wizję katolików w Polsce poddanych prześladowaniom i naporowi zła. Cywilizacja śmierci w kolejnej odsłonie u bram naszych domostw? Powszechna mobilizacja? Dążenie do wojny kulturowej zwycięża – także w Kościele.

Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę, mówi przysłowie. Nie ma się zatem co dziwić, że w ostatnim czasie nasiliły się również objawy niechęci nie tylko do duchownych, lecz do wszystkich katolików, a nawet katolicyzmu jako takiego. W przejmujący sposób pisał o tym niedawno na łamach „Więzi” ks. Andrzej Luter. Jawnym tego przykładem był tekst Elizy Michalik, opublikowany w „Gazecie Wyborczej”, w którym autorka określiła cały Kościół jako grupę fanatyków, tresujących w swoim fanatyzmie kolejne pokolenia. Podobne przypadki są chętnie podchwytywane przez licznych kaznodziejów i prawicowe media jako dowód konieczności obrony wiary i wartości (niemal) wszelkimi sposobami.

Ale dominująca katolicka narracja na ten temat zdaje się nie dostrzegać przyczyn tego zjawiska, koncentrując się na naszych zranionych uczuciach i jak najgłośniej wyrażając oburzenie profanacją tego, co my, katolicy, uważamy za święte. Mówiąc językiem Ewangelii: precyzyjnie wskazuje ona każde źdźbło w oczach tych, którzy katolicyzmu nie lubią i w taki czy inny sposób z nim walczą, lecz żadnej belki we własnym oku nie dostrzega. Brzmi jak banał, ale nim nie jest.

Żeby nie brzmiało jak banał, trzeba nam, katolikom, nawrócenia – metanoi – przemiany umysłu i myślenia. Dalej brzmi jak banał? Warto sięgnąć do naszych własnych pism natchnionych – choćby do tzw. Pierwszego Listu Piotra, żeby tak nie brzmiało. List został napisany najprawdopodobniej przez jednego z uczniów Szymona-Kefasa, pod koniec I w., podczas prześladowań chrześcijan za cesarza Dioklecjana. Jest to więc tekst, którego pierwotni czytelnicy naprawdę cierpieli ze względu na swoją wiarę (współcześnie podobne doświadczenia spotykają nasze siostry i naszych braci w Syrii czy Sudanie). Oni byli rozszarpywani przez lwy. To, co spotyka nas w Polsce, można w tym kontekście porównać najwyżej do drapnięcia przez domowego kota. Tym łatwiej będziemy w stanie wcielić w życie rady skierowane do wspólnoty poddanej prawdziwym prześladowaniom – my, którzy posiadamy w społeczeństwie i w strukturach ↦

↦ państwowych pozycję dominującą kulturowo i politycznie i którym nic strasznego nie grozi.

Słowo dobre i złe

Autor owego listu zwraca uwagę czytelnikom, że cierpieć można czyniąc dobro, ale także z powodu uczynionego zła, i że lepiej jest dla nas, gdy cierpimy niewinnie (por. 1P 3, 17). W bardzo wymowny – i aktualny dziś – sposób opisuje właściwą chrześcijańską postawę.

Jeden z kluczowych aspektów tej postawy natchniony autor odnajduje w tradycji Izraela, wyrażonej we fragmencie Psalmu 34, który wplata w tekst listu: „Nie oddawajcie złem za zło ani złorzeczeniem za złorzeczenie! Przeciwnie zaś, błogosławcie! Do tego bowiem jesteście powołani, abyście odziedziczyli błogosławieństwo. Ten bowiem, kto chce kochać życie i zobaczyć dobre dni, niech powstrzyma język od zła, a wargi od podstępu. Niech się odwróci od zła, a czyni dobro. Niech szuka pokoju i dąży do niego" (1 P 3, 9-11).

Widoczna jest tu elementarna dla chrześcijan wrażliwość na to, co mówimy i w jaki sposób wyrażamy swoje zdanie w osobistych międzyludzkich relacjach, a także w przestrzeni publicznej. Nie jest chrześcijańską postawą złorzeczenie, tj. mówienie o kimkolwiek źle. Tym bardziej zaś – słowa „podstępne", czyli jakakolwiek próba uzyskania zamierzonego efektu poprzez retoryczne chwyty przerysowujące pewne aspekty rzeczywistości i zaburzające jej dokładne, precyzyjne rozpoznanie u adresatów językowego przekazu. Potrzebne jest coś przeciwnego: błogosławieństwo, czyli eulogia – dobre słowo. Owo dobre słowo trzeba kierować nawet do źle do nas i o nas mówiących.

Drugim aspektem chrześcijańskiej postawy, podkreślanym w cytowanym fragmencie, jest szukanie pokoju. Skoro zaś pokoju trzeba, zdaniem autora listu, dopiero szukać, znaczy to, że adresaci jego pisma żyją w sytuacji konfliktu. Tym niemniej wszelkie działania, których wynikiem jest narastanie konfliktu, są oceniane negatywnie. Pisarz natchniony mówi chrześcijanom: nie podejmujcie żadnych działań, które mają charakter zaangażowania się w polityczną lub kulturową wojnę, a nawet więcej: nie używajcie żadnej retoryki, która utrwalałaby postrzeganie społecznej rzeczywistości jako wojny i walki. Szukanie bowiem pokoju to raczej szukanie punktów wspólnych, łagodzenie napięć, wyciągnięcie ręki do dialogu i zgody.

Wewnętrzna celebracja

Zdaniem autora Listu Piotra taka właśnie postawa daje szansę na uniknięcie krzywdy i przemocy: „Kto zaś będzie wam szkodził, jeżeli gorliwi będziecie w dobru?" (1 P 3, 13). Owszem, zdarza się, że niechęć, agresja, a nawet prześladowania spotykają nas pomimo tego, że postępujemy dobrze. Czytelnicy listu i sam jego autor doświadczali tego. Ludziom będącym w takiej sytuacji Pismo mówi: „Ale jeżelibyście nawet coś wycierpieli dla sprawiedliwości, błogosławieni jesteście. Nie bójcie się ich gróźb i nie dajcie się zaniepokoić (wzburzyć, wprowadzić w zamęt, zamieszanie)! Pana zaś Chrystusa święćcie w waszych sercach i bądźcie zawsze gotowi do obrony/apologii wobec każdego, kto pyta was o słowo o tej nadziei, która w was jest. Czyńcie to jednak z łagodnością i bojaźnią, zachowując dobre sumienie, ażeby ci, którzy źle mówią o waszym dobrym postępowaniu w Chrystusie, zostali zawstydzeni właśnie przez to, przez co was oczerniają. Lepiej bowiem – jeżeli taka wola Boża – cierpieć dobrze czyniąc, aniżeli czyniąc źle" (1P 3, 14-17).

Błogosławieństwo, które czeka na ludzi postępujących w sposób zalecany przez List Piotra, polega na tym, iż istnieje możliwość, by doświadczane przez nas zło nie powodowało w nas niepokoju, wzburzenia, duchowego zamętu. Kluczowe jest tu, wedle Pisma, „święcenie w sercu Pana Chrystusa". Gdy Nowy Testament mówi o Chrystusie jako Panu, podkreśla boską stronę Jego bytu, która jednak, przez wcielenie, dostępna jest człowiekowi. Dostępność ta ma miejsce w akcie wewnętrznego kultu, bezpośredniego, mistycznego kontaktu z Boską Obecnością napełniającą „serce" – głębię ludzkiej jaźni.

Świadome, choć tajemnicze doświadczenie Świętej Rzeczywistości wewnątrz pozwala na zachowanie pokoju nawet w trudnych, zmiennych, pełnych zamętu zewnętrznych okolicznościach. Owa niewzruszoność, która jest podstawą pokoju, opiera się na dotarciu do głębokiego poziomu świadomości, który – jakby w tle – towarzyszy zmiennemu zaangażowaniu w przemijającą rzeczywistość zewnętrzną. Jest to świadomość, iż to, co najważniejsze, zawsze i niezmiennie w nas trwa i nie może nam zostać odebrane.

Chrześcijanin żyjący ze świadomością tej boskiej, wewnętrznej Obecności „święci" ją – jego życie ma w sobie zawsze pierwiastek celebracji i świętowa-

POŻEGNANIE

Zawiadamiamy, że 1 kwietnia 2018 r. w Montrealu odeszła

Ś.† P.

Teresa Szpot-Rzeszotarska

urodzona 2 grudnia 1934 r. w Warszawie,

a 25 lipca 2018 r. w Montrealu odszedł jej mąż

Ś.† P.

Feliks Rzeszotarski

urodzony 6 listopada 1927 r. w Hałuszczyńcach (pow. Skałat).

Msza św. pogrzebowa została odprawiona 12 sierpnia 2019 r.
w kościele św. Małgorzaty w Bielsku-Białej Kamienicy.
Prochy zostały złożone na cmentarzu komunalnym.

Rodzina z Wielkopolski

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Demonstracja „Wierzący i niewierzący przeciw nienawiści w solidarności z osobami LGBT+", Kraków, 25 lipca 2019 r.

nia. Choćby nie wiadomo jak żmudne i trudne było jego codzienne życie, ma w sobie przestrzeń zamieszkaną przez Pana Chrystusa – Logos, sens, światło, które może być otoczone przez największą ciemność, ale nigdy całkiem nie gaśnie. Świadomość ta sprawia, że egzystencja człowieka, pomimo zewnętrznych trudności i niepokojów, promienieje nadzieją – trwałym, pozytywnym i pogodnym nastawieniem do ludzi – jacykolwiek by byli i jakkolwiek by się zachowywali – i rzeczy – cokolwiek by się z nimi działo.

Warto dostrzec, jak słowa Listu Piotra współgrają z historią zapisaną w Ewangelii Jana. W dialogu z Samarytanką, która pyta o to, które miejsce jest naprawdę święte jako właściwe miejsce kultu: góra Gerazim czy Jerozolima, Jezus odpowiada, że żadne z nich, gdyż Bóg szuka ludzi, którzy „oddają mu cześć w duchu i prawdzie" (por. J 4, 19-24). Pełna adoracji świadomość, że Bóg, jedyny Święty trwa w nas, chroni przed ulokowaniem swojego religijnego dążenia w rzeczy lub sprawie zewnętrznej, a w konsekwencji przed fałszywym mniemaniem, jakoby Świętość mogła zostać sprofanowana przez zewnętrzne okoliczności lub działania ludzi. Jedynie my sami mamy dostęp do prawdziwego, wewnętrznego sanktuarium, jedynie my możemy je sprofanować, niszcząc lub osłabiając swoje własne religijne dążenie, zaprzestając „święcenia Pana Chrystusa w sercu". Nikt i nic z zewnątrz nie może zniszczyć, ba – nawet dotknąć tego, co dla nas najświętsze, najważniejsze, nikt i nic z zewnątrz nie może zagrozić naszej najgłębszej tożsamości.

Świadectwo o nadziei

Dopiero w kontekście postawy celebracji tej wewnętrznej boskiej Obecności pojawia się temat chrześcijańskiej apologii. Co jednak ważne – taka obrona nie ma w sobie żadnego negatywnego osądu ludzi, przed którymi chrześcijanie muszą się bronić. Jest logosem – wyjaśnieniem, słowem o nadziei, która w nas jest. Wewnętrzna celebracja Obecności jest pierwsza, bo to ona jest źródłem nadziei – a jeśli nie ma w nas nadziei, nie mamy czego bronić, o czym mówić. Jeśli nasze serce nie świętuje, nie unikniemy niepokoju, lęku, wzburzenia – a nasza apologia może tylko zakrywać pustkę, stając się słowem walczącym i krzywdzącym: zło-rzeczeniem.

Autor listu jeszcze raz zatem podkreśla, że apologia, o którą mu chodzi – o którą chodzi Bogu – musi cechować się łagodnością i bojaźnią. Znowu spotykamy zastrzeżenie: żadnej agresji, żadnej retoryki walki; przeciwnie – troska, by nasza apologia kogoś nie zraniła. Żadnego osądu przeciwników – jeśli coś ma ich zawstydzić, ujawnić zło ich działania, to tylko oni sami, a dokładniej: jawna nieprawdziwość ich zarzutów wobec tych, którzy żyją, świętując w głębi swego serca świętą Obecność Boga.

Gdy więc, jak to się dzieje dzisiaj, orientujemy się, że jesteśmy w samym środku kulturowej wojny, warto pamiętać, iż chrześcijanie od samego początku żyli w warunkach społecznych pełnych napięć i konfliktów. Dlatego w chrześcijańskich źródłach odnajdujemy wskazówki, jak znaleźć drogę, która ostatecznie wiedzie do pokoju. Jeśli wydają się nam trudne i wymagające, pamiętajmy, że nie są zestawem moralizujących norm i zakazów, lecz zarysem sposobu życia, który prowadzi tak do osobistego szczęścia, jak i harmonijnych relacji międzyludzkich.

©℗ PIOTR SIKORA

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**

za 69 zł

* oferta dotyczy 4 kolejnych (począwszy od „Zwierzeń zwierząt”) wydań (3, 4/2019 i 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj

** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	
Slot (13 numerów)	99 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SZYMON

Hołownia: *Pisać na ziemi, nie w kamieniu*

Ostatnio często przypomina się u nas wystąpienia papieża Franciszka dotyczące małżeństw homoseksualnych („destrukcyjny projekt wymierzony w Boży plan stworzenia" – z listu do wiernych napisanego jeszcze w Buenos Aires), „kolonizacji ideologicznej" prowadzonej przez promotorów „teorii gender", próbujących zmieniać społeczeństwo przez wywieranie wpływu na dzieci, tak jak robiło to np. Hitlerjugend (wypowiedź na pokładzie samolotu w drodze z Manili do Rzymu) itd. – mające pokazać, że w zasadzie papież mówi dokładnie to samo, co abp Marek Jędraszewski. O co więc całe to halo po tym, jak ten ostatni uznał za stosowne w kazaniu z okazji rocznicy wybuchu powstania warszawskiego wspomnieć o pustoszącej obecnie nasz kraj „tęczowej zarazie"?

Teza kusząca, bo przyznać trzeba, że nasz obecny papież ma w tych sprawach poglądy bardzo jednoznaczne, a przy tym znaną powszechnie skłonność do nieowijania w bawełnę i jazdy po – jak to się mówi – bandzie. Nieuczciwością (również wobec niego samego) byłoby nie mówić o tym głośno i przyprawiać mu etykietkę liberała na tronie Piotrowym.

Z drugiej strony nie można jednak nie zauważyć tych jego wypowiedzi, które do białej gorączki doprowadzają to samo skrzydło naszego Kościoła, które za przytoczone wyżej cytaty gotowe byłoby ogłosić Franciszka błogosławionym. Słynnego: „Jeśli ktoś jest homoseksualistą i z dobrą wolą poszukuje Boga, kimże jestem, żeby go oceniać?", wypowiedziane podczas podróży ze Światowych Dni Młodzieży w Brazylii. Czy wielokrotnego przypominania o „ryzyku, że niektóre programy formacji kapłańskiej będą kształcić według nazbyt określonych zasad, a tym samym skłaniać do stosowania sztywnych, ustalonych *a priori* ograniczeń i kryteriów, abstrahujących od konkretnych sytuacji: To wolno, tego nie wolno" (z przemówienia do polskich jezuitów, cyt. za aleteia.pl).

Nie znalazłem w wypowiedziach Franciszka (być może za słabo szukałem) frazy, którą tak chętnie szafują dziś nasi prawi wojownicy: „ideologia LGBT". Gdybym znalazł, chętnie polemizowałbym z Ojcem Świętym. O ile bowiem da się mówić np. o „teorii gender", o tyle „ideologia LGBT" to pusty znaczeniowo (bo homoseksualizm jest orientacją seksualną, a nie zbiorem idei) propagandowy wytrych, pozwalający zarządzać emocjami słuchaczy na skróty. Nie mogę też, jako się rzekło, wykluczyć, że w wielu sprawach co do zasady znalazłby on wspólny język z abp. Jędraszewskim. Nie o różnicę poglądów jednak tu chodzi, lecz o to, czy poza poglądami ktoś jeszcze naprawdę – a nie tylko z dbałości o retorykę – dostrzega tu człowieka.

Liczni nasi hierarchowie toczą ideologiczną wojnę, zaklinając się w co drugim oświadczeniu, że są pełni szacunku wobec osób homoseksualnych, ale owe zaklęcia obudowują taką ilością konfrontacyjnych stwierdzeń, że spotkanie stron staje się niemożliwe. Trudno bowiem na samym wstępie poinformować człowieka, że jest składową zarazy (czyli śmiertelnej choroby) toczącej społeczeństwo, po czym zapewnić o najgłębszym szacunku, miłości, czułej trosce – i liczyć, że w odpowiedzi zobaczy się wyciągniętą rękę.

Parę dni temu, podczas kazania w czasie porannej Eucharystii w bazylice św. Piotra, jałmużnik papieża kard. Konrad Krajewski (mający w tych sprawach poglądy identyczne jak papież) zwracał uwagę, że Jezus w Ewangelii wywołuje skandal za skandalem, na oczach pobożnych żydów czyniąc bohaterami ludzi spoza ideowej, religijnej wspólnoty. Uzdrowiona kobieta kananejska – a więc poganka – podejmująca z Jezusem dialog o spadających ze stołu okruchach, staje się wzorem wiary. Do każdego przyjęcia komunii przygotowują nas słowa innego poganina, setnika („Panie, nie jestem godzien..."). Niewykluczone – mówił kardynał Krajewski – że gdyby Jezus był z nami dziś, bohaterem czy bohaterką Ewangelii uczyniłby któregoś z uczestników białostockiego Marszu Równości.

Odcinając się od idei, poglądu, moralnej decyzji, nie możemy się odciąć od człowieka, bo Jezus zawsze stanie po stronie człowieka. Tu nie chodzi o to, by katoliccy biskupi nagle stali się gorącymi zwolennikami małżeństw jednopłciowych albo konceptu płci uzgadnianej kulturowo (będę się upierał, że trzeba z tego wyłączyć medyczne przypadki transpłciowości i jestem pewien, że Kościół – idąc za odkryciami nauki – w końcu to zrobi). Ich błędem jest to – powtórzę – że wyznają swoje poglądy w sposób, który odcina drogę do spotkania. Jak to bowiem jest, że nikt chyba nie ma wątpliwości, iż Franciszek (choć powiedział to, co na początku cytowałem) z radością spotkałby się z każdą osobą, niezależnie od jej orientacji i przynależności, która chciałaby się spotkać i szczerze z nim porozmawiać, ale czy ktoś może sobie takie spotkanie wyobrazić w przypadku naszych hierarchów?

Owszem, może takie spotkania mają miejsce, może po prostu nic o nich nie wiemy. Ja mówię o (wywieranym coraz częściej) wrażeniu, zasilanym przez kolejne pasterskie enuncjacje, że Kościół idzie na wojnę z gejami. Papież umie połączyć wierność sobie z otwartością na innych. U nas wierność sobie zdaje się być równoznaczna z przekonaniem, że otwarci na innych to będziemy dopiero, gdy przestaną oni być wierni swoim przekonaniom.

A to chyba nie Ewangelia. Bo gdy popatrzy się na relacje Jezusa z Zacheuszem, kamienowaną kobietą, apostołami – wyraźnie widać, że spotkanie wyprzedza jakąkolwiek decyzję o zmianie myśli czy życia. Umiejętność zawieszenia sądu jest równie ważna jak odwaga do jego proklamacji. Wspaniale pisał o tym Sergio Massironi w „L'Osservatore Romano" (6-7 września 2016 r., cyt. za aleteia.pl): „Zawiesić osąd nie oznacza bowiem zrezygnować z niego, ale znaleźć miejsce i czas na znacznie delikatniejszą i odważniejszą pracę. Jedyną, do której na tym świecie jesteśmy zdolni: pracę nad sobą. (...) Tylko w obecności Chrystusa jesteśmy doprowadzeni, bez upokorzenia, na skraj owej otchłani, jaką każdy z nas jest dla siebie. Jezus jest cierpliwością Boga, dzięki której w tę otchłań nie wpadamy. Gdy zawieszamy osąd, On prowadzi nas do świata, w którym można tylko pisać na ziemi, nie wykuwać w kamieniu". ©

WYROK NA FAIRBOURNE

Zmiany klimatu to rezultat ludzkiej chciwości, napędza je nasz konsumpcjonizm. Ich ofiarą może stać się nadmorska wioska w Walii, o którą nie chcą walczyć lokalni politycy.

AGATA KASPROLEWICZ Z FAIRBOURNE (WIELKA BRYTANIA)

Nie zamykamy drzwi, kiedy wychodzimy z domu. Zostawiamy kluczyki w samochodzie. To jedna z tych wiosek, które istniały dawno, dawno temu, zanim człowiek zrobił się pazerny. Tutaj, do Fairbourne chciwość jeszcze nie dotarła – mówi niskim i chropowatym, lecz melodyjnym głosem Stuart Eves.

Głębokie zmarszczki, ślady wiatru i słońca sprawiają, że jego twarz wydaje się surowa. Łagodności dodają jej gęste siwe loki opadające na czoło i wesołe jasnobłękitne oczy. Siedzi w głębokim fotelu obitym brązową skórą, w ponad trzystuletnim kamiennym domu, którego niski sufit podtrzymują drewniane belki. Stuart śmieje się, że mieszka się w nim jak w jaskini. Ściany latem oddają chłód,

KEITH MORRIS / ALAMY STOCK PHOTO/ BEW

Widok na Fairbourne i plażę Cardigan, północna Walia

zimą zatrzymują ciepło. Dom pochodzi z czasów, kiedy ludzie czerpali mądrość z przyrody. Ale to było dawno temu.

Uchodźcy klimatyczni?

Fairbourne, niewielka walijska wioska nad zatoką Cardigan, ukryła się między zielonymi grzbietami gór Snowdonii i Morzem Irlandzkim. To położenie przez lata zapewniało jej spokój i opinię jednego z najbardziej malowniczych miejsc w Wielkiej Brytanii. Piękno bywa jednak zdradliwe, a położenie okazało się pułapką. Prognozy dotyczące wzrostu poziomu morza są niepokojące. Władze hrabstwa Gwynedd uznały, że wioski nie da się uchronić przed skutkami zmian klimatu i podjęły decyzję o jej likwidacji. Mieszkańcy Fairbourne mogą stać się pierwszymi uchodźcami klimatycznymi w Wielkiej Brytanii.

– Na początku dali nam dziesięć lat – mówi Sylvia Stephenson. Do jej domu łatwo trafić, znajduje się na drodze przy wale biegnącym wzdłuż brzegu. Jako jedyny ma od frontu oranżerię. Przez nią w 2014 r. woda wdarła się do środka.

Wielką Brytanię nawiedziły wtedy powodzie, a przez Morze Irlandzkie przeszły gigantyczne sztormy. Na walijskie wybrzeże przyjechała ekipa BBC. Ludzie w Fairbourne mówią, że dziennikarze najpierw odwiedzili Barmouth, znany kurort położony stację dalej; w internecie można obejrzeć amatorski film obrazujący moment, kiedy wysoka fala uderza w tamtejszy pub.

Władze kurortu w strachu przed utratą turystów miały zareagować paniką na widok ekipy telewizyjnej i kazały jej się wynosić. Tak dziennikarze wylądowali w nikomu nieznanym Fairbourne i w domu Sylvii. To właśnie reporter BBC przekazał jej informację, że w 2025 r. władze hrabstwa zaprzestaną finansowania wałów przeciwpowodziowych w wiosce.

Zdaniem Sylvii to niewybaczalne, że nie włączono mieszkańców wioski do debaty na temat ich przyszłości. Zatajenie decyzji o likwidacji Fairbourne uważa za dowód na arogancję walijskich władz. Uważa też, że decyzję oparto na najbardziej pesymistycznych prognozach dotyczących wzrostu poziomu mórz, nie biorąc pod uwagę scenariuszy bardziej umiarkowanych. Sylvia nie może też wybaczyć politykom, że zamiast przeciwdziałać skutkom zmian klimatu, oddają Fairbourne bez walki.

– Pomyśleć, że Organizacja Narodów Zjednoczonych podawała Walię za przykład dla reszty świata, kiedy tutejsze władze uchwaliły ustawę „na rzecz dobra przyszłych pokoleń" (Well-being of Future Generations Wales Act 2015). Pozostaje mi tylko śmiać się przez łzy, bo nie widzę żadnego planu, który mógłby uchronić przyszłe pokolenia przed katastrofą.

Usłyszeć morze

Mieszkańcy Fairbourne skrzyknęli się w ruch obywatelski Fairbourne Facing Change (Fairbourne w obliczu zmian). Zebrali 20 tys. funtów i wywalczyli wydłużenie terminu likwidacji wioski do roku 2045. Wartość wszystkich domów i tak jednak spadła o 40 proc.

Mike Thrussell pół życia spędził na morzu. Od kiedy sięga pamięcią, wędkarstwo było jego pasją. W wieku 16 lat zaczął na siebie zarabiać. Chwytał się różnych zawodów, ale przy żadnym nie umiał długo wytrwać. Aż pojawiła się możliwość napisania tekstu do magazynu wędkarskiego. Dziś jest jednym ↦

z najbardziej uznanych brytyjskich dziennikarzy w branży wędkarskiej. Uważa się za szczęśliwego człowieka.

Dużo w życiu podróżował, pięć lat mieszkał w Australii. Ale zawsze wiedział, że to Fairbourne jest jego domem. Zamieszkał tuż przy plaży, tak blisko morza, jak to tylko możliwe. Z początku nie wiedział, dlaczego z podróży służbowych wraca niewyspany. Potem zrozumiał, że źle śpi, kiedy nie słyszy morza – w domu zawsze zasypia przy otwartym oknie. Nawet teraz, kiedy morze zaczęło się upominać o dorobek jego życia, szum fal nadal go koi.

– Skąd mamy czerpać optymizm? – pyta Thrussell. – Na razie usłyszeliśmy tylko, że będziemy musieli opuścić nasze domy, zapłacić za ich wyburzenie i w zamian nie dostaniemy żadnego odszkodowania. Co to dla mnie oznacza? Mam 64 lata, nie jestem bogatym człowiekiem, ale ciężką pracą udało mi się spłacić ten dom i miałem nadzieję na spokojną starość. Wiem jednak, że jeśli każą mi się stąd wynieść, moja skromna emerytura nie wystarczy na wynajęcie nowego domu. Wiem, czym jest bezdomność. Doświadczyłem jej, kiedy byłem nastolatkiem. Teraz boję się, że na koniec życia wyląduję na zasiłku i umrę w nędzy.

Rzeczywiście, władze od samego początku wykluczały możliwość wypłacania odszkodowań mieszkańcom wioski. Sylvia swój wymarzony dom nad morzem kupiła za 269 tys. funtów. Dziś jego wartość wynosi 170 tys., ale nikt w wiosce nie ma złudzeń, by ktokolwiek zapłacił za nieruchomość w Fairbourne powyżej 100 tys.

Dla niektórych to złota okazja, choć nie wypada mówić głośno o bogatych Anglikach w zaawansowanym wieku, którzy przyjeżdżają do Fairbourne z walizką wypchaną gotówką i wykupują domy za półdarmo. – Ich nie obchodzi, co będzie za 25 lat. Ale czy to jest *fair*? Z całą pewnością nie pomaga to wiosce – oburza się Mike. Jego zdaniem historia Fairbourne to przykład szaleńczego cięcia kosztów w Wielkiej Brytanii, a moment, w którym władze są gotowe poświęcić całą wioskę, by nieco zaoszczędzić, jest początkiem rozpadu społeczeństwa.

AGATA KASPROLEWICZ X3

ALAN JONES: *Zlikwidować to można elektrownię jądrową, a nie wieś. Nazywają nas pierwszymi brytyjskimi uchodźcami klimatycznymi. Jacy z nas uchodźcy?*

Zimna kalkulacja

David i Alvin mieszkają w Fairbourne od 15 lat, prowadzą pensjonat Einion House. To właśnie u nich w 2014 r. zatrzymali się dziennikarze BBC. Na ścianie przy recepcji wiszą czarno-białe zdjęcia z końca XIX w. Wtedy właśnie pojawił się tu Alexander McDougall, twórca popularnej w Wielkiej Brytanii mąki samorosnącej (z dodatkiem sody), na której zbił majątek. W 1895 r. przyjechał na zachodnie wybrzeże Walii i w miejscu, gdzie leży dziś Fairbourne, zapragnął stworzyć miejscowość wakacyjną. Zbudował kościół, pocztę, hotel i stację kolejową.

David i Alvin zgodnie dzielą się obowiązkami w pensjonacie. Jeden gotuje fasolkę i smaży bekon na śniadanie dla gości, drugi zabawia ich rozmową w niewielkiej jadalni z widokiem na zielone łąki i białe owieczki. David angażował się w ruch Fairbourne Facing Change. Nie wątpi w to, co mówią naukowcy na temat zmian klimatu, i wie, że morze będzie się upominać o takie miejsca jak jego wioska.

– Wtedy zostaną nam dwa wyjścia. Albo umocnimy wały, albo wioska zatonie. Myślę, że władze zdecydowały o jej likwidacji, zestawiając wartość tutejszych nieruchomości z kosztami utrzymania zabezpieczeń przeciwpowodziowych. Los

Przed Sądem Rejonowym dla Krakowa-Krowodrzy w Krakowie, I Wydział Cywilny, do sygn. akt I Ns 230/18/K, toczy się postępowanie z wniosku Jacka Kupczyńskiego i innych przy uczestnictwie Stanisława Sarnka (Sarnek) o zasiedzenie.

Wnioskodawcy wnieśli o stwierdzenie zasiedzenia działki nr 2020, położonej w Krzeszowicach, odpowiadającej działce nr 65/2, obręb Nawojowa Góra, powstałej z parcel katastralnych l. kat. 563/1 i l. kat. 563/2, objętych dawną księgą Nawojowa Góra lwh 1032.

W związku z powyższym wzywa się zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności nieruchomości, jeśli zostanie udowodnione.

OGŁOSZENIE A X2

Sąd Rejonowy w Słubicach w sprawie I Ns 114/19, z wniosku Gminy Słubice – Zakładu Administracji Mieniem Komunalnym w Słubicach, o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Zagóra, s. Jana i Anieli z d. Komander, zm. 31 sierpnia 2018 r. w Słubicach, ostatnio stale zamieszkałym w Słubicach przy pl. Wolności 11/1 – wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sąd nie posiada informacji, co wchodzi w skład spadku.

STUART EVES: *Od kiedy się tu sprowadziłem, ludzie nieustannie powtarzali, że pewnego dnia tę wioskę zabierze morze.*

MAYUR VERMA: *Życie jest zbyt piękne, by zaprzątać sobie głowę katastrofą, która nie wiadomo kiedy nadejdzie.*

naszej wioski określiła więc zimna kalkulacja finansowa. Nikt w niej nie uwzględnił wartości, jaką stanowi społeczność Fairbourne – nasi mieszkańcy, nasz pub, kolejka wąskotorowa i wyśmienita restauracja indyjska.

Podobno na plaży w Fairbourne można czasem usłyszeć bijące na alarm dzwony zatopionych kościołów mitycznego królestwa Cantre'r Gwaelod, pochłoniętego niegdyś przez morze. Winny był niefrasobliwy król Gwyddno Garanhir, który zamiast chronić mieszkańców królestwa przed gniewnymi falami, spędzał całe dnie na zielonych wzgórzach Barmouth i pisał ballady. Obowiązek pilnowania wałów powierzył poddanemu o imieniu Seithenyn, który ponad wszystko kochał jednak kobiety i wino. Kiedy pewnej nocy przyszedł potężny sztorm, Seithenyn był zbyt pijany, by zareagować. Po Cantre'r Gwaelod została tylko legenda.

Stuart Eves mówi, że Fairbourne to wioska, do której nie dotarła chciwość. Czy ma rację? Zmiany klimatu to przecież właśnie rezultat naszej chciwości. Co innego napędza zbliżającą się katastrofę klimatyczną, jeśli nie nasz niepohamowany konsumpcjonizm?

A może zanim o Fairbourne upomni się morze, pogrzebią je politycy, zbyt cyniczni, by walczyć o niewielką wioskę? Zbyt zajęci sobą, by skupić się na realnych problemach, od których już wkrótce nie będzie ucieczki? Przecież to, co stanie się z Fairbourne, będzie scenariuszem przyszłych losów wielu miast i wiosek w Wielkiej Brytanii. Brytyjska Komisja ds. Zmian Klimatu (CCC) opublikowała w zeszłym roku raport, z którego wynika, że w podobnej do Fairbourne sytuacji może znaleźć się 530 miejscowości. W roku 2080 półtora miliona domów będzie zagrożonych powodzią, kolejnych sto tysięcy może się zawalić na skutek erozji. Tylko w Walii 104 tys. posiadłości grozi zatopienie. Autor raportu, Jim Hall, nazwał sytuację na brytyjskim wybrzeżu tykającą bombą.

– Likwidacja Fairbourne? Co to w ogóle oznacza? Zlikwidować to można elektrownię jądrową, a nie wioskę. Nazywają nas pierwszymi uchodźcami klimatycznymi w Wielkiej Brytanii. Jacy z nas uchodźcy? Przecież mamy domy. Po co używać takich słów? – zastanawia się Alan Jones, właściciel Fairbourne Chippy, lokalnej smażalni serwującej na tekturowych tackach ukochane przez mieszkańców Wysp *fish and chips*, rybę z frytkami. Alan nie boi się o przyszłość. Nie wierzy w złe prognozy ani dla Ziemi, ani dla Fairbourne. – Klimat zmienia się nieustannie od milionów lat. OK, może trochę przyspieszyliśmy te zmiany, ale bez przesady.

Fairbourne Chippy to najpopularniejszy lokal w wiosce, ale na prawdziwą ucztę chodzi się do Indiana Cuisine, gdzie gości od progu wita śnieżnobiały uśmiech właściciela. Mayur Verma, znany niegdyś jako Raj, był gwiazdą Bollywood. Kiedy poczuł, że jego życie przestało do niego należeć, rzucił karierę i wyruszył w podróż w nieznane. Do biznesu restauracyjnego namówiła go żona, świetna kucharka. Wiedział, że nie chce otwierać kolejnej knajpy serwującej typowe *british curry*. Pragnął stworzyć restaurację na końcu świata, której sława przyciągnie gości ze wszystkich stron.

Rajowi został gwiazdorski uśmiech, ale w Fairbourne Indiana Cuisine jest przede wszystkim troskliwym gospodarzem. Być może bogate doświadczenie bollywoodzkiego aktora nauczyło go, że najważniejsze jest to, co tu i teraz. Uważa, że nie należy robić dalekosiężnych planów, bo życie jest zbyt zaskakujące, by móc przewidzieć to, co zdarzy się jutro, nie mówiąc o prognozach na kolejne 20, 30 czy 50 lat. Dlatego ze spokojem patrzy na morze. Mówi, że życie jest zbyt piękne, by zaprzątać sobie głowę katastrofą, która nie wiadomo kiedy nadejdzie.

– Od kiedy się tu sprowadziłem, a było to ponad 40 lat temu, ludzie nieustannie powtarzali, że pewnego dnia tę wioskę zabierze morze – tłumaczy bez cienia goryczy Stuart Eves. Dla niego utrata jest ceną, którą musi zapłacić za życie w pięknym miejscu.

Z tą myślą trudniej pogodzić się Sylvii. Dom nad morzem był marzeniem jej życia. Kiedy się spełniło, cieszyła się jak mała dziewczynka. Nie jest zła na morze. Pretensje ma do ludzi, którzy tak mało pojmują z tego, co dzieje się z naszą planetą. Ale morza nigdy nie przestanie kochać.

© AGATA KASPROLEWICZ

RDC POLSKIE RADIO

AGATA KASPROLEWICZ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 14 sierpnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Lista żalów komisarza France'a

JAN SMOLEŃSKI Z BALTIMORE (USA)

Zaczęło się od tego, że policjanci przesiedli się do radiowozów. Już nie mówili „Dzień dobry", nie słyszeli w odpowiedzi „Jak mija dzień?". Przestali rozpoznawać ludzi. Wtedy na ulice wrócili dilerzy.

Clayton Guyton ma charyzmę natchnionego pastora. Siwy zarost kontrastuje z czekoladową skórą i dodaje mu powagi, a strój – luźne jeansy, koszula i czapka bejsbolówka – sugeruje, że uliczne życie nie jest mu obce.

– Głos Stwórcy mówi: „Nie rób tego"! – Mr C, bo tak na Guytona mówią w jego rodzinnym Baltimore, podnosi głos, gdy chce podkreślić wagę swoich słów.

Przed nim na starych krzesłach i schodkach do wąskich, pokrytych sztucznym piaskowcem kamienic siedzą dwa tuziny słuchaczy. Po przetartych spodniach, porozciąganych podkoszulkach i zniszczonych butach można poznać, że każdy zmaga się z biedą.

– Czasami to wewnętrzny głos. A czasami Stwórca zsyła nam kogoś, kto nam przekaże jego słowa „Nie rób tego"! – Mr C wstaje i zaczyna żywiej gestykulować. – Głosu Stwórcy nie da się całkiem zagłuszyć. Ja go ignorowałem i zamiast do domu, szedłem na panienki, choć wiedziałem, że to zły pomysł. I co? I wracałem spłukany! – Mr C śmieje się, a wraz z nim jego słuchacze. – Możecie ten głos zignorować – Mr C gwałtownie poważnieje – ale wtedy ryzykujecie, że rozpętacie kolejną spiralę morderstw.

Trump: to „ohydne miejsce"

Choć Mr C mówi jak pastor, nie moralizuje. Baltimore jest miastem z jednym z najwyższych współczynników zabójstw w USA.

Jego północno-wschodnia część, w której działa prowadzone przez niego Rose Street Community Center, należy do bardziej szemranych okolic. Na Baltimore mówi się „Bulletmore" – od *bullet*, czyli kuli z broni palnej; wymyślone zaś w latach 70. hasło reklamowe z *Charm City* (miasto uroku) zmieniono na *Harm City* (miasto krzywdy).

Pod koniec lipca prezydent Donald Trump napisał na Twitterze, że miasto to jest „odrażającym syfem, w którym roi się od szczurów i gryzoni". Stwierdził też, że to „bardzo niebezpieczne i ohydne miejsce", gdzie „żaden człowiek nie chciałby mieszkać". Kilka dni później podczas wiecu w Cincinnati stwierdził, że współczynnik zabójstw w Baltimore jest wyższy niż w Afganistanie.

Baltimore oberwało się przy okazji, bo głównym celem twitterowej tyrady był członek Izby Reprezentantów Elijah Cummings. Kierowana przez niego w niższej izbie Kongresu komisja prowadzi obecnie kilka śledztw dotyczących administracji Trumpa. Jedno z nich dotyczy warunków, w jakich przetrzymywane są dzieci odebrane rodzicom przez straż graniczną. Trump zaprzeczył oskarżeniom w tej kwestii i to właśnie do rzekomo lepszych warunków w obozach dla dzieci porównał sytuację w Baltimore. Prezydencką tyradę na Twitterze uznano jednak za rasistowską. Cummings jest czarnoskóry, a w reprezentowanej przez niego części Baltimore mieszkają głównie Afroamerykanie.

Wizja lokalna

Wschodnia i zachodnia część Baltimore, poza zgentryfikowanym centrum i dość zamożnym południem, faktycznie są zaniedbane i niebezpieczne.

Tu, na wschodzie, niektóre kamienice są opuszczone. Kiepską kondycję zamieszkałych domów zdradzają próchniejące drewniane gzymsy. Koloru i życia temu miejscu dodają misternie wykonane na bocznych ścianach graffiti i murale, choć i te po bliższej inspekcji potrafią zasmucić. Jeden z nich, poświęcony chłopakowi zastrzelonemu w 2016 r., przypomina, z czym na co dzień boryka się okolica. – W latach 60. ludzie tutaj mieszkali, mieli pracę. Dziś dla władz lokalnych się nie liczymy – mówi Mr C.

Baltimore, niegdyś kwitnący port przemysłowy przyciągający czarną klasę pracującą z Południa, ucierpiało na skutek dezindustrializacji. Mieszka tu niewiele ponad 600 tys. ludzi. Około 24 proc. z nich żyje poniżej progu biedy – to dwa razy więcej niż krajowa średnia.

O tym, że są miejsca dużo gorsze niż Rose Street i jej okolice, przekonałem się podczas przejażdżki, na jaką zabrał mnie Wendell M. France, emerytowany komisarz policji wschodniego okręgu w Baltimore.

Mijamy całe kwartały opuszczonych kamienic w różnym stadium rozkładu. Ich cechą są zabite drzwi i okna na parterze. W niektórych straszą powybijane okna na pierwszym piętrze, w innych pozapadały się już dachy, a na elewacjach widać ślady pożarów.

Po budynkach, które nie wytrzymały naporu żywiołów – wody z opadów i ognia z podpaleń i zaprószeń – zostały puste działki. Te też potrafią się ciągnąć przez cały kwartał. Przez te szczerby w szeregach kamienic można dostrzec alejki i tyły kolejnych budynków – zapuszczone małe podwórka, w których trawę zastąpiło wypalone słońcem suche klepisko. Rupieciarnia na tyłach sugeruje, że ktoś w kamienicy mieszka – legalnie lub nie.

Na tle opuszczonych budynków rzucają się w oczy te zamieszkałe. Można je poznać po drzwiach i niestłuczonych szybach, ale powywieszane w oknach stare prześcieradła zdradzają, że lokatorów nie stać na zasłony. Jest ich coraz więcej, bo znajdujący się we wschodnim Baltimore Szpital Johnsa Hopkinsa wykupuje coraz więcej terenów wokół oraz remontuje istniejące i stawia nowe budynki. Ma to być swego rodzaju strefa buforowa między kampusem a biednymi i mniej bezpiecznymi okolicami. Do nowych domów ma się jednak wprowadzić nowa klasa średnia.

– Opustoszałe rejony miasta przyciągają przestępczość narkotykową, bo tutaj nikt w interesach nie przeszkodzi – mówi France. W takich miejscach przestępcy przechowują towar, ale sprzedają go gdzie indziej, tam gdzie mają klientów. Wraz

PATRICK SEMANSKY / AP/ EAST NEWS

Opuszczone przedmieścia Baltimore, 2017 r.

z nimi idzie przemoc. Do tego dochodzą złe relacje między mieszkańcami a policją, co utrudnia utrzymywanie bezpieczeństwa. – Teraz policja przypomina bardziej siły okupacyjne niż stróżów prawa – mówi. Kiedy on był komisarzem, wyglądało to inaczej...

Przemoc z dala od domów

– Pamiętam te czasy – mówi Mr C. – Pan Przyjazna Władza wiedział, jak deeskalować sytuację.

Pan Przyjazna Władza na piechotę patrolował wyznaczone mu ulice. Mijał po drodze mieszkańców, zagadywał, rozmawiał z nimi, a oni z kolei mówili mu „dzień dobry". Policjanci pochodzili z dzielnic, które patrolowali – wiedzieli, jak rozwiązywać lokalne konflikty.

France wychował się we wschodnim Baltimore. Do policji wstąpił z powodów przyziemnych: – Chciałem pójść na studia, ale nie było mnie stać. A dzięki służbie w policji nie dość, że mogłem studiować, to jeszcze mi za to płacili! – mówi.

Wiedział, że w biednej okolicy, takiej jak wschodnie Baltimore, głównym problemem do rozwiązania była przemoc. I nie mógł tego zrobić bez pomocy samej społeczności. – Dlatego gdy musiałem interweniować, bo na przykład grupka gówniarzy siedziała na krawężniku i hałasowała w nocy, nie obchodziło mnie, czy palili trawę albo czy mieli jakieś niezapłacone mandaty. Mówiłem im, żeby byli cicho, bo sąsiedzi się skarżą, i na tym kończyłem – tłumaczy. I wyjaśnia, że chodziło o zbudowanie z mieszkańcami więzi.

– Instruowałem też podwładnych, by każdy z nich przygotował listę pięciu największych problemów w ich obwodach. Nie wszystkie wymagały interwencji policyjnej, ale oni musieli je znać, żeby wiedzieć, jak reagować – wyjaśnia France. Zawarł niepisaną umowę z dilerami. Wyznaczył im kilka opuszczonych kwartałów, na których mogli sprzedawać narkotyki. Chodziło o to, żeby trzymać przemoc z daleka od miejsc, w których ludzie mieszkają i żyją.

Zasady były proste: zero sprzedaży narkotyków poza wyznaczonymi kwartałami. Jakiekolwiek strzelaniny i przestępstwa z użyciem przemocy oznaczały interwencję, nawet tam, gdzie dilerzy mogli sprzedawać. No i musieli jakoś dostarczać towar na swój róg, a wtedy nie było żadnej taryfy ulgowej. – Nie należeli do najbystrzejszych, bo wielu z nich aresztowałem i posłałem do więzienia – mówi z uśmiechem France.

Cel jednak osiągnął: przestępczość na jego terenie spadła o ponad 40 proc.

Nowe gorsze czasy

Potem między biednymi dzielnicami Baltimore a policją zaczęły wyrastać mury. ↦

Mr C wspomina, że zaczęło się od szyb w oknach samochodów. Policjanci, zamiast patrolować pieszo, wsiedli do radiowozów. Już nie mówili mieszkańcom „Dzień dobry" i nie słyszeli w odpowiedzi „Jak mija dzień?". Przestali rozpoznawać ludzi, a ludzie ich. Wtedy na ulice wrócił handel narkotykami.

Kolejną barierą były kajdanki – za popalanie trawki, za nocne hałasy, za stanie nie tak na chodniku. Kajdanki, a potem areszt – uzasadniony lub nie, choć to akurat nie ma znaczenia, bo w oczach mieszkańców wszystkie zaczęły się mieszać. I tak policjanci stali się wrogami. – Niedawno szedłem ulicą i powiedziałem do gliniarza: „Jak się pan miewa?". Nic. Gdy powtórzyłem, to odparł, że słyszał i tyle. Teraz oni nie reagują nawet na grzecznościowe „dzień dobry" – mówi Mr C.

France obserwował te zmiany z drugiej strony. Pierwszą, jaką zauważył, była zmiana pokoleniowa. Z pracy zaczęli odchodzić starsi policjanci, ci z korzeniami w dzielnicy. Po drugie, władze wpadły na pomysł, żeby w Baltimore skopiować nowojorską politykę „zera tolerancji". Zyskała sławę dzięki Rudiemu Giulianiemu – burmistrzowi Nowego Jorku w latach 1994–2001, który rzekomo dzięki twardemu podejściu do przestępczości uczynił to miasto bezpiecznym.

Z opowieścią o szeryfie Giulianim jest jednak jak w sowieckim dowcipie o samochodach rozdawanych na placu Czerwonym – tak naprawdę to nie samochody, a rowery, i nie rozdają, a kradną. Przestępczość w Nowym Jorku zaczęła spadać, zanim Giuliani objął stanowisko, podobnie jak w innych miastach, które podejścia „zero tolerancji" nie zastosowały. Tym, co z pewnością było „zasługą" Giulianiego, to wzrost skarg na brutalność policji.

W dodatku w Baltimore władze skomputeryzowały system rejestracji aresztów. Oznaczało to, że młody policjant zwijał kogoś z ulicy, odstawiał na dołek i potem już się tym nie interesował, bo żaden sierżant nie sprawdzał przy nim, czy aresztowanie miało jakiekolwiek podstawy. A powodem do zatrzymania mogło być w zasadzie wszystko. Siedzenie na schodach kamienicy lub stanie na rogu – w końcu tak pracują dilerzy, a przynajmniej tak głosi plotka. Podejrzane też było kucanie na krawężniku, zbyt powolne chodzenie lub biegnięcie. Hałasowanie w nocy wręcz gwarantowało, że na nadgarstkach wylądują kajdanki.

WENDELL M. FRANCE:

Opustoszałe rejony miasta przyciągają przestępczość narkotykową, bo tutaj nikt w interesach nie przeszkodzi. Teraz policja przypomina bardziej siły okupacyjne niż stróżów prawa.

Śmierć Freddiego Graya, która doprowadziła do zamieszek w 2015 r., była konsekwencją tych zmian.

Sprawa Gray'a: lista zaniedbań

Spośród wielu czarnoskórych mężczyzn, których śmierć z rąk policji wzburzyła całe Stany Zjednoczone, akurat 25-letni Freddie Gray nie był dobrym chłopakiem.

Urodzony i wychowany w borykającej się z przestępczością zachodniej części Baltimore, miał na koncie co najmniej dwie odsiadki, za posiadanie nielegalnych substancji psychoaktywnych i za dilerkę. Był też aresztowany za napaść i niszczenie mienia. W momencie jego śmierci toczyło się przeciwko niemu kilka spraw. Gdy feralnego 12 kwietnia 2015 r. spojrzenia jego i jednego z policjantów z rowerowego patrolu się spotkały, Freddie tak po prostu zaczął uciekać.

Ale to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia.

– Policjanci nie mieli żadnej podstawy do zatrzymania Graya, nie mówiąc już o aresztowaniu – mówi wprost major Neill Franklin, emerytowany policjant stanowy, jedyny, który w procesie w sprawie śmierci Graya zeznawał przeciwko swoim. – Ucieczka przed policją to za mało – precyzuje.

I recytuje całą listę zaniedbań ze strony policji. Dlaczego ruszyli za nim w pościg, skoro nie mieli żadnego powodu? Dlaczego nie zadzwonili po karetkę, gdy Gray narzekał na ból? Dlaczego, wiedząc, że Gray nie może sam chodzić i narzeka na ból, położyli go na podłodze policyjnej furgonetki, twarzą do ziemi, a nie posadzili na siedzeniu i przypięli pasami? Dlaczego furgonetka zatrzymała się aż trzy razy, mimo że wiele wskazywało na to, że Gray już wtedy był w kiepskim stanie? Dlaczego ignorowali wszystkie znaki sugerujące, że z Grayem się źle dzieje?

Gdy w końcu, ponad 30 minut od aresztowania, ratownicy medyczni przyjechali po Graya, ten był w śpiączce. Zmarł kilka dni później w wyniku obrażeń ciała: miał pęknięte trzy kręgi, obrażenia krtani i – co okazało się przyczyną śmierci – uszkodzenia rdzenia kręgowego w odcinku szyjnym. Zdaniem Franklina, do tego uszkodzenia doszło, jeszcze zanim Graya rzucono na podłogę radiowozu, być może w momencie aresztowania, gdy policjant przycisnął mu szyję od tyłu kolanem do ziemi. – Uważam, że nikt celowo Freddiego Graya nie zabił – mówi Franklin. – W tym sensie to był wypadek. Ale zaniedbań było tyle, że ktoś powinien był za to odpowiedzieć.

Mniej wyrozumiały dla policjantów jest Mr C: – Freddie Gray zginął, bo ci policjanci wiedzieli, że mogą go tak potraktować. I że ujdzie im to na sucho!

Aresztować kaptury

W Baltimore protesty wybuchły 18 kwietnia, jeszcze zanim Gray zmarł w szpitalu. Początkowo były pokojowe, ale w ciągu tygodnia przerodziły się w regularne zamieszki. Tłum atakował policję i niszczył radiowozy. Wybijano też szyby w sklepach i lokalach usługowych. 27 kwietnia gubernator Maryland ogłosił stan wyjątkowy, a do Baltimore wezwano Gwardię Narodową.

Prokuratura postawiła sześciorgu policjantom uwikłanym w śmierć Graya zarzuty zabójstwa. Franklin jest przekonany, że były to zarzuty na wyrost, postawione głównie po to, żeby uspokoić nastroje, ale to nie pomogło.

Departament Sprawiedliwości USA wszczął własne dochodzenie. Jego wyniki były szokujące: policja regularnie łamała konstytucyjne prawa mieszkańców, nielegalnie ich zatrzymując i stosując nadmierną przemoc. Przełożeni mieli np. aresztować wszystkich w czarnych bluzach z kapturem w danej dzielnicy. Zatrzymania i przeszukania Afroamerykanów na ulicach – same w sobie nielegalne – były nagminne, choć to biali mieszkańcy miasta częściej posiadali narkotyki lub nielegalną broń. – Problem z podejściem „zero tolerancji" jest taki, że nie da się go stosować wszędzie w równy sposób – podsumowuje France. – A kryterium, według którego w Baltimore wy-

bierano, wobec kogo stosować „zero tolerancji", była rasa.

Swoją drogą, Mr C miał rację – funkcjonariuszom, którzy aresztowali Graya, wszystko uszło na sucho. Po uniewinnieniu trzech policjantów zarzuty wobec pozostałej trójki zostały wycofane.

Nie jesteśmy policją

– OK, koniec na dzisiaj – Mr C kończy swoją pogawędkę o głosie Stwórcy.

Zebrani biorą torby na śmieci i idą do wyznaczonych miejsc. Członkowie Rose Street Community Center mają takie spotkania kończone sprzątaniem sześć dni w tygodniu. – Sami musimy sprzątać tę okolicę, bo miasto nawet tego nie robi – mówi z wyrzutem.

W Rose Street Community Center ludzie spotykają się i rozmawiają, żeby pokazać, że są inne drogi poza przemocą. A sprzątanie? Żeby było jasne, że zależy im na ich dzielnicy. – Zanim zaczęliśmy sprzątać ulice, można było tu kupić budynek za bezcen. Teraz mieszkańcy nie chcą sprzedawać swoich domów, bo lubią to miejsce – mówi z dumą Mr C. – Miasto nie musi tutaj sprzątać, sami to robimy. Ale chcemy, żeby robili to, co do nich należy, to, co robią w pozostałych miejscach.

Nikt tego nie mówi wprost, ale wiadomo, że chodzi o miejsca, gdzie mieszkają zamożni biali.

Mr C ma pomysł, jak zmusić do tego władze miejskie. Ignorowanie czarnej społeczności wynika z tego, że nikt we władzach miasta nie traktuje ich jak potencjalnych wyborców. Dlatego kolejnym jego celem jest wyciągnięcie ludzi do urn. Może dzięki temu uda się zyskać pieniądze na reaktywowanie projektu „100 kwartałów bez morderstw". Pytany, dlaczego finansowanie się skończyło, tylko macha ręką.

Ale mimo to Mr C nie chce policji u siebie. – Zwiększona obecność policji nigdy nie jest rozwiązaniem – mówi stanowczo. – To tylko wysyła w świat sygnał, że jako wspólnota nie jesteśmy w stanie sami siebie uzdrowić. Jesteśmy.

– Sami jesteście sobie policją? – pytam.

– Nie. My dokonujemy introspekcji, samooceny. Nazwij to jak chcesz, bylebyś słowo „policja" trzymał od tego z daleka.

© JAN SMOLEŃSKI

TAUSEEF MUSTAFA / AFP/ EAST NEWS

Wzmożone kontrole drogowe w Kaszmirze, Srinagar, 8 sierpnia 2019 r.

Bóg Rama w Himalajach

WOJCIECH JAGIELSKI

Władze w New Delhi odebrały autonomię Kaszmirowi, przyznaną mu ponad 70 lat temu za przystąpienie do powstającego indyjskiego państwa.

↦

Utrata flagi, kodeksu karnego, a nawet stanowej rangi (takie poniżenie nikogo jeszcze w Indiach nie spotkało) Kaszmirczyków nie zaboli. Autonomia była fikcją. Odkąd zaś 30 lat temu w regionie wybuchło powstanie, Indie utrzymują tu wieczny stan wyjątkowy.

Dotąd jednak szanowały zasadę, że nieruchomości w Kaszmirze mogą kupować tylko jego rdzenni mieszkańcy i tylko oni mogą pracować w miejscowych urzędach. Odtąd każdy, kto zechce, będzie mógł się tu sprowadzić. Kaszmirczycy obawiają się, że wkrótce zostaną mniejszością we własnym kraju, a w końcu, zdominowani przez obcych, stracą tożsamość.

Tak chcą nacjonaliści

Kaszmir był jedynym w Indiach stanem, w którym większość (ponad dwie trzecie z ok. 12 mln mieszkańców) stanowili muzułmanie. W 1947 r., kiedy z Indii wykrojono część terytorium na Pakistan, państwo dla muzułmanów, spodziewano się, że przyłączy się do niego również Kaszmir. Miejscowy maharadża, wywodzący się z hinduskich radżputów, postanowił jednak zgłosić akces do Indii. Pakistan nigdy się z tym nie pogodził. Wybuchła wojna, potem druga, w końcu, w 1989 r., powstanie, które pochłonęło już prawie sto tysięcy ofiar.

Dla hinduskich nacjonalistów, sprzeciwiających się świeckości indyjskiego państwa, zbuntowany Kaszmir z jego autonomią był przypomnieniem mrocznej przeszłości i najgorszego upokorzenia – zniewolenia przez obcych, najpierw muzułmanów, a potem chrześcijan z Wielkiej Brytanii. Sięgając w 2014 r. po władzę, przywódca hinduskich patriotów Narendra Modi obiecywał, że pod jego rządami Kaszmir stanie się taką samą częścią Indii, jak inne stany. Pierwsza pięciolatka zeszła mu na przejmowaniu, jedna po drugiej, najważniejszych instytucji państwa, przepisywaniu na nowo historii, pomniejszaniu znaczenia twórców świeckiego państwa – Jawaharlala Nehru i jego córki Indiry Gandhi.

Wiosną 2019 r. Narendra Modi ponownie i z jeszcze większą przewagą wygrał wybory; wygraną zawdzięczał głównie konfliktowi o Kaszmir. W przeddzień głosowania w regionie doszło do kolejnego zamachu terrorystycznego. W odwecie Modi kazał bombardować Pakistan. W oczach wielu rodaków urósł wtedy do rozmiarów niepokonanego i wszechpotężnego boga Ramy.

Sto dni po wyborczej wygranej odebrał Kaszmirowi autonomię, dokonał też kolejnego rozbioru himalajskiej krainy, odłączając od niej górzysty, ćwierćmilionowy Ladakh, zamieszkały w połowie przez muzułmanów i wyznających buddyzm Tybetańczyków. Pozostawił jednak w Kaszmirze region Dżammu, w którym dwie trzecie stanowią hindusi.

Według Kaszmirczyków zrobił to po to, by przełamać polityczną i demograficzną dominację muzułmanów. W regionalnym parlamencie zasiadało dotąd 46 posłów z doliny, 37 z Dżammu i 4 z Ladakhu.

Jak w Palestynie

Władze w New Delhi zapowiedziały już zmianę granic okręgów wyborczych i budowę w dolinie Kaszmiru nowych osiedli dla przechodzących na emeryturę wojskowych oraz kaszmirskich brahminów, panditów, którzy w liczbie około pół miliona uciekli z doliny przed wojną. Przeciwnicy osiedli – ogrodzonych i strzeżonych przez wojsko, wyposażonych w szpitale, szkoły, sklepy – twierdzą, że będą one kopią żydowskich osiedli na palestyńskim Zachodnim Brzegu, wywołają podobne emocje i przemoc.

Minister policji Amit Shah, prawa ręka Modiego, przekonuje Kaszmirczyków, że dopiero teraz, zachęceni możliwością zakupu nieruchomości, ściągną do regionu inwestorzy, czyniąc go „najbogatszym zakątkiem w Indiach". Rozwój gospodarki odstręczy zaś młodych od religijnego fanatyzmu i przemocy, przekona do demokracji.

Jednak przeciwnicy Modiego twierdzą, że słowa jego ministra przypominają obietnice Pekinu przekonującego Tybetańczyków do dobrodziejstw, jakie spłyną na nich wraz z przybywaniem do ich kraju Chińczyków. Albo tłumaczącego ostatnio Ujgurom z Xinjiangu (Turkiestanu Wschodniego), że nie stracą ujgurskiej tożsamości, nawet jeśli wyrzekną się islamu.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Dom zbudowali sami

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KOBANÊ (SYRIA)

Cztery lata po tym, gdy zdjęcia ciała trzyletniego Alana Kurdiego obiegły świat, jego rodzina wciąż nie może pogodzić się z przeszłością.

W południowej części miasta jest dom rodziny Şenu. To szara dwupiętrowa bryła o wysokich stropach, którą wybudowali w tym roku. Ta część Kobanê, miasta w północnej Syrii sąsiadującego z turecką granicą, uległa zniszczeniu po oblężeniu Państwa Islamskiego i licznych nalotach amerykańskich. Dom rodziny Şenu nie przetrwał tej bitwy.

W nowym panuje przyjemny chłód, szczególnie gdy kręci się wiszący u sufitu wiatrak. Przez nieduże okna wpada niewiele światła. Mieszka tu dziewięcioro członków rodziny. W tym Abdu i jego matka Fatma. Nie są pewni swojego wieku. Abdu mówi, że ma 25-26 lat, a Fatma – 48-49.

Wokół domu leżą stalowe pręty, które Abdu tnie i wygina z nich klamry zbrojeniowe. To prosta mechaniczna praca. Dzięki niej rodzina Şenu nie martwi się o jutro. Rodzina nie chce kolejnych zmartwień. Wciaż nie zapomniała o przeszłości: cztery lata temu siostrzeniec Abdu i wnuczek Fatmy stał się sławny – jego zdjęcia obiegły cały świat. Chociaż nie była to sława, jakiej by sobie życzyli.

Podczas szczytu kryzysu uchodźczego w 2015 r. ciało trzyletniego Alana Kurdiego, ubranego w czerwoną koszulkę i niebieskie szorty, leżało na plaży jednego z tureckich kurortów. Wraz ze starszym o dwa lata bratem Galibem, matką Rihanną i ojcem Abdullahem próbowali dostać się na grecką wyspę Kos. Przeżył tylko Abdullah. Reszta rodziny zginęła wraz z dziewięcioma innymi osobami.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Fatma Şenu trzyma w ręku kolaż, na którym są jej wnuki Alan i Galiba, a także córka Rihanna, Kobane, lipiec 2019 r.

Wojna i bieda

Abdullah mieszkał w stołecznym Damaszku. Po ślubie dołączyła do niego małżonka Rihanna, siostra Abdu. Była bardzo przywiązana do Kobanê, dlatego pierwszego syna Galiba urodziła w Manbidżu, oddalonym od tego miasta o 50 km. Po wyjściu ze szpitala chciała spędzić czas z rodziną.

Mieszkańcy Damaszku coraz bardziej odczuwali skutki wojny. Rihanna dzwoniła do matki Fatmy. Opowiadała, że Abdullah musiał ciągle pracować. Wychodził o świcie i wracał późnym wieczorem. – Była samotna i bała się tego – mówi Fatma.

Wyjechali do Kobanê. Mieszkali z rodziną Rihanny. Abdullah, fryzjer z zawodu, miał problemy ze znalezieniem pracy albo wiązała się ona z dużym niebezpieczeństwem. Raz został ciężko pobity przez uzbrojonych ludzi, którzy wybili mu zęby. Postanowił, że wyjedzie do Turcji – pracował w przygranicznych miastach, a ostatecznie trafił do Stambułu. Łapał się każdej możliwej fuchy. Zdążył wrócić, nim w 2013 r. Rihanna urodziła Alana. Kobanê i okolice stawały się coraz mniej bezpiecznie, a Państwo Islamskie Iraku i Wielkiej Syrii coraz śmielej sobie poczynało. Wkrótce mieli wziąć je na celownik.

Alan mieszkał w Kobanê niecały rok. Abdu i Fatma zapamiętali chłopca i jego brata jako grzeczne dzieci, które lubiły się bawić, ale nie psociły. Fatma spędzała z nimi dużo czasu. – Oni byli tacy spokojni – wspomina. Nie zna arabskiego, więc rozmawiała z nimi głównie po kurdyjsku, a jej mąż po arabsku.

Abdu z kolei nie chce wdawać się w detale, bo wciąż nie jest mu łatwo o tym mówić.

Trudno było wrócić

Rihanna wraz z dziećmi zdecydowała się dołączyć do męża w Stambule, podobnie jak część jej rodziny. Także Abdu udał się do Turcji. – W Kobanê trudno było żyć. Jeśli zostałbym tutaj z rodziną, musielibyśmy głodować. Dlatego wyjechaliśmy – mówi.

W Stambule Abdullah dużo pracował, ale pieniędzy ledwie wystarczało na przeżycie. Pieniądze wysyłała im jego siostra Tima Kurdi, która także była fryzjerką i od 1992 r. mieszka w Kanadzie.

Gdy w pierwszych dniach października 2014 r. dżihadyści wkroczyli do miasta, rodzina Şenu opuściła Kobanê. Państwo Islamskie wydawało się wówczas nie do powstrzymania, a naloty stopniowo równały miasto z ziemią. Na początku 2015 r., po bitwie, która dzięki wsparciu z powietrza cudem została rozstrzygnięta na korzyść kurdyjskich bojówek, Kobanê było usłane ruinami. Według szacunków ONZ walki zniszczyły lub uszkodziły 3200 budynków.

Fatima z częścią rodziny wróciła po tym, gdy Państwo Islamskie zostało odepchnięte niedaleko od miasta. Dom był zniszczony. Część rodziny mieszkała w uszkodzonym domu Abdullaha i Rihanny, a reszta w namiotach. Myśleli, że najgorsze mają już za sobą.

Mylili się jednak. Pod koniec czerwca bojownicy Państwa Islamskiego wtargnęli do miasta podstępem. Przebrali się w mundury arabskich bojówek sprzymierzonych z Kurdami i przejechali przez posterunki. Zabili wówczas ponad dwustu cywilów. Kurdowie do dziś określają to wydarzenie mianem „masakry w Kobanê".

W rezultacie wydarzeń z lat 2014-15, a przede wszystkim masakry, zginęło dwunastu członków rodziny Şenu. Tylko trzech z nich należało do kurdyjskich bojówek, pozostali to cywile. ↦

Abdu co kilka miesięcy przyjeżdżał ze Stambułu do Kobanê. Tęsknił za domem. Jak mówi, dla niego to było niebo. Czekał na możliwość, kiedy będzie mógł wrócić.

Abdullah doszedł do przeciwnego wniosku: chciał ruszyć dalej, gdzie uda mu się zapewnić bezpieczną i stabilną przyszłość swojej rodzinie. Jego siostra Tima wraz z mężem starała się pomóc też reszcie rodziny. Nie udało jej się jednak zebrać niezbędnych dokumentów i zdobyć pieniędzy. Musieli szukać innego rozwiązania.

Proroczy sen

Tima wysyłała pieniądze Abdullahowi, który miał problemy z pracą. Dzięki nim mogli opłacić mieszkanie i kupić jedzenie. Abdullah coraz częściej myślał o tym, by udać się do Europy. – Którejś nocy poszedłem do jego domu, który był naprzeciwko mojego. Chciałem go przekonać, żeby został, ale on powiedział: „Nie, pojadę" – wspomina Abdu.

Przekonywali go, by został, bo mieli nadzieję, że sytuacja w Kobanê się poprawi, wrócą całą rodziną i będą żyli jak dawniej.

Był to czas, gdy Syryjczycy masowo przeprawiali się z Turcji do Grecji i podążali do innych państw europejskich, przede wszystkim Niemiec. Także znajomi rodziny Kurdi wyjeżdżali. Starszy brat Abdullaha przepłynął na grecką wyspę Kos. Wybierał się do Niemiec. Według danych Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji w 2015 r. przez Morze Egejskie przepłynęło przynajmniej 816 tys. osób.

Tima wysłała im 5 tys. dolarów, by opłacić przemytników. Abdullah ciągle przekładał wyjazd. Alanowi płynięcie przez morze miało wydawać się wspaniałą przygodą. Rihanna bała się otwartej wody. Śnił się jej koszmar. Podzieliła się z nim przez telefon z matką. – Mówiła, że śni się jej, jak tonie, woda wlewa się jej do płuc. Powiedziałam, by się nie bała. Potem utonęła tak jak we śnie – wspomina Fatma.

We wrześniu nadszedł dzień, w którym mieli przeprawić się przez morze. Za pierwszym razem złapała ich straż graniczna. Spróbowali ponownie. W nocy wsiedli do przepełnionego pontonu. Morze wydawało się spokojne, ale im dalej od brzegu, tym fale były większe. Ponton się przewrócił.

Abdullahowi nie udało się pomóc rodzinie. Przeżył tylko on.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

ABDU ŞENU:

W Kobanê trudno było żyć. Jeśli zostałbym tu z rodziną, musielibyśmy głodować. Dlatego wyjechaliśmy do Stambułu.

Śmierć w oku kamery

Do Abdu zadzwonił mężczyzna, którego nie znał. – Powiedział, że ma złą nowinę: moja siostra i jej dzieci utonęły w morzu – mówi Abdu.

Mężczyznę o wykonanie telefonu poprosił Abdullah, bo sam był w złym stanie. Abdu od razu wsiadł w autobus i ruszył ze Stambułu do Bodrumu w południowo-zachodniej Turcji. To tam znajdował się Abdullah i ciała członków rodziny. Abdu zobaczył ich wszystkich. Towarzyszył im w podróży do Kobanê, gdzie pochowano matkę i dwóch synów. Na jednym ze zdjęć z ceremonii widać, jak Fatma obejmuje Abdullaha. Oboje płaczą.

Odkąd zdjęcia obiegły świat, dziennikarze robili wszystko, by do nich dotrzeć. W jednym z hoteli tureckie władze zapewniły im ochronę, by mogli odetchnąć w tym trudnym momencie. Byli na skraju wytrzymałości. Abdu nie chciał wywiadów, ale dziennikarze nalegali. Pamięta, że ciągle chcieli rozmawiać z Abdullahem, a rodzina ich powstrzymywała. Chcieli, by zdruzgotany ojciec mógł spędzić ostatnie chwile ze swoją rodziną, która zaraz miała zostać pochowana. Do tego panował straszny skwar. Abdu wspomina z żalem, jak wycieńczony uderzył w twarz dziennikarza, który podszedł i zaczął zadawać mu pytania. – Nie wiedziałem, co się dzieje. Potem go przeprosiłem – mówi.

Przez pierwsze kilka dni po tragedii Abdu nie oglądał telewizji. Przyjaciele opowiadali mu, że ciągle mówią o jego rodzinie w mediach. Co więcej, pojawiło się mnóstwo spekulacji. Podnosiły się głosy krytyki o to, dlaczego wybrali się w tak niebezpieczną przeprawę; oskarżano Abdullaha, że był przemytnikiem (turecki sąd skazał z powodu śmierci pięciu osób, w tym Alana, dwóch Syryjczyków) i nie miał czystych intencji. Abdu nie chciał na to patrzeć. – Moje serce nie może wytrzymać takich rzeczy – mówi.

Trudna pamięć

Abdullah osiedlił się w irackim Kurdystanie i ponownie się ożenił. Abdu zamieszkał na stałe w Kobanê. Nie chce go już nigdy opuszczać. Rodzina Şenu układa życie na nowo. Fatma twierdzi, że ta tragedia zniszczyła ich życie. – Ciągle o nich myślimy – mówi. – Wciąż sięgamy po ich ubrania. Wąchamy je. Oni są w naszych głowach.

Alan, Galib i Rihanna zostali pochowani na cmentarzu na obrzeżach Kobanê. Trzy groby są otoczone ogrodzeniem. Na jednym z nich wyrosła już trawa. Nie zajęła się od ognia, który przeszedł przez ten teren i zostawił wypaloną ziemię. Abdu przyznaje, że nie odwiedzali grobów od roku, bo każda wizyta sprawia im ogromny ból. Podobnie jak patrzenie na ich zdjęcie, którego nie mają wystawionego na widok publiczny. Na oprawionym w ramkę kolażu są we trójkę – Rihanna i Galib, który trzyma Alana. Żadne z nich się nie uśmiecha.

Któregoś razu Rihanna dzwoniła do Fatmy z Turcji. Powiedziała: „Mamo, módl się za mnie i moje dzieci. Jeśli dotrzemy do Europy, wybuduję wam dom w Kobanê". Musieli jednak poradzić sobie bez jej pomocy.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Korzystałem z książki Timy Kurdi „The Boy on the Beach: My Family's Escape from Syria and Our Hope for a New Home" (Simon & Schuster 2018).

WOJCIECH

Bonowicz:
Dwie otwarte dusze

Wydawanie cudzych listów nie zawsze jest przedsięwzięciem szlachetnym – ale w tym przypadku bez wątpienia jest. Trzeba publikować książki, które są świadectwem przyjaźni, zwłaszcza tak pięknej, tak głębokiej i wszechstronnej. Zapisana została w listach, bo ci, którzy byli zaprzyjaźnieni, widywać mogli się rzadko, po pokonaniu olbrzymich przeszkód, głównie zewnętrznych.

Irena Krońska w 1968 r. zostaje zwolniona z funkcji redaktor naczelnej prestiżowej serii PWN-u – „Biblioteka Klasyków Filozofii". Jan Patočka, znany czeski filozof, ma coraz większe problemy z publikacją swoich artykułów, a w końcu zostaje zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę. Oboje czują, że wokół robi się coraz duszniej, ciaśniej, zdają też sobie sprawę, że ich listy zawsze czyta ktoś trzeci. „W aktualnych okolicznościach nie jest możliwe korespondencyjne prowadzenie dialogu, a jest jeszcze trudniejsze spotkanie się dla dialogu w etymologicznym sensie tego słowa", pisze w pewnym momencie Krońska i prosi przyjaciela, żeby przynajmniej przysyłał jej swoje prace. „Miejmy nadzieję – odpowiada Patočka – że przeżyjemy wszyscy – gdyż zostaliśmy wtłoczeni do tej samej budowli – tę epokę schyłkową i że zaświeci jeszcze słońce i to za naszego życia".

Jedynym słońcem, które świeci w tej korespondencji (tom opublikowano w serii „Archiwum Warszawskiej Szkoły Historyków Idei"; są w nim też listy Krzysztofa Michalskiego, któremu Krońska poleciła Patočkę jako recenzenta pracy o Heideggerze), jest słońce przyjaźni właśnie. Krońska znajduje w tekstach Patočki intuicje, których sama – jak twierdzi, bo listy są dowodem, że to nieprawda – nie potrafi wysłowić. „Prawdziwy dialog – pisze – jest możliwy tylko tam, gdzie jest spotkanie, tam, gdzie czuje się tę samą ranę i tę samą szablę [to aluzja do jednego z wierszy Baudelaire'a – WB], i rozważa się ocalenie w kierunku, który istotnie jest zbieżny". Jednak od wymiany idei, pomysłów i spostrzeżeń, której poświęca się tu wiele stron, ważniejsze jest samo odnalezienie się, tak potrzebna obu, choć oddalona, bliskość. Kiedy Krońskiej udaje się w końcu pojechać do Pragi i pojawia się nadzieja kolejnego spotkania w Warszawie, pisze: „To coś znacznie więcej niż pocieszenie, to autonomiczna radość, dobro samo w sobie, że się znamy, wspieramy i mamy dostęp do prawdziwej komunikacji, która nie została ustanowiona, ale przeżyta".

Nad tym ostatnim zdaniem zatrzymuję się dłużej niż nad innymi, żeby przyjrzeć się uważniej, jak jest wykrojone, z czego zrobione. Zbiegają się w nim dwa dążenia: z jednej strony wysiłek kogoś, kto zajmuje się filozofią profesjonalnie, żeby dane zjawisko ująć i wysłowić jak najprecyzyjniej. Z drugiej – nie chodzi przecież o żadne zjawisko ogólne, ale o coś bardzo osobistego, intymnego. I ta intymność – czułość po prostu – szuka tu sobie miejsca. Krońska nie zostawia go wiele, chce najbardziej, jak to możliwe, zobiektywizować to, co przeżywa. Ale ostatecznie mamy jednak do czynienia z wyznaniem. Zdanie wcześniej padają słowa: „Mimo wielkiego smutku (...), byłam szczęśliwa, mogąc Pana spotkać i z Panem rozmawiać...".

W refleksji Patočki nad światem współczesnym ważne miejsce zajmuje pojęcie „otwartej duszy", zaczerpnięte zresztą od Komenskiego. Duszy, która szuka wzajemności, nie oczekując niczego dla siebie samej, lecz będąc gotową – jak pisze filozof – do tego, by ją użyć. Patočka wierzył, że takie dusze zaludnią kiedyś Europę, w odróżnieniu od dusz zamkniętych, skupionych na sobie, wszystko zagarniających i pochłaniających. Czytam tę przejmującą korespondencję dwóch otwartych dusz i myślę o tym, że jedynym ratunkiem w czasach „wielkiego smutku" było pielęgnowanie podobnych przyjaźni. Przyjaźni, które we wzajemnym obdarowywaniu się znajdowały życiodajną, bo autonomiczną – czyli od nikogo nie zawisłą i na nic się nie oglądającą – radość. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym, w sprawie sygn. akt I Ns 122/19, z wniosku Józefa Sitarza, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Teresie Sitarz, c. Zbigniewa i Genowefy z domu Kotarska, zm. 14 lutego 2005 r. w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałej w Chełmie, woj. lubelskie; w skład spadku po której wchodzi udział w gospodarstwie rolnym o pow. 5,26 ha, położonego w miejscowości Gotówka, gm. Ruda Huta.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym dla Krakowa-Krowodrzy w Krakowie, Wydziałem I Cywilnym, do sygn. akt I Ns 40/18/K, na wniosek Ireneusza Sierza, przy udziale Leszka Stańka i innych toczy się postępowanie dotyczące stwierdzenia nabycia spadku po Wojciechu Józefie Sierzu oraz Marii Annie Walas-Mikołajczyk, c. Wojciecha i Zofii, ostatnio zamieszkałej w Krakowie, zmarłej w Krakowie 30 listopada 2016 r.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w ciągu 6 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

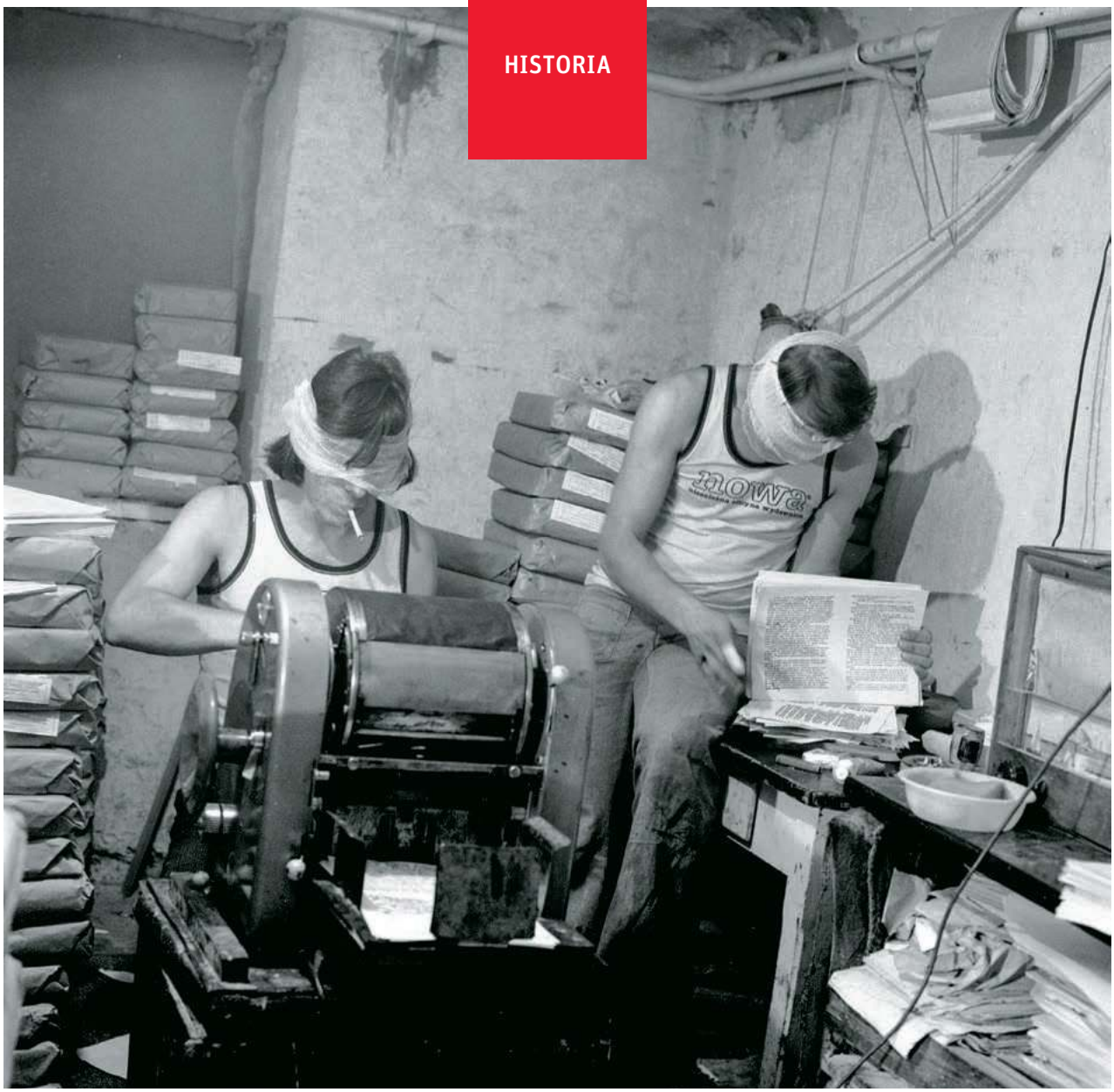

TOMASZ MICHALAK / FOTONOVA

Konrad Bieliński (po lewej) i Mirosław Chojecki – ówczesny szef Niezależnej Oficyny Wydawniczej – w podziemnej drukarni. Konstancin, lipiec 1980 r.

MIŁOSZ POZA CENZURĄ

Gdy Czesław Miłosz otrzymał Literacką Nagrodę Nobla, w komunistycznej Polsce jego utwory wydawano tylko w podziemiu. Choć początkowo i to nie było oczywiste – drukarze nie chcieli narażać się dla poezji.

JAN OLASZEK

Autor „Zniewolonego umysłu” przez długie lata pozostawał w PRL-u poetą pomijanym w oficjalnym obiegu kultury. Był obecny jedynie w świadomości wąskiej elity intelektualnej – głównie dzięki docierającym nielegalnie do kraju publikacjom paryskiego Instytutu Literackiego, kierowanego przez Jerzego Giedroycia.

Decydując się na wydawanie Miłosza jeszcze w latach 50. XX w., Giedroyc postąpił wbrew znacznej części polskiej emigracji. Przez kilka powojennych lat poeta pracował bowiem w komunistycznej dyplomacji, jako *attaché* kulturalny w USA i Francji. W 1951 r. wystąpił w Paryżu o azyl polityczny, wcześniej nawiązawszy kontakt z Giedroyciem, co rozpoczęło ich wieloletnią współpracę. Jej efektem była publikacja w 1953 r. „Zniewolonego umysłu”, w którym Miłosz szukał odpowiedzi na pytanie, z jakich powodów wielu polskich intelektualistów poparło komunizm.

Decyzja Giedroycia o podjęciu współpracy z Miłoszem nie spodobała się wielu polskim emigrantom. Wielu działaczy emigracji niepodległościowej nie akceptowało Miłosza – niedawnego urzędnika komunistycznego reżimu. Niechętne wobec niego pozostawało najważniejsze pismo emigracji londyńskiej, czyli „Wiadomości” kierowane przez Mieczysława Grydzewskiego.

Wiersze, czyli kontrabanda

Giedroyc jednak, choć w ocenach bywał pryncypialny, przede wszystkim kierował się oceną wartości literackiej dzieł i realizmem politycznym – i w efekcie współpracował z tymi ludźmi, którzy mieli podobną ocenę sytuacji w kraju. Z czasem Miłosz stał się jednym z ważniejszych współpracowników paryskiej „Kultury”. Pozostawał nim po przeprowadzce do USA, gdzie wykładał na uniwersytecie w Berkeley.

Przez ćwierć wieku książki Miłosza, wydawane na Zachodzie, mogły więc trafiać do PRL jedynie jako przemyt – siłą rzeczy w niewielkiej liczbie. W drugiej połowie lat 70., kiedy powstała opozycja demokratyczna, jej działacze starali się propagować postać i twórczość emigracyjnego poety. Jego wiersze odczytywano lub omawiano na organizowanych najczęściej w prywatnych mieszkaniach nieoficjalnych wieczorach literackich, seminariach i wykładach.

Swoje interpretacje przedstawiali m.in. związani ze środowiskiem Komitetu Obrony Robotników aktorzy – Halina Mikołajska i Maciej Rayzacher, oraz poeta Nowej Fali Ryszard Krynicki. Postać Miłosza pojawiła się już w pierwszym numerze niezależnego literackiego pisma „Zapis”. Sekretarz redakcji pisma Barbara Toruńczyk w eseju „Poezja i wojna” zaliczyła go, obok Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Borowskiego, do „indywidualistów”, którzy stanowili w jej ocenie pozytywny punkt odniesienia (w przeciwieństwie do krytykowanej przez nią grupy Sztuki i Narodu, której to twórcy mieli endeckie sympatie).

Michnik kontra Chojecki

Do drukowania w podziemiu wierszy Miłosza nie wszystkich było łatwo przekonać. Wokół tej kwestii wybuchł spór między członkami kierownictwa Niezależnej Oficyny Wydawniczej (NOWA), największego wydawnictwa podziemnego. Większość relacji wskazuje na tych samych oponentów: Adama Michnika jako pomysłodawcę i głównego zwolennika drukowania dorobku Miłosza, oraz zaprzyjaźnionego z nim Mirosława Chojeckiego, jednego z głównych animatorów niezależnego ruchu wydawniczego w Polsce – jako reprezentanta osób sceptycznych wobec tego pomysłu.

Ich brak entuzjazmu wynikał z kalkulacji ryzyka. „Początkowo wśród ludzi NOW-ej panowało przekonanie, że nie warto ryzykować więzieniem dla wierszy; dla książki o Katyniu albo o innych białych plamach w historii – owszem” – wspominała współtworząca wydawnictwo Ewa Milewicz. Innym razem precyzowała: „Dzięki Adamowi Michnikowi Miłosz wszedł pod strzechy. Był spór, jeszcze przed Noblem, Adam uważał, że to jest wielki poeta i spierał się np. z Mirkiem, a Mirek miał za sobą drukarzy, którzy nie chcieli ryzykować odsiadki dla jakichś tam wierszyków”. Podobnie po latach widzieli to Seweryn Blumsztajn, który wspominał, że część kierownictwa chciała drukować antykomunistyczną literaturę i przedrukowywać numery paryskiej „Kultury”, oraz Konrad Bieliński podsumowujący po latach: „Miłosz – to całkowicie zasługa Adama”.

Chojecki początkowo wolał wydawać np. książki historyczne. Ostatecznie udało się go przekonać, żeby wydrukować któreś z dzieł Miłosza, jednak do decyzji o powieleniu w podziemiu całego jego dorobku było daleko. Również wchodzący w skład kierownictwa NOW-ej Grzegorz Boguta opowiadał po latach: „Mirek przyszedł kiedyś z jego [Miłosza – JO] wielką amerykańską antologią, w której zaznaczył z kimś wiersze, żeby zrobić antologię z antologii. A Adam wówczas w dość ostry sposób zaprotestował: my musimy Miłosza polskiemu czytelnikowi pokazać, nie możemy sobie pozwolić Miłosza odfajkować jedną antologią”.

Jako pierwsze jesienią 1978 r. ukazały się w jednym woluminie dwa znane utwory Miłosza: „Traktat poetycki” i „Traktat moralny”. W kolejnym roku ukazały się tomiki „Miasto bez imienia” i „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada”.

Również w kolejnych latach nie wszyscy byli entuzjastami tej polityki wydawniczej NOW-ej. Zajmujący się głównie aktywizacją środowisk robotniczych Henryk Wujec wspominał: „Adam Michnik naciskał, żeby było dużo Miłosza. My mu czasem mówiliśmy: »Przestań Adam, same wiersze nam dajesz, tego już nikt nie chce czytać«. Ale racji nie mieliśmy”. Zdanie w tej sprawie zmienił również Piotr Szwajcer, czyli główny organizator kolportażu NOW-ej: „Byłem jednym z tych, którzy tłumaczyli Michnikowi, że nie trzeba wydawać 50. tomiku wierszy Miłosza, a później musieli to odszczekiwać i mówić, że było warto”.

Mniejsze wątpliwości podziemnych wydawców budził chyba „Zniewolony umysł” – jedna z ważniejszych analiz relacji uwikłania jednostki w totalitaryzm. Z anegdotycznego wspomnienia Michnika wynika jednak, że również do tego dzieła Chojecki nie był początkowo przekonany: „Zawsze byłem psem na książki. Właściwie jednym z powodów, dla którego zaangażowałem się w podziemny ruch wydawniczy, było to, żeby mieć na półce to, czego inaczej bym nie miał. Ale miałem na przykład »Zniewolony umysł« [wydanie emigracyjne – JO]. Powiedziałem Mirkowi Chojeckiemu, żeby to wydał, ale on się opierał. Mówił, że to intelektualne bara-bara i że nikt tego nie przeczyta. Kiedyś przyszedł do mnie i wpadł w kocioł, bo akurat miałem rewizję. To były najstraszniejsze chwile w moim życiu, bo oni zabierali mi książki. Wyciągali z półek, a ja dostawałem żyły. Spod tapczana wyciągnęli mi »Zniewolony umysł«. Prawie się rozpłakałem. Chojecki widząc to powiedział ↦

↦ potem: trudno, niech ci będzie, wydam ten »Zniewolony umysł«. Tak więc Miłosz został wydany w podziemiu z litości Mirka".

Czy rzeczywiście tak było, po latach trudno stwierdzić, ale wątpliwości chyba nie mogły być duże, bo wydanie „Zniewolonego umysłu" poza cenzurą pojawiło już w 1978 r., a rok później doczekało się pierwszego wznowienia.

Zamiast etykietek

Wydawanie poza cenzurą wiązało się wtedy w Polsce z ryzykiem oraz ciężką, monotonną pracą. „To było trudne fizycznie, ale dawało satysfakcję, że robisz rzeczy niezwykłe. Największym przeżyciem dla mnie było drukowanie »Zniewolonego umysłu« Miłosza. Znałem tę książkę, doceniałem jej wagę i miałem świadomość, że ja ją drukuję po raz pierwszy w Polsce" – wspominał Seweryn Blumsztajn.

Z kolei Tomasz Jastrun wspominał po latach obawy Jerzego Wociala, u którego w domu składano właśnie „Zniewolony umysł" – a który wkrótce miał wziąć ślub i obawiał się, że w razie zatrzymania uroczystość się nie odbędzie: „Któregoś dnia budzę się ze snu i widzę na krześle obok ogromnie strapionego Wociala. Powierzył mi swój dramat: miał przeczucie, że go namierzyli, więc zaraz wpadnie i ślub się nie odbędzie, trzeba więc natychmiast ewakuować ten »Zniewolony umysł«, a ja mam samochód i jestem jego przyjacielem (...) W środku nocy wywoziliśmy to gdzieś z Cezarym Wodzińskim na dwa samochody, potwornie wyrzekając na Jurka i na nasz los. Kupa roboty, i to dosyć ryzykownej, lepiej było to zostawić, ale Jurek wpadł w paranoję (...) Potem opowiadałem Miłoszowi, ile się przez ten »Zniewolony umysł« nacierpiałem".

> Miłosz wspominał, że tomiki jego wierszy publikowane przez niezależne oficyny **są najcenniejszymi pozycjami na półkach jego biblioteki.**

Żeby zrozumieć tego rodzaju opowieści, trzeba mieć świadomość, że na jakąkolwiek formę współpracy z opozycją gotowych wówczas było niewielu i tego rodzaju zachowania, po latach składające się w zabawne anegdoty, były naturalne.

W wydawaniu dzieł zakazanego poety uczestniczyli również pracownicy państwowych drukarni. Niektóre książki drukowano bowiem na „dojściach", czyli poprzez przekupienie zawodowych poligrafów, którzy na profesjonalnych maszynach po godzinach pracy zamiast np. spożywczych etykietek, powielali zakazaną literaturę. Jeden z czołowych drukarzy NOW-ej Adam Grzesiak opowiadał o kulisach wydania tomiku Miłosza „Światło dzienne", który wydrukowano wiosną 1980 r. Wówczas Mirosław Chojecki oraz Bogdan Grzesiak (brat Adama, również drukarz) byli w areszcie. „Dostałem w tym czasie od Konrada Bielińskiego do zrobienia tomik poezji Miłosza »Światło dzienne«. Zaczęło się od tego, że Konrad przyszedł i mówi: »Jest tutaj taka rzecz, nie mam tego jak zrobić, a trzeba zrobić natychmiast, kasa jest, to sprawa prestiżowa«. Chodziło też o to, żeby odciążyć Bogdana [Grzesiaka] i Mirka, którzy siedzą. Pokazać, że NOWA działa, istnieje, to nie jest tylko dwóch ludzi; że nie da się tego zatrzymać ani zamknąć w więzieniu".

Druk na „dojściach" był wygodniejszy, bo całą akcję można było zrobić od razu, bez straty czasu na organizowanie miejsca, sprzętu i materiałów. „Przyjechałem wtedy do Genia Rosińskiego, poligrafa z państwowej drukarni na Waryńskiego, który od początku z nami współpracował. Mówiliśmy na niego: tajny agent opozycji. Nikt nie wiedział o jego istnieniu, a myśmy właśnie przez niego załatwiali najtrudniejsze sprawy (...) Człowiek prosty, robotnik, fachowiec od przygotowalni (...) Nawet Mirek, nawet Konrad o nim nie wiedzieli. Tylko ja i Bogdan (...). Genio robił za pieniądze, ale z pełnym zaangażowaniem; te pieniądze były mu potrzebne nie po to, żeby sobie kupić mercedesa, tylko by opłacić ludzi w komunistycznej drukarni. Te lewusy z państwowej drukarni na Waryńskiego nawet nie wiedziały, co drukują (...) Tylko Genio wiedział, kto to Miłosz" – puentował po latach Adam Grzesiak.

Noblista dziękuje drukarzom

Kilka tygodni po podpisaniu porozumień sierpniowych do Polaków dotarła kolejna dobra wiadomość. 9 października 1980 r. Miłosz dostał Literacką Nagrodę Nobla. Adam Grzesiak wraz z Sewerynem Blumsztajnem powielał wtedy tomik poezji „Gucio zaczarowany". O północy pojawili się tam związany z opozycją znawca literatury rosyjskiej i tłumacz

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim, I Wydziale Cywilnym, toczy się pod sygn. I Ns 82/19 postępowanie z wniosku Jolanty Barbary Grzywacz, o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości – zabudowanej działki gruntu nr 607, położonej w Bratianie przy ul. Kościelnej 8, gm. Nowe Miasto Lubawskie, dla której to nieruchomości aktualnie nie jest prowadzona księga wieczysta.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim i wykazali prawo do przedmiotowej nieruchomości pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

W Sądzie Rejonowym w Międzyrzeczu pod sygn. akt I Ns 210/18 zostało wszczęte postępowanie z wniosku Gminy Przytoczna, z udziałem Marka Antoniego Koprasa, Witolda Kozłowskiego, Marii Izabeli Godlewskiej, Heleny Kozłowskiej i Marii Biń, o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłej 17 października 1994 r. w Skwierzynie Janinie Marii Kozłowskiej z domu Kozłowskiej, c. Jakuba Kozłowskiego i Antoniny. W skład spadku nie wchodzi nieruchomość, dla której prowadzona jest księga wieczysta o nr. GW1M/00031047/7.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i udowodniły nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TOMASZ MICHALAK / FOTONOVA

Spotkanie Czesława Miłosza z pracownikami i sympatykami Niezależnej Oficyny Wydawniczej, salon literacki u Elżbiety i Pawła Bąkowskich, Warszawa, czerwiec 1981 r.

Andrzej Drawicz oraz Wojciech Topiński. „Łysy, co ty mi tu pier...?" – tak z niedowierzaniem miał zareagować na informację o sukcesie Miłosza Grzesiak. Przekonało go dopiero podanie tej wiadomości przez Radio Wolna Europa.

Następnego dnia drukarze mieli jeszcze bardziej niespodziewanych gości – Mirosława Chojeckiego, Ewę Milewicz oraz dziennikarzy szwedzkiej telewizji. „Zrobili na nas chyba największy w życiu interes, bo potem ten materiał z naszej drukarni obiegł świat; szedł trzy dni w serwisach światowych, zrobił furorę (...). Miłosz, Nobel, a tu paru umorusańców potajemnie drukuje noblistę w jakiejś szopce, na powielaczu z drugiej wojny światowej" – wspominał Grzesiak.

Miłosz stawał się coraz bardziej znany na świecie, Polacy mogli czytać jego dzieła w dużej mierze dzięki „umorusańcom". Chojecki i Boguta dostali zaproszenie na ceremonię wręczenia Nagrody. SB zastanawiała się nad zakazaniem im wyjazdu, ostatecznie jednak zdecydowano się na wyrażenie zgody. Dwaj członkowie kierownictwa NOW-ej pojawili się we frakach. W przemówieniu na bankiecie po uroczystości przyznania Nagrody Nobla Miłosz podkreślał, że tomiki jego wierszy publikowane przez niezależne oficyny są najcenniejszymi pozycjami na półkach jego biblioteki.

Po Noblu nikt już nie miał wątpliwości, czy drukować w podziemiu Miłosza. Zapotrzebowanie na jego utwory gwałtownie wzrosło. Przed Sierpniem '80 tomiki poezji cieszyły się mniejszym zainteresowaniem niż choćby publikacje historyczne. Emil Broniarek wspominał, że szczególnie trudno było rozpowszechniać „Światło dzienne". „Nikt nie chciał ode mnie tego kupować. Wiersze? Gdzie tam!" .

Po Noblu wiele się zmieniło. Popularność Miłosza ujawniła się w czasie dwutygodniowej wizyty w Polsce w 1981 r. Był to jego pierwszy pobyt w kraju po 30 latach emigracji. Wielu czytelników witało go już na lotnisku. W czasie wizyty Miłosz, chociaż tego nie lubił, chętnie podpisywał książki podsuwane mu przez czytelników. Wśród wielu spotkań wyjątkowy charakter miało to, do którego doszło w mieszkaniu Pawła Bąkowskiego – noblista spotkał się ze wspomnianymi „umorusańcami", czyli drukarzami i innymi pracownikami NOW-ej. Chojecki po kolei przedstawiał słynnemu poecie całą ekipę z imienia i nazwiska. „Chyba trudniej moje książki wydawać, niż je napisać" – miał powiedzieć Miłosz. Jeden z drukarzy ponoć się z tym nie zgodził – żartował, że wraz kolegami próbował pisać podobne wiersze, ale się to nie udało.

Nobel sprawił, że wiersze Miłosza pojawiły się również w oficjalnym obiegu; pierwszą jego książkę, zgodnie z wolą autora, wydał Znak. Najbardziej polityczna część jego dorobku nie miała nadal szans na legalny druk. Śladem NOW-ej szły inne nielegalne wydawnictwa. Sam „Zniewolony umysł" wznawiany był ponad 20 razy. W sumie noblista stał się najczęściej wydawanym autorem w podziemiu; ukazało się ponad 130 wydań jego dzieł; znajdujących się na kolejnych miejscach autorów wyprzedzał niemal dwukrotnie. © JAN OLASZEK

Cytaty m.in. z książek: „Obieg NOW-ej", wybór i oprac. Łukasz Bertram; „N jak Nowa: od wolnego słowa do wolności 1977-1989", red. Wojciech Borowik i Tomasz Kuczborski; Andrzej Franaszek „Miłosz. Biografia".

JAN OLASZEK *jest pracownikiem Instytutu Studiów Politycznych PAN oraz Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie; autor książek z dziejów PRL.*

Biochemia wampira

MARIUSZ GOGÓL

Korzenie mitu o potworach grasujących w nocy i żywiących się ludzką krwią mogą sięgać chorób, które dzisiaj świetnie rozumiemy.

Opowieści o demonach powracających z zaświatów lub żywiących się ciałami ludzi pojawiały się już w rozmaitych kulturach antycznych: od Grecji i Rzymu, przez Egipt, Bliski Wschód, aż po Indie. Niektórzy badacze uważają, że w bardziej współczesnej postaci, tak dobrze znanej z popkultury, mity te wyrosły ze starych legend ludów słowiańskich i rozpowszechniły się w Europie w czasach nowożytnych.

Jednym z prekursorów nowożytnych wampirów mogły być słowiańskie strzygi i strzygonie. Te nieprzychylne człowiekowi istoty rodziły się z dwiema duszami i dwoma sercami. Nieszczęśnika, u którego rozpoznano taką przypadłość, wypędzano lub zabijano. W chwili śmierci umierała jego pierwsza dusza. Druga żyła i zmuszała go do polowania na ludzi, by pomścić wyrządzone mu krzywdy.

Tajemnicza przemiana

Wampirem można było zostać na różne sposoby. Na terenach nowożytnej Rzeczypospolitej najważniejsze przyczyny przemiany można zapisać w trzech punktach. Po pierwsze, wampirami stawali się czarownicy i czarownice. Osoby parające się czarną magią z góry stały na straconej pozycji – praktykując to, co zakazane, nie można było dostąpić chwały nieba. Następni w kolejce byli wszyscy ci, którzy zmarli śmiercią nagłą. Dotyczyło to zarówno zamordowanych, jak i samobójców. Trzecią grupę stanowiły osoby o cechach „demonicznych". Za takie uważano posiadaczy monobrwi, garba lub podwójnego rzędu zębów. Pod obserwacją byli także sędziwi starcy. Jeśli taki rozmawiał sam ze sobą, mogło to oznaczać, że mamy do czynienia ze strzygoniem, którego dwie dusze – dobra i zła – toczyły rozmowy.

Rozmaite lokalne wierzenia bywały jeszcze barwniejsze. Niektóre wiązały się z tradycjami pochówku zmarłych z różnymi przedmiotami – np. z butami na nogach. W zachodniej i centralnej Rzeczypospolitej zmarły musiał je mieć. Miały się mu przydać w ostatniej podróży, u kresu której musi wspiąć się na stromą górę, ewentualnie do przejścia przez most na podziemnej rzece.

Na kresach nastawienie było inne. Buty przestawały być nieboszczykom konieczne, a nawet mogły im szkodzić. Gdzieniegdzie wierzono, że osoby, które grzebane są w obuwiu, zachęcane są do chodzenia po śmierci. Wtedy muszą spacerować po świecie, dopóki nie zedrą swoich butów. Dlatego na tamtych terenach zmarłych układano w trumnie tylko w płóciennych skarpetach lub na bosaka.

Zbuntowane enzymy

Pierwsze domysły na temat biologicznych przyczyn wykształcenia się mitu o wampirach sformułowane zostały kilkadziesiąt lat temu. Być może wiązały się z obserwacją osób chorych na pewną odmianę porfirii – metabolicznego schorzenia powodującego u pacjentów charakterystyczne objawy zmieniające wygląd ciała, które mogły rozbudzać fantazje naszych przodków. Podejście takie spopularyzował w 1985 r. biochemik David Dolphin, w głośnym wystąpieniu na dorocznej konferencji elitarnego American Association for the Advancement of Science, w obecności nie tylko wielu naukowców, ale również dziennikarzy.

W swoim wywodzie Dolphin połączył postać wampira z chorymi na porfirię erytropoetyczną wrodzoną. Problem w tym, że ta przypadłość występuje rzadko – zaledwie u jednej na dwa–trzy miliony osób. Między innymi z tego powodu koncepcja Dolphina spotkała się z ostrą krytyką części środowiska naukowego. Możliwe jednak, że budowa mitu wampira opierała się zarówno na obserwacji tej odmiany choroby, jak i na kilku innych filarach. To oczywiście spekulacje, ale oparte na naukowych poszlakach.

Porfirie są chorobami metabolicznymi wynikającymi z braku bądź osłabionego działania enzymów, które uczestniczą w szlaku produkcji hemu – cząsteczki bardzo ważnej dla naszego organizmu. Jej rolą jest m.in. wiązanie tlenu w hemoglobinie – białku, które znajduje się w czerwonych krwinkach. Hem stanowi także nieodłączną część enzymów takich jak cytochromy, które uczestniczą w procesach przemiany energii w organizmie.

Szlak produkcji hemu składa się z siedmiu enzymów ułożonych w szereg. Pro-

dukty powstające w wyniku działania jednego z nich stają się substratami dla kolejnego. Tak przekształcana cząsteczka w końcu staje się hemem. W rozmaitych porfiriach poszczególne enzymy albo nie działają, albo pracują gorzej. Dzieje się to na skutek mutacji w DNA, która wpływa na budowę tych biologicznych katalizatorów. Ponieważ nie są one w stanie przekształcać przypisanej im molekuły, dochodzi do jej nagromadzenia, co pociąga za sobą negatywne skutki. Pojawiają się wówczas takie objawy jak zmieniony kolor moczu czy nadwrażliwość na światło. Przerwanie szlaku enzymatycznego oczywiście skutkuje także obniżeniem poziomu hemu.

GERALT / PIXABAY

Światłowstręt

Jeśli zaś przyjrzymy się opisom wampira, to wśród informacji o jego wyglądzie możemy znaleźć wzmiankę o twarzy lekko opuchniętej i czerwonej od krwi ofiar. Wiemy, że pacjenci cierpiący na porfirię erytropoetyczną wrodzoną mają zaawansowane problemy skórne w postaci rumieni i obrzęków, które mogą zmieniać wygląd cery. Natomiast w odmianie zwanej porfirią skórną późną pojawiają się bąble, które pękają i pozostawiają blizny, obecne są też prosaki (drobne grudki na skórze).

Oba rodzaje problemów wynikają z wystawienia pacjenta na działanie promieni słonecznych. Nagromadzone cząsteczki, które nie mogły zostać przekształcone w hem, pochłaniają energię słoneczną. Następnie – nie mając co z nią zrobić – przekazują ją cząsteczkom tlenu obecnym w tkankach. Te zaś stają się bardzo aktywne i reagują z innymi molekułami, które znajdują się w pobliżu. Powoduje to uszkodzenia komórek i opisane wyżej problemy. Dlatego też osoby chore na te porfirie, aby uniknąć niepotrzebnych problemów skórnych, zapewne stroniły od promieni słonecznych. Ten fakt mógł stać się podstawą do wierzeń, że wampiry wychodzą tylko po zmroku.

U osób cierpiących na porfirię erytropoetyczną wrodzoną pojawiają się również bolesne nadżerki (ubytki naskórka lub błony śluzowej) na ustach. Bardzo wrażliwa jest także błona śluzowa wewnątrz jamy ustnej. Często pod naciskiem uszkadza się, co powoduje ból i pozostawia broczące krwią rany. Ponieważ tkanka dziąsła w przebiegu choroby cofa się, odkrywając zębinę, uzębienie pacjentów wydaje się dłuższe. Do tego możemy dodać fakt, że śluzówka i zęby porfiryków gromadzą nieprzekształcone w hem cząsteczki, dające kolor purpurowy.

ASHLAND UNIVERSITY

Ręce chorego na porfirię skórną późną

Takie objawy w przeszłości mogły wywoływać niepokojące wrażenie, jakbyśmy mieli do czynienia z istotą, która przed chwilą raczyła się krwią.

Rozkopane groby

Oczywiście wszelkie zmiany skórne na skutek działania promieni słonecznych dotyczą także innych części ciała – również rąk. Jest to zbieżne z opisami, które pokazują upiory jako postacie o długich, zakrwawionych palcach. Sama skóra porfiryków także może przybierać kolor purpurowy. Ale stworzeniu mitu mogły sprzyjać również inne zdarzenia.

Wiadomo, że za czasów epidemii zdarzało się grzebać osoby półżywe. Kiedy nieszczęśnik był wystarczająco silny, udawało mu się wydostać z grobu przy pomocy własnych rąk. Później, snując się po wsi, mógł być widziany z broczącymi krwią palcami. Być może dlatego powstały relacje, wedle których upiory mogły powracać do domostw i wykonywać czynności dnia codziennego.

Niektóre legendy o wampirach mogły mieć źródło w ekshumacji ludzi, którzy pochowani zostali w letargu. W tym stanie wszystkie procesy życiowe są osłabione, oddech płytki, a temperatura ciała znacznie obniżona. Ludzie tacy mogą być bladzi i zimni, jakby faktycznie nie żyli. Pomyłkowo pochowani mogli się jednak budzić w trumnie. Po ocknięciu, w szale i panice, gryźli swoje ciało. To mogło przyczynić się do powstania poglądu, że człowiek przemieniający się w wampira w grobie bardzo pragnie ludzkiej krwi i ciała. Ten pociąg miał być tak mocny, że nieszczęśnik kąsał samego siebie i ssał własną krew.

Porfiria ostra przerywana to z kolei typ choroby trapiący głównie kobiety, który nie daje widocznych objawów na skórze czy błonach śluzowych. Jednak niektóre zjawiska pojawiające się w trakcie jej ataku mogą dawać do myślenia. Wyobraźmy sobie, że podróżująca kobieta zatrzymuje się w gospodzie. Śpi w niej i korzysta z oferty kuchni. Nagle zaczyna zachowywać się nieco dziwnie – ma atak porfirii. Może być spowodowany np. topieniem w alkoholu smutków, a nawet comiesięczną menstruacją (wysokie procenty i hormony mają duży wpływ na uaktywnienie choroby). Bohaterka zaczyna cierpieć na bezsenność, ma omamy słuchowe i wzrokowe na skutek gromadzenia nieprzetworzonych w hem cząsteczek. Z ich powodu pojawia się również charakterystyczna, czerwona barwa moczu, którego kolor zmienia się na słońcu na ciemniejszy po ok. 30 minutach. Zaobserwowanie mówiącej do siebie kobiety, która przechadza się nocami, a także pozostawiła czerwoną kałużę, również mogłoby dać impuls do fantazjowania o wampirach.

Prawda o czosnku

Wreszcie – co z czosnkiem? Okazuje się, że związki chemiczne obecne w tej szkodzącej wampirom roślinie mają zdolność do przyspieszania erytropoezy, czyli tworzenia czerwonych krwinek. Normalnie podczas tego procesu produkowany jest hem, który trafia do wspomnianych komórek. Ponieważ jego tworzenie u porfiryków jest problematyczne, może to powodować dodatkowe nagromadzenie toksycznych półproduktów, które będą spełniać negatywną funkcję w organizmie. Czosnek napędza również produkcję enzymu – oksygenazy hemowej. Rozkłada ona hem i dzięki temu, w normalnych warunkach, kontroluje jego ilość. W chorobie większa ilość oksygenazy może sprawić, że z trudem powstały hem zostanie szybciej pocięty. Z tych dwóch powodów jedzenie czosnku mogłoby zwiększyć objawy choroby.

Oczywiście nie mamy pewności, czy porfirie przyczyniły się do powstania mitów o wampirach, czy może ich inspiracje były inne. Nie brak publikacji naukowych, których autorzy nazywają takie wyjaśnienia nowym, zmedykalizowanym mitem o wampirach, który zdobył nieuzasadnioną popularność, ponieważ – podobnie jak same wampiry – rzadkie choroby także pobudzają wyobraźnię – naukowców, dziennikarzy i czytelników.

© MARIUSZ GOGÓL

ŻONA, GWIAZDKA, MĘCZENNICA

Popkultura nie zapomniała o 50. rocznicy zabójstwa Sharon Tate. Do kin wchodzi właśnie film Quentina Tarantino, a w książkach celebrujących śmierć aktorki można przebierać.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Jej historię zawsze opowiada się od końca. Od nocy sprzed równo półwiecza, kiedy do domu przy Cielo Drive 10050 w Beverly Hills wtargnęli członkowie Rodziny, sekty-komuny Charlesa Mansona, mówiącego o sobie Jezus Chrystus Bóg. 9 sierpnia ofiar było pięć (a właściwie sześć), lecz latem 1969 r. zginęło z rąk sekty kilkanaście osób. Tylko jedna stała się symbolem końca trwającego od 1967 r. Lata Miłości.

„Żegnaj, Sharon. Niech anioły zabiorą cię do raju. Niech przywitają cię tam męczennicy" – mówił ksiądz O'Reilly na pogrzebie 26-letniej aktorki.

Mit o pięknej i dobrej Sharon, która zrealizowałaby sen o sławie, gdyby nie spotkała na swojej drodze wcielonego zła, porusza, ale jej postać nie rozgościła się w zbiorowej wyobraźni tak dobrze jak Charles Manson i jego „aniołki". Może to się zmieni tego lata. Na ekrany wchodzi właśnie film Quentina Tarantino „Pewnego razu... w Hollywood", gdzie w rolę zmarłej wciela się Margot Robbie, przodująca dziś w rankingach wpływowych gwiazd, a mająca ledwie trzy lata więcej niż Tate w chwili śmierci.

Także polscy wydawcy zapisali sobie w kalendarzach okrągłą rocznicę kalifornijskiej tragedii. W lipcu i sierpniu ukazują się: reportaż śledczy Toma O'Neilla i Dana Piepenbringa „Manson. CIA, narkotyki, mroczne tajemnice Hollywood", wznowienie dokumentalnego „Helter Skelter", którego współautorem jest Vincent Bugliosi, prokurator w procesie zabójców z Cielo Drive, reportaż psychologiczny „Ludzkie potwory. Kobiety Mansona i banalność zła" Nikki Meredith oraz dwie biografie Sharon Tate, jedna autorstwa Eda Sandersa, artysty licznych profesji, oraz druga, napisana przez siostrzenicę aktorki, Brie Tate (właściwie Ford, ale nazwisko Tate wygląda lepiej na okładce), i reżyserkę Alisę Statman.

Książki te miały na celu odsłaniać prawdę o tym, co doprowadziło do zbrodni w sierpniową noc. Zamiast rozstrzygających odpowiedzi przynoszą coś innego, chyba niezamierzonego przez autorów. Kreślą krytyczną wizję dziewczyńskiego snu o sukcesie w Ameryce. Gdzie nie wystarczy być, mieć ani chcieć, tylko trzeba wciąż zadowalać innych. Tej historii nie powstydziłaby się Joyce Carol Oates – tylko dużo lepiej by ją opisała.

Pierwsza sława

„Sharon Tate. Historia morderstwa żony Romana Polańskiego" Statman i Brie Tate jest niemal wzorowo wykonanym zadaniem terapeutycznym. Przedstawia perspektywę zwyczajnej rodziny, która nie tylko straciła ubóstwianą córkę i siostrę, ale musiała mierzyć się z medialnymi oszczerstwami na jej temat i z kultem morderców.

Młodziutka Sharon jest opisywana jako nowa Galatea, posągowa piękność brutalnie wykuwana na gwiazdę przez swojego agenta Martina Ransohoffa, autorytarnie sterującego jej życiem. Z narracji rozpisanej na głosy nieżyjących już bliskich zmarłej wyłania się obraz nieśmiałej młodej kobiety, która chce być lubiana, a narzędziem do tego staje się kamera filmowa, uwielbiająca uśmiechnięte piękności. Pamięć jest jednak mieczem obosiecznym. Brie Tate nigdy nie poznała ciotki i fabularyzuje rozproszone zapiski krewnych, w tym swojej przedwcześnie zmarłej matki, Patti Tate. Nie wszystkim w jej rodzinie się to spodobało i książka wywołała konflikt z Debrą, drugą siostrą Sharon.

Z kolei w książce Sandersa widzimy dziewczynę, która była od dziecka popychana do sławy. Miała ledwie sześć miesięcy, kiedy zdobyła tytuł Miss Bobasów Dallas. Determinującą siłą miała być w życiu małej Sharon matka, żona oficera wywiadu wojskowego, drobiazgowo planująca karierę córki w show-biznesie. Ukierunkowana na sukces nastolatka została Miss Richland i Miss Autoramy, a matka już widziała ją walczącą o diadem Miss America. Te plany pokrzyżował awans ojca i przenosiny do bazy pod Weroną. Tam siedemnastoletnia Tate prawdopodobnie doświadczyła ↦

Sharon Tate na zdjęciu promocyjnym filmu „Dolina lalek", 1967 r.

BEW

↦ gwałtu na randce. Działo się to pół wieku przed akcją #MeToo – dziewczyna nikomu nic nie powiedziała, nie chcąc zaszkodzić ojcu.

Pobyt we Włoszech miał też jaśniejszą stronę. To właśnie tu Sharon Tate pierwszy raz wystąpiła jako statystka w produkcjach telewizyjnych. Kontrakt z agentem filmowym nie przyniósł jednak przełomu.

Zagrała epizody w popularnych serialach, m.in. w „Koniu, który mówi", ale przez kilka lat nie wychodziła z poczekalni. W 1964 r. koło nosa przeszła jej rola ukochanej Tarzana (co ciekawe, wcielenie się w Jane w „Tarzanie: legendzie" przypieczętowało karierę Margot Robbie). Na szczęście dla niej Kim Novak spadła z konia na planie „Oka diabła" J. Lee Thompsona i po pospiesznych przeróbkach scenariusza drugoplanowa rola Tate zyskała na znaczeniu. Okultystyczna baśń o arystokracie składającym siebie w ofierze, by rodzinna winnica obrodziła, wyznaczyła drogę, którą aktorka podążała do końca życia. Dla krytyków stała się etatowym jasnym punktem kiepskich filmów. Nawet „Nieustraszeni pogromcy wampirów" Polańskiego, u którego zagrała dwa lata później, są miłym dla oka, ale słabszym obrazem w jego dorobku.

Ambicje miała dużo większe. Jako swoje idolki wskazywała Faye Dunaway i Catherine Deneuve. Deneuve wystąpiła u Polańskiego we „Wstręcie", Dunaway kilka lat później zagrała w „Chinatown". Twierdzenie, że Tate dorównałaby ich osiągnięciom, gdyby nie Manson, to jednak zaklinanie rzeczywistości. Niewątpliwie miała talent komediowy i dystans do siebie, pozwalający przekonująco grać nawet w szmirach, ale jej najbardziej skomplikowana psychologiczne kreacja pochodzi z kiczowatej ekranizacji równie kiczowatej powieści Jacqueline Susann.

Choć rola w „Dolinie lalek" (1967) przyniosła Tate nominację do Złotego Globu dla najbardziej obiecującej aktorki, wyróżnienie ostatecznie otrzymała Katharine Ross za „Absolwenta". Nie pomogły rozbierane sesje dla „Playboya" i „Esquire" ani małżeństwo z Polańskim, zawarte w styczniu 1968 r. Tate wciąż nie mogła liczyć na artystyczne wyzwania. Możliwe, że po urodzeniu dziecka przestałaby być obsadzana w rolach infantylnych kokot. Niestety, bardziej prawdopodobne jest to, że została zaszufladkowana jako seksbomba, dla której w ówczesnym Hollywood czas biegł okrutnie szybko.

ROY CUMMINGS / BEW

Sharon Tate i Roman Polański w dniu ślubu, Londyn, 20 stycznia 1968 r.

Nie można jej jednak odmówić woli poszukiwania nowych dróg zaistnienia w kinie. Żeby zagrać u boku Orsona Wellesa i Vittoria De Siki w „12+1", komedii luźno opartej na powieści Ilji Ilfa i Jewgienija Pietrowa, pojechała w 1969 r. do Włoch. Była wtedy już w ciąży. Okazało się, że był to jej ostatni film.

Przypadkowa ofiara

Od bulwarówek do „New York Timesa" krążyła wiadomość o tym, że był to mord rytualny, a krwią aktorki zabójcy wymalowali napis „świnia", wyciągając z brzucha jej dziecko. Choć tylko środkowa część okazała się prawdziwa, lawina ruszyła. To miało być zabójstwo polityczne albo narkotyczno-satanistyczna orgia. Mówiło się, że za masakrą stoi peerelowska służba bezpieczeństwa albo polscy nacjonaliści mszczący się na Polańskim. Podobną orgię myślenia spiskowego i melodramatu zapewniają dzisiaj nowo wydane książki o Tate i okolicznościach jej śmierci.

Biografia Sandersa zaczyna się niczym „Chinatown", najlepszy film Polańskiego nakręcony po zabójstwie żony i syna – od podziękowań dla prywatnego detektywa z Los Angeles, Larry'ego Larsena. Na tym podobieństwa z „Chinatown" się kończą. Ponieważ w krótkim życiu Tate brakowało pieprzu (tylko trzech narzeczonych, jedna i niepotwierdzona zdrada małżeńska oraz parę zaginionych sekstaśm), Sanders sam postanowił go dodać, wstawiając do jej biografii długie interludium o zabójstwie Roberta Kennedy'ego, z którym aktorka rzekomo miała zjeść kolację w przeddzień zamachu na jego życie. Wątek Kennedy'ego powraca w posłowiu, gdzie Sanders, nieukontentowany teoriami na temat motywów bandy Mansona, kreśli własną hipotezę, iż Tate po-

siadała informacje o mordercy senatora, Sirhanie Sirhanie, niewygodne dla jego mocodawców.

Więcej o okolicznościach zabójstwa Tate można przeczytać w „Helter Skelter" Bugliosiego oraz „Mansonie" O'Neilla i Piepenbringa, które różnią się od siebie tak, jak smoleński raport Millera różni się od ustaleń komisji Macierewicza. Książka Bugliosiego była dwukrotnie ekranizowana (w 1976 i 2004), a i dziś można by na jej kanwie napisać scenariusz kolejnego sezonu „American Crime Story". Jest to litania niedociągnięć popełnionych przez tropiącą zabójców policję oraz drobiazgowa relacja z procesu sądowego. O samej Tate jest tu niewiele. Bugliosiego zaskakuje, że była jedyną osobą, o której świadkowie nie powiedzieli ani jednego złego słowa. Dodaje przy tym sarkastycznie, że to, czego nie udało się jej dokonać przez dekadę, osiągnęła w trzy dni po śmierci. Na ekrany wróciły jej filmy, a nazwisko królowało na tablicach kinowych.

Książka Piepenbringa i O'Neilla, dziennikarza żyjącego z wywiadów z gwiazdami, ukazała się w USA ledwie kilka miesięcy temu i jest aktem oskarżenia wymierzonym w Bugliosiego. O'Neill zarzuca prokuratorowi rozmyślne tuszowanie prawdy o inspiracjach morderców Tate. Sam jednak do tej prawdy nie dochodzi. Przez dwadzieścia lat obsesyjnie zajmował się, korzystając z cierpliwości wydawców, własnym śledztwem. Jego wnioski stawały się coraz bardziej „spektakularne" i powielające schemat teorii spiskowej. Pożenił w niej CIA z FBI, nazistów z eksperymentami nad działaniem LSD, a w Mansonie zobaczył narzędzie służb specjalnych do walki z Czarnymi Panterami. Nie odmówił sobie także evergreenu amerykańskiej kultury spisku, czyli związków z zabójstwem prezydenta Kennedy'ego. Bombą miała być hipoteza, że Manson był dzieckiem tajnego programu CIA o nazwie MKUltra, służącego badaniom nad sterowaniem ludzkim mózgiem. O'Neill nie zdobył jednak twardych dowodów na potwierdzenie tych rewelacji. Nadal wszystko wskazuje na to, że Sharon Tate była przypadkową ofiarą ideologii.

Uległość

Pośmiertna sława Tate miała gorzki posmak. Parę dni po morderstwach Polański zaprosił fotoreporterów magazynu „Life" i pozował przy drzwiach, na których krwią jego żony wypisano słowo „PIG". Wiele lat później Bill Tennant, ówczesny menadżer reżysera, który identyfikował ofiary, wspominał, że karuzela imprez (także z udziałem wdowca) zatrzymała się ledwie na tydzień: „Nikt się już nie przejmował Sharon Tate, ale nie wynikało to z ludzkiej bezduszności. Po prostu nie była niezastąpiona jako aktorka, na której miejsce znajdzie się inna".

> Nie ma sensu czynić z Tate ikony feminizmu. Życie z Polańskim **przyniosło jej sławę, do której była wychowywana.**

Tate została zapamiętana jako żona swojego męża. Reżyser „Dziecka Rosemary" jest w książkach o Tate odmalowany jako ciemny charakter (najbardziej wyrozumiałe są dla niego Statman i Brie Tate). Miał notorycznie zdradzać partnerkę, namawiać ją do aborcji i celowo przedłużać swój pobyt w Londynie, kiedy oczekiwała na poród. Rozwód miał wisieć na włosku. Trudno powiedzieć, czy tak było naprawdę. Zapewne emancypacja Tate sprowadzała się, jak w przypadku wielu kobiecych sław z końca lat 60., do prób budowania otwartego związku i eksperymentów z LSD. Nie ma najmniejszego sensu czynić z Tate ikony feminizmu. Życie z Polańskim przyniosło jej sławę, do której była wychowywana. Tworzyli jedną z najmodniejszych par show-biznesu, a zdjęcia Tate pokazują, że w wielkiej zabawie czuła się jak ryba w wodzie.

„Jej, to są naprawdę piękni ludzie" – tak Susan Atkins wspominała wrażenie, jakie wywarły na niej przyszłe ofiary, nawiązując do piosenki Beatlesów „Baby You're a Rich Man". Porównanie między „pięknymi ludźmi" a „ludzkimi potworami" na długo wyznaczyło schemat interpretowania tego, co stało się latem 1969 r.: banda psychopatycznych hipisów miała zastraszać establishment z pobudek klasowych. Jednak nawet Freud, Jaspers i Marks razem wzięci nie byliby w stanie wyjaśnić tego, co w tej zbrodni było wyjątkowe. To młode kobiety zabiły inne młode kobiety. Susan Atkins, dopingowana przez Charlesa Watsona, dźgała Tate, a Patricia Krenwinkel zadała 28 ciosów Abigail Folger. Dzień później Krenwinkel razem z Leslie Van Houten pozbawiła życia kilkanaście lat starszą Rosemary LaBiancę. Towarzyszyła im (choć nie zabijała) Linda Kasabian, która później stała się najważniejszym świadkiem oskarżenia. W trakcie procesu jako jedyna okazała wyrzuty sumienia z powodu Tate. Sama była wówczas w zaawansowanej ciąży.

Zabójstwo Tate zapisało się w pamięci zbiorowej nie dlatego, że była piękna i dobra, ale dlatego, że była w dziewiątym miesiącu ciąży. Zabicie matki i jej dziecka to cios w samo serce kultury Zachodu, dumnej z chronienia słabszych i wiążącej z tym swoje przetrwanie. Wiemy, że aktorka błagała o życie dla siebie i dziecka, a kiedy Atkins odmówiła jej litości – tylko dla dziecka (chciała, by oprawcy darowali jej dwa tygodnie, aż urodzi). Gdyby dramat się nie wydarzył, a Paul Richard przyszedłby na świat, szybko stanęłaby przed wyborem, czy być w pierwszej kolejności matką, czy aktorką. Wieść gminna niesie, że planowała wrócić na ekrany i to z przytupem – grając w ekranizacji głośnej powieści erotycznej Pauline Réage „Historia O". To okrutny chichot losu, że Tate przymierzająca się do roli w pełni uległej wobec mężczyzn bohaterki została zamordowana przez całkowicie uległe pewnemu mężczyźnie kobiety.

Charles Manson wyznaczał im jednoznaczną rolę: służenie mężczyznom i rodzenie dzieci. Mniej atrakcyjne dziewczyny „z zaplecza" miały zajmować się domem, a bardziej ponętne były dziewczynami „z wystawy", przyciągającymi nowych wyznawców. Dziennikarka Nikki Meredith przez 20 lat spotykała się w więzieniu z dziewczyną „z zaplecza" Patricią Krenwinkel i dziewczyną „z wystawy" Leslie Van Houten, skazanymi na karę śmierci, w 1972 r. zamienioną na dożywocie.

W „Ludzkich potworach" Meredith chce zrozumieć ich uległość wobec Mansona oraz to, że dopiero pięć lat po krwawym lecie 1969 r. zaczęły wyrażać żal. Refleksje z tych spotkań, choć fascynujące, ujawniają bezradność tak skazanych, jak i ich rozmówczyni wobec pytania o to, dlaczego miłe dziewczyny z klasy ↦

↦ średniej, z tzw. porządnych rodzin, podobnych do rodziny Sharon Tate, dopuściły się takiego okrucieństwa. Meredith szuka odpowiedzi w przewidywalny sposób: w psychiatrii, neurobiologii, sławnych eksperymentach Stanleya Milgrama i Philipa Zimbardo i w koncepcji „banalności zła" Hannah Arendt. Zestawia kalifornijskie zbrodnie z Holokaustem, ludobójstwem w Rwandzie, zamachami dokonywanymi przez ISIS, a także z własnym doświadczeniem biograficznym – jest rówieśniczką Tate. I dochodzi do banalnego wniosku, że „każdy może zostać zbrodniarzem" w sprzyjających okolicznościach.

Na drugim planie, w tle truizmów o winie i odkupieniu, rozgrywa się inne lato miłości, niż to, które przeżywała Tate. Manson podarował miłym, ale przeciętnym dziewczynom pełną akceptację i pożądanie, a potem odebrał im pewność, że ta bezinteresowna miłość będzie trwać wiecznie. Zaczął stawiać warunki mające je chronić przed odrzuceniem – aż po żądanie zabijania. Z rozmów z Krenwinkel i Van Houten wynika, że ich ówczesne wyobrażenia o przyszłości były w gruncie rzeczy konserwatywne i bliskie marzeniom Tate – chciały mieć rodzinę, która będzie je zawsze akceptować. Po latach zdały sobie sprawę, że ich czyny nie były atakiem na establishment, ale na nieosiągalną dla nich ideę rodziny.

Przebaczenie

Dziś Sharon Tate jest symbolem walki o prawa ofiar. Jej matka Doris od 1982 r. działała w organizacjach zrzeszających krewnych ofiar zabójstw, a w 1989 r. założyła własną – Koalicję na rzecz Równych Praw dla Ofiar. Pozwoliło jej to zakończyć żałobę, ale naraziło na zarzut niezdolności do wybaczenia. Stała się twarzą karty praw ofiar, która dała ich rodzinom możliwość zabierania głosu podczas rozpraw o przedterminowe zwolnienie skazanych. Doris Tate, a po jej śmierci młodsze siostry Sharon, wielokrotnie korzystały z tego prawa (także w imieniu rodziny LaBianca), przyczyniając się do zatrzymania sprawców w więzieniu.

Manson i Atkins zmarli za kratkami. Van Houten, która nie brała udziału w mordzie przy Cielo Drive, 22 razy starała się o zwolnienie. Od 2016 r. jej wnioski są pozytywnie opiniowane przez komisję do spraw zwolnień warunkowych, ale odrzuca je gubernator Kalifornii. Ostatnią odmowę dostała 3 czerwca. Ma 69 lat, bierze udział w programach resocjalizacyjnych i nie stanowi zagrożenia, ale wielu wciąż pamięta ją (i wielbi) jako bezlitosną dziewiętnastolatkę. Z moralnego punktu widzenia nie ma dobrego rozwiązania. Książki Meredith oraz Statman i Brie Tate prezentują dwa konkurencyjne stanowiska na ten temat. Faktem jest niezdrowy kult bestialskich zbrodniarzy. Ale jeśli polityka resocjalizacji ma coś znaczyć, to zwolnienie Van Houten, od lat wyrażającej skruchę, byłoby znakiem, że świecka instytucja czyśćca działa.

Być może za rok, po cichu i bez aury 50. rocznicy krwawego lata, Van Houten zostanie wypuszczona i już na wolności zobaczy, jak Quentin Tarantino przedstawił Rodzinę Mansona w swoim najnowszym dziele. Kto wie, czy wchodzący do polskich kin 16 sierpnia obraz nie oddaje Sharon Tate sprawiedliwości bardziej niż „szokujące" sekrety z emocjonalnych narracji krewnych i dziennikarskich śledztw. Pełno w nim biograficznych nieścisłości, ale Margot Robbie błyszczy na ekranie. Idzie przez bulwary Hollywood tanecznym krokiem, uwodząc widzów i sama pozwalając się uwieść magii kina. Z wypiekami na twarzy filmowa Tate ogląda w kinie swój występ w „The Wrecking Crew", gdzie wciela się w tajną agentkę, biegłą w kung-fu, która ukrywając się za maską ofermowatej Dunki, rozkochuje głównego bohatera, granego przez dwadzieścia parę lat starszego od niej Deana Martina. Wie, że to jest kiepski film, lecz cieszy się z tej krótkiej chwili radości, jaką dała siedzącym obok widzom.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Vincent Bugliosi, Curt Gentry **HELTER SKELTER**, *przeł. Mirosław Jabłoński (Zysk i S-ka 2019); Nikki Meredith* **LUDZKIE POTWORY. KOBIETY MANSONA I BANALNOŚĆ ZŁA**, *przeł. Maciej Kositorny (Czarne 2019); Dan Piepenbring, Tom O'Neill* **MANSON. CIA, NARKOTYKI, MROCZNE TAJEMNICE HOLLYWOOD**, *przeł. Radosław Madejski (Akurat 2019); Ed Sanders* **SHARON TATE. ŻYCIE**, *przeł. Magda Witkowska (Laurum 2019); Alisa Statman, Brie Tate* **SHARON TATE. HISTORIA MORDERSTWA ŻONY ROMANA POLAŃSKIEGO**, *przeł. Anna Sak (Znak Horyzont 2019).*

Niepobożne życzenia

ANITA PIOTROWSKA

Quentin Tarantino zaprasza do uczestnictwa w barbarzyńskim rytuale, który egzorcyzmuje demony, wskrzesza zmarłych, a przy okazji reanimuje, przynajmniej na 160 minut, dawny hollywoodzki mit.

Jak pisać o filmie, kiedy reżyser sam prosi widzów, by nie zdradzali jego treści? Jak ominąć anegdotę w przypadku twórcy, który na gawędziarstwie, czasem graniczącym z gadulstwem, zbudował swoje filmowe uniwersum? Jak zignorować podrzęd-

UIP

ną, pulpową materię, w której Tarantino rzeźbi od czasu debiutanckich „Wściekłych psów" i która w jego rękach niemal za każdym razem przemienia się w szczere złoto? W paradę wchodzi także faktografia, albowiem ostatni akt „Pewnego razu... w Hollywood" stanowi wręcz końcowe odliczanie przed masakrą w domu przy Cielo Drive w Los Angeles, zamieszkałym równe 50 lat temu przez Romana Polańskiego i Sharon Tate.

A jednak owa rekonstrukcja wydarzeń okazuje się w nowym filmie Tarantina drugorzędna czy wręcz pozorna. Wspomniana para to, jak się okazuje, gwiazdy drugiego planu, barwni sąsiedzi w stylu *hippie glamour*. Przypatruje się im z oddali dwójka nieudaczników i z lekka wyliniałych „kowbojów": niegdysiejszy gwiazdor westernów Rick Dalton oraz Cliff Booth, jego dawny dubler, a dziś szofer, weteran wojenny i niezły rozrabiaka. Wcielający się w te fikcyjne postacie Leonardo DiCaprio i Brad Pitt igrają także ze swoim gwiazdorskim wizerunkiem. Co więcej, „Pewnego razu..." zabiera nas w miejsce, które wygląda jak jeden wielki plan filmowy. Można tu spotkać Steve'a McQueena czy Bruce'a Lee, a liczne ekrany, reklamy, plakaty, żywe twarze i sztuczne imaże nakładają się na siebie, tworząc fantasmagoryczny efekt.

Twórca „Pulp Fiction" nie tylko spaja ze sobą trzy różne wątki: Sharon, Ricka i Cliffa, brawurowo mieszając porządek faktu i fikcji, legendy i plotki. Jak przystało na niepohamowanego filmożercę zakochanego w starym hollywoodzkim kinie, Tarantino przywołuje z sentymentem klimat jego schyłku. Podczas gdy Rick próbuje wrócić do gry w zmieniającym się przemyśle filmowym i staje się to pretekstem dla paru pysznych scenek z planu, jego kozacki kumpel trafia przypadkiem na Ranczo Spahna, gdzie jeszcze niedawno kręcono „Bonanzę", a dziś króluje niejaki Charles w otoczeniu wpatrzonych weń młodziutkich hipisek.

Tarantino opowiada o tym wszystkim nieśpiesznie, by nie rzec – rozwlekle, bawiąc się naszymi przewidywaniami, zwodząc głód sensacji, rozsmakowując się w każdym vintage'owym detalu czy pustych przebiegach akcji. Kamera wozi nas po słonecznych bulwarach Miasta Aniołów w rytm modnych szlagierów, słynne Tarantinowskie „dialogi donikąd" raz jeszcze proszą się o status bon motów, a nagłe eksplozje przemocy nie próbują podszywać się pod krytykę amerykańskiej kultury przemocy, lecz stają się po prostu ornamentem. Znajdujemy się w wirtualnym królestwie, gdzie rzeczywistość ma wstęp tylko za okazaniem specjalnego biletu.

„Pewnego razu..." to film ironiczny i równocześnie naiwny – zwłaszcza gdy rozgrzesza dziesiątą muzę w imię jej magicznej natury. Scena, w której Margot Robbie, aktorka grająca Tate, ogląda w kinie prawdziwą Sharon, grającą fikcyjną postać, z jednej strony bawi sarkastyczną wymową (gwiazdkę filmu bardziej pochłaniają reakcje widzów niż ekranowy obraz jej samej), a z drugiej stanowi pean na cześć balsamujących właściwości kina. I – nie ukrywajmy – jednak wzrusza. Bo przecież dzięki filmowi, nawet najbardziej śmieciowemu, Sharon Tate pozostanie już na zawsze żywa. Kino, zwłaszcza to w bezczelnym wydaniu Quentina Tarantino, potrafi bowiem wszystko: wywracać oczekiwania, przywracać sprawiedliwość, odwracać bieg wydarzeń.

W swoich brawurowych fantazjach o zemście – w „Bękartach wojny" czy „Django" – amerykański reżyser snuł alternatywne historie spod znaku „co by było gdyby", dając do ręki broń ofiarom: Żydom w czasach Holokaustu czy czarnym niewolnikom na XIX-wiecznych plantacjach. Wbrew logice faktów przejmowali oni inicjatywę, biorąc krwawy odwet na swych ciemiężycielach, a finałowa demolka niosła ze sobą efekt tyleż rozrywkowy, co oczyszczający. Tak jest i tym razem. Tarantino zaprasza do uczestnictwa w barbarzyńskim rytuale, który egzorcyzmuje demony, wskrzesza zmarłych, a przy okazji reanimuje – przynajmniej na 160 minut seansu – dawny hollywoodzki mit. Dziewiąty sierpnia 1969 r., kiedy doszło do słynnej zbrodni, miał być dla Ameryki datą graniczną. Odtąd nic już nie było takie samo, ani w instytucjonalnym funkcjonowaniu Fabryki Snów, która kończyła właśnie swoją złotą erę, ani w fabrykowaniu zbiorowych marzeń.

Za tę nostalgiczną opowieść o końcu rzekomej niewinności reżyser zbiera zresztą cięgi. „Pewnego razu..." bywa ↦

Brad Pitt jako Cliff Booth, Leonardo DiCaprio jako Rick Dalton i Margot Robbie jako Sharon Tate w filmie „Pewnego razu... w Hollywood".

uważane za film „zbyt biały” i przede wszystkim seksistowski. To prawda, Sharon Tate jest tu bardziej niemą ikoną swoich czasów niż żywą postacią, najwięcej frajdy sprawia twórcom masakrowanie „złych kobiet”, a sugestia, jakoby aktorka padła ofiarą rozwydrzonej kontrkultury, może trącić wstecznictwem. Ale to tylko powierzchnia. Oglądanie filmu z postępowej perspektywy i wpisywanie go we współczesną wojnę kulturową może co najwyżej wyssać zeń odrobinę rockandrollowej energii i odebrać mu trochę oldskulowego powabu. Albowiem tytuł „Pewnego razu... w Hollywood” bardziej niż do spaghetti westernów Sergia Leone odsyła w rejony baśni – oryginalne „Once Upon a Time” można tłumaczyć również jako „dawno, dawno temu”. Oto dwóch rycerzy/kowbojów/superbohaterów wyrusza na ratunek księżniczce/miasteczku/całemu światu. Paradoksalnie, właśnie ten archetypiczny potencjał filmu niesie ładunek wywrotowy. Patrzymy na coś, co się zdarzyło i jednocześnie nie zdarzyło. Na gruncie imaginacji i całkowitej anarchii spotykają się u Tarantina oraz łączą w sposób niemal bezszwowy osobne światy – historia, sztuka i zabawa.

Traktując widza bronią różnego kalibru: cytatem, zwielokrotnioną iluzją, to znów pospolitym miotaczem ognia, amerykański reżyser wyrusza na ratunek legendzie starego, nieironicznego i bezwstydnie mitotwórczego Hollywood, które ongiś uczyniło zeń filmowca. Prowokuje to jednak niepokojące pytanie: czy przy okazji nie składa na tym ołtarzu dziękczynnym zamordowanej Sharon Tate, czy nie żeruje na tragedii jej przyjaciół i bliskich? Wręcz przeciwnie. Odbierając Mansonowi nazwisko, pozbawiając jego „rodzinę” kultowej aury i podważając logikę faktów dokonanych, podejmuje próbę symbolicznego aktu odkupienia. To, co nieodwracalne, przepisuje na język pobożnych i bardzo niepobożnych życzeń, które kino potrafi spełniać jak mało które medium.

© ANITA PIOTROWSKA

PEWNEGO RAZU... W HOLLYWOOD
(Once Upon a Time... in Hollywood) – reż. Quentin Tarantino. Prod. USA 2019. Dystryb. UIP. W kinach od 16 sierpnia.

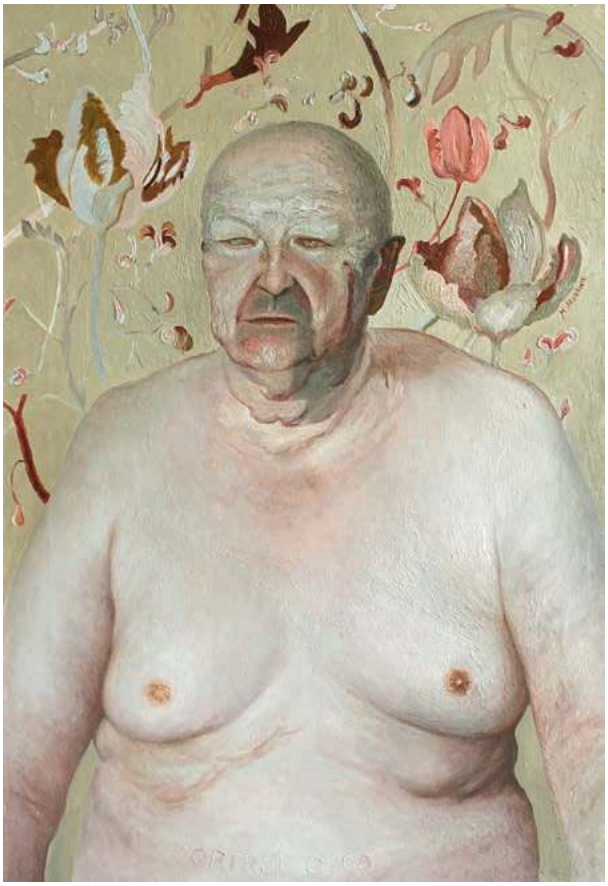

GALERIA ARSENAŁ

Starość widzialna

PIOTR KOSIEWSKI

Chociaż w ostatnich latach kultura masowa i reklama odkrywają istnienie starszych osób jako konsumentów, fizyczny wymiar starości nadal jest tematem tabu.

Białostocka Galeria Arsenał przygotowała wystawę o jednym z najważniejszych dziś tematów: o starości jako problemie społecznym, ale też cywilizacyjnym i kulturowym. Otwiera ją Jan Świdziński, jeden z najważniejszych przedstawicieli polskiej neoawangardy. Na nagraniu powtarza znane powiedzenie: „starość nie radość”. I rozkłada ręce. To gest bezradności, pogodzenia się z losem, a może uznania kolejności rzeczy? Po dzieciństwie przychodzi młodość, po młodości dojrzałość, tylko człowiek stary – jak podkreślał św. Augustyn – „nie ma przed sobą kolejnego etapu życia”. W chwili powstania pracy artysta miał 78 lat.

Stajemy się seniorami

Jak przypominają twórcy wystawy, w Polsce żyje ponad 4 tys. ludzi w wieku ponad stu lat. Według danych GUS w 2012 r. 5,5 mln mieszkańców Polski miało 65 lat i więcej. W 2016 r. było to już 6,3 mln osób, przeciętna długość trwania życia mężczyzn wynosiła 73,9 lat, a kobiet 81,9 lat. Stajemy się krajem starych ludzi.

Wystawa w Arsenale jest próbą uchwycenia różnych wymiarów starości: od biologicznego i psychologicznego po ekonomiczny i społeczny. Jej twórcy stawiają pytania: co dziś znaczy być starym człowiekiem? Jaka cezura wyznacza obecnie wiek starczy? Jak zmieniają się

MACIEJ ZANIEWSKI / GALERIA ARSENAŁ

PO LEWEJ: *Magdalena Moskwa, bez tytułu, 2003, olej na płótnie (z kolekcji Muzeum Sztuki w Łodzi)*

OBOK: *„Historie o starości", widok wystawy, Galeria Arsenał elektrownia w Białymstoku*

postawy wobec osób starszych? Jaki obraz starości przedstawiają media: od audycji publicystycznych po reklamy? Wreszcie jaką wizję starości kreuje sztuka?

„Wszystkie społeczeństwa niezależnie od przyjętej postawy obawiają się starości" – podkreśla Georges Minois. To jego książka była inspiracją dla białostockiej wystawy. Starość od zarania była wyzwaniem, bo ona – jak pisze ten francuski historyk – okazała się jedyną prawdziwie nieuleczalną chorobą. Owszem, w wielu kulturach wiekowe osoby otaczano szacunkiem. Ceniono ich wiedzę i doświadczenie. To one przekazywały wzorce kolejnym pokoleniom. Jednak fizyczny wymiar starości, ułomność, przychodząca z wiekiem słabość ciała i umysłu nieustannie budziły lęk.

W dobie fascynacji młodością, dominacji w kulturze, zwłaszcza masowej, w modzie czy w stylu życia wzorców łączonych z wiekiem młodzieńczym, sytuacja osób starszych staję się coraz bardziej skomplikowana. Do tego dochodzą zmiany technologiczne i cywilizacyjne. Coraz bardziej powiększa się luka między młodymi, dorosłymi i osobami w podeszłym wieku, związana ze sposobami adaptacji do współczesnego świata, co prowadzi do powstania coraz bardziej odrębnych pokoleniowych kultur. Ageizm dziś jest dość powszechny, nie dotyczy jedynie problemów na rynku pracy, ale nie omija intelektualnych i medialnych salonów, nie jest też obcy głosicielom i głosicielkom postępowych haseł.

Wreszcie starość staje się problemem politycznym – wraz ze wzrostem potrzeb tej właśnie grupy wiekowej, ale też zwiększającą się jej przewagą liczebną, a co za tym idzie, znaczeniem jako grupa wyborcza.

Artysta w wieku późnym

Polityczny wymiar został jednak na wystawie całkowicie pominięty. Istotny stał się inny: twórczość w wieku późnym. W samym centrum wystawy znalazła się praca Kojiego Kamojiego „Przeciąg/Starość". Pierwsza jej wersja powstała w 1975 r. Po 43 latach Kamoji stworzył nowy jej wariant: zawieszone w przestrzeni kwadraty japońskiego białego papieru z wyciętymi pośrodku otworami tworzą efemeryczną, delikatną konstrukcję. Zaskakującą, zwiewną, kruchą. Łatwo ją uszkodzić, zniszczyć.

Jak przekonywał przed laty Mieczysław Wallis, późne dzieła cechuje mistrzostwo w posługiwaniu się środkami artystycznymi oraz swoboda w ich wykorzystywaniu. Trudno nie ulec fascynacji, mając w pamięci namalowane po siedemdziesiątce obrazy Tycjana, wykonane przez 80-letniego Fransa Halsa portrety regentów i regentki Domu Starców w Harlemie, ostatnie płótna Rembrandta, Goi czy wielki cykl „Nenufary" Claude'a Moneta. Mniej uwagi poświęca się tym, którzy na starość tworzyli dzieła ułomne, nieudane, nienadążające za zmieniającym się czasem. One nie są modnym tematem.

W Arsenale figurą wielkiej artystki, która twórcze apogeum osiąga w późnym czasie, stała się Louise Bourgeois. Monograficzna wystawa zorganizowana w 1982 r. w nowojorskim Museum of Modern Art zwróciła uwagę na twórczość urodzonej w 1911 r. artystki, a wykonane przy tej okazji przez Roberta Mapplethorpe'a zdjęcie Bourgeois, trzymającej pod pachą własną rzeźbę „Fillette" przypominającą powiększony do znacznych rozmiarów męski członek, jest jednym z ikonicznych wyobrażeń końca ubiegłego stulecia. Co najważniejsze, jej prace, oddające biologiczną bujność życia, przypominające o sferze cielesności i seksualności, okazały się niezwykle aktualne, a ona sama stała się jednym z kluczowych twórców II połowy XX wieku. Sama do końca tworzy. W latach 90. powstają jej słynne „Maman" (przedstawienia pajęczycy) oraz „Cells", obiekty-pomieszczenia, w których umieszcza rzeczy jej bliskie, pamiątki rodzinne, fragmenty z przeszłości, czasami własne rzeźby. Louise Bourgeois umiera w 2010 r., w wieku 98 lat.

Małgorzata Niedzielko dedykuje prezentowaną w Arsenale pracę właśnie Bourgeois. Można na wystawie odsłuchać także niezwykłe nagranie salonu niedzielnego, organizowanego w nowojorskim domu Bourgeois. Cotygodniowe spotkania, określane przez ich gospodynię mianem „Sunday, bloody Sunday", skupiały artystów, pisarzy, krytyków oraz studentów sztuki i były formą nieustannego kontaktu z tym, co aktualne. ↦

Jedno z nich zarejestrował w 2002 r. Dominik Lejman.

W Arsenale przypomniano jedną z najciekawszych polskich prac „Zmiana. Mój problem jest problemem kobiety" Ewy Partum. Jest to rejestracja jej wideo akcji z 1979 r. Możemy obserwować proces postarzania artystki. Na jej twarzy pojawiają się – nakładane przez charakteryzatorów – zmarszczki, bruzdy, zmiany koloru skóry. Atrakcyjna młoda kobieta zamienia się powoli w starszą osobę. Na podłodze pomieszczenia, w którym odbywała się akcja, Ewa Partum napisała: „artysta nie ma biografii. Bo artystka – inaczej niż artysta – ma biografię. U artystki jest istotne, czy jest młoda, czy stara".

Zobaczyć

Ewa Partum zwraca uwagę na istotne różnice kulturowe w postrzeganiu artystów i artystek, ale też szerzej, kobiet i mężczyzn. Ale jest to także praca o postrzeganiu (i przeżywaniu) starości. Ten właśnie wymiar – przemijania, starzenia się – jest na wystawie najciekawszy. „Kiedyś były czarne" (2018/2019) Krystyny Piotrowskiej to zbiór kilkudziesięciu portretów osób w różnym wieku. Są tu dzieci, młodzi, dorośli. O ich wieku informuje rok urodzenia zamieszczony pod każdą fotografią: „Władysława 1919", „Jolanta 1951", „Józef 1928"... Wszystkie zdjęcia wykonano przed laty. Dziś sportretowani mają znacznie więcej lat: najmłodsi 70, najstarsi 90. Krystyna Piotrowska nie pokazuje ich dzisiejszych wizerunków – zabiera nas w odległą często przeszłość.

Inaczej postąpiła Magdalena Moskwa. Jej obraz z 2003 r. przedstawia starego człowieka z obwisłą skórą, pomarszczoną twarzą, przebarwieniami na ciele. To portret ojca artystki. Brutalny, bez upiększeń. Obraz starości, na który zazwyczaj nie chcemy patrzeć. Bo chociaż w ostatnich latach kultura masowa, reklama czy rynek powoli odkrywają istnienie starszych osób jako konsumentów, to nadal fizyczny wymiar starości jest niemalże tematem tabu (wystarczy przywołać kontrowersje, jakie wzbudza podjęcie przez media tematu seksu seniorów).

Nie chcemy widzieć starości. Można nawet powiedzieć, sięgając po określenie socjologa Eviatara Zerubavela, że wokół niej panuje zmowa milczenia. Niezawiązana wokół tego, czego nie widać, ale kwestii rzucającej się w oczy. Jednak usilnie staramy się ją ignorować.

Sztuka bywa przestrzenią, która przełamuje ten pakt. W Arsenale znalazła się jedna z wersji pracy wideo „Święto wiosny" (1999–2002) Katarzyny Kozyry. Przed laty wywoływała ona kontrowersje. Dziś widać, jak wiele zarzutów stawianych artystce było kompletnie niedorzecznych, a same dzieło okazuje się jednym z najważniejszych (i najbardziej przejmujących) w dziejach polskiej sztuki ostatnich dekad.

Katarzyna Kozyra sięgnęła po słynny balet – nie tylko po muzykę Igora Strawińskiego, ale też choreografię Wacława Niżyńskiego (zrekonstruowaną przez amerykańską choreografkę Millicent Hodson). Bo ta wersja najlepiej oddawała pierwotny zamysł baletu – oddania barbarzyńskiego, dawnego charakteru obrzędu. Niżyński sprowadził tancerzy do roli marionetek. Wykonywali oni ruchy na granicy ludzkiej możliwości, konwulsyjnie, jakby wpadli w jakiś trans. Katarzyna Kozyra wzmocniła ten efekt – taniec wykonują starsze osoby, jakby z trudem, chwilami niezdarnie. Zarejestrowany obraz fascynuje, ale też może budzić lęk. Widzimy ciała w ich przemijaniu.

„Historie o starości" pokazują to, czego nie chcemy widzieć. Odddają starości widzialność. Integralną częścią ekspozycji jest pokaz prac członków sekcji malarskiej PĘDZEL, działającej przy Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Białymstoku. To amatorskie prace, ocierające się niekiedy o kicz. Jednak to przestrzeń, w której starsze osoby pokazują siebie i to, co dla nich ważne: własną twórczość.

© PIOTR KOSIEWSKI

HISTORIE O STAROŚCI, *Białystok, Galeria Arsenał, wystawa czynna do 15 września br. Kuratorka: Magdalena Godlewska-Siwerska*

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".** Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Bękart wojny

WOJCIECH ENGELKING

Fascynacja superbohaterami i popkulturą nie jest już powodem do wstydu. Staje się zaczątkiem ponadnarodowej społeczności alternatywnej. Dlatego powieści Michaela Chabona trafiają w Polsce na podatny grunt.

Kiedy moi znajomi dowiedzieli się, że piszę książkę o dwóch fikcyjnych twórcach komiksu, ich najczęstszą reakcją było: „Żal mi tego gościa" – mówi Michael Chabon, kiedy rozmawiamy na FaceTime'ie. W Warszawie jest wieczór, w Berkeley w Kalifornii, gdzie mieszka, późne przedpołudnie; Chabon nie zgodził się na rozmowę wcześniej niż o jedenastej, bo ma w zwyczaju kłaść się późno. Pisze tylko w nocy.

W ten właśnie sposób, zbliżając się do czterdziestki, dwie dekady temu stworzył monumentalne, blisko tysiącstronicowe i w 2001 r. nagrodzone Pulitzerem „Niesamowite przygody Kavaliera i Claya", które właśnie ukazują się w Polsce. Kiedy rozmawiamy, wsuwa śniadanie, i w rozpikselowanym komunikatorze bez przerwy się zacina; kolejne stopklatki ukazują go w kwiecistej koszuli, z siwymi, długimi włosami i obfitą brodą, za sprawą której przywodzi na myśl i starzejącą się gwiazdę rocka, i szalonego rabina z Europy Wschodniej.

Debiutował 12 lat wcześniej „Tajemnicami Pittsburgha", które nieoczekiwanie stały się bestsellerem. Potem długo próbował napisać drugą książkę, by w końcu zarzucić pierwotny projekt i wydać opartych na doświadczeniu pisarskiej blokady „Cudownych chłopców", sfilmowanych potem z Micha-

JORDAN STRAUSS / AP / EAST NEWS

Michael Chabon, Los Angeles, październik 2018 r.

elem Douglasem i Robertem Downeyem Jr. w głównych rolach.

Ze świata filmu, a konkretnie telewizji, wzięła się także opowieść o Kavalierze i Clayu. Jej pierwsze rozdziały Chabon napisał jako pilotażowy odcinek serialu dla jednej z amerykańskich stacji kablowych. Producenci nie byli jednak zainteresowani. Patrząc na to, jak w drugiej połowie lat 90. traktowano w Ameryce popkulturę z superbohaterami w roli głównej, trudno się dziwić, że odrzucili opowieść o żydowskich kuzynach, którzy gdy w Europie trwa II wojna światowa, w Nowym Jorku tworzą komiks o Eskapiście – równym największym bohaterom gatunku herosie, który na okładce pierwszego zeszytu na odlew wali w twarz Hitlera.

– Dziewiętnaście lat temu nikt nie traktował superbohaterów poważnie – mówi Chabon. I ma rację. Ostatni „Superman" z Christopherem Reeve'em wszedł na ekrany 11 lat wcześniej i był komercyjną oraz artystyczną klęską. Podobnie sprawy się miały z oboma „Batmanami" w reżyserii Joela.

– A teraz spójrz, co dzieje się obecnie – dodaje pisarz. – Avengersi nie tylko są największym hitem w kinach, ale jeden z odcinków tej serii, „Czarna pantera", został nominowany do Oscara za najlepszy film. Superbohaterowie przestali być rozrywką dla małych chłopców.

To, jego zdaniem, po pierwsze efekt wspólnej pracy dwóch pokoleń twórców oraz widzów, po drugie – wielkie dziedzictwo generacji Żydów, którzy superbohaterów stworzyli, aby uporać się z własnymi demonami.

Krypton, czyli Praga

Chabon nie jest pierwszym, który postawił tę tezę. To komiksiarz Jules Feiffer w 1996 r. na łamach „New York Timesa" stwierdził, że Superman – dzieło Joego Shustera i Jerry'ego Siegla – heros, który na swojej rodzinnej planecie nazywał się Kal-El, co po hebrajsku znaczy: „wszystko, czym jest Bóg", a na Ziemię został wysłany przez rodziców na podobieństwo Mojżesza – był efektem wielkiej asymilacyjnej fantazji emigrantów, którzy u progu XX w. przybyli do Stanów Zjednoczonych z Europy Środkowej i Wschodniej.

„Superman wcale nie pochodził z fikcyjnej planety Krypton, ale innej, realnej – stwierdził Feiffer. – A ta planeta nazywała się: Mińsk, Łódź, Wilno albo Warszawa". Podobną tezę postawił potem w pracy „From Kraków to Krypton" dziennikarz Arie Kaplan.

U Chabona Krypton nazywa się Praga. To z niej, żyjącej wciąż mitem ulepionego z wełtawskiego błota Golema, ucieka niedługo po utworzeniu Protektoratu Czech i Moraw młodziutki Josef Kavalier, niegdysiejszy student miejscowej Akademii Sztuk Pięknych i amator magicznych sztuczek, specjalnie – widowiskowego uwalniania się z łańcuchów. Celem jego podróży jest Nowy Jork, gdzie mieszka dalekie kuzynostwo, między innymi – rówieśnik Samuel Klayman, amator groszowych powieści, przede wszystkim graficznych.

Zapał Samuela do opowiadania pulpowych historii, połączony z artystycznym talentem Josefa, który szybko zmienia imię na Joe (a Samuel Klayman staje się Samem Clayem), owocuje nowym superbohaterem w amerykańskim panteonie: Eskapistą, olbrzymem trochę podobnym do Golema, a trochę Supermana (a przy okazji także Batmana, Fantomasa, Kapitana Ameryki czy Harry'ego Houdiniego), z tym że pozbawionym umiejętności latania (za to: z mistrzowskim talentem do ucieczek) i ze złotym kluczem zamiast litery „S" na piersi.

Eskapista ma oczywiście swojego naczelnego wroga: wykazuje się otóż szczególną predylekcją do spuszczania manta nazistom w wojnie, do której Ameryka wciąż nie dołączyła. Jest wojennym bękartem, ucieleśnionym w jednej postaci całym oddziałem żydowskich żołnierzy z późniejszego o ponad pół wieku filmu Quentina Tarantino – „Bękartów wojny".

Czy rysowanie bitego na odlew Hitlera może się jednak równać faktycznemu uderzeniu go?

– Impuls, by stworzyć taki obrazek, w swojej strukturze jest podobny do tego, który każe faktycznie uderzyć nazistę, co Joe w końcu robi – stwierdza Chabon, przypominając scenę z powieści, w której Joe na nowojorskiej stacji metra spostrzega mężczyznę wyglądającego mu na Niemca i gdy stara się go pobić, sam kończy z pokiereszowaną twarzą.

– „Niesamowite przygody" pokazują jednak, że między możliwościami realizacji tego impulsu jest spora różnica. Narysowanie czegoś, stworzenie dzieła sztuki, to coś innego niż fizyczna przemoc, chociaż może mieć wymiar propagandowy i do niej inspirować – podkreśla.

Gdy mówię, że w takim razie powieść sprzed 19 lat to, mimo wszystko, pomnik klęski komiksiarzy żydowskiego pochodzenia, którzy swoim dziełem nie zainspirowali Ameryki do udziału w wojnie, bo uczynił to dopiero atak na Pearl Harbor, Chabon stwierdza, że to właśnie efekt czasów, o których powieść opowiada. Ponieważ komiksy były wówczas uznawane za, w najgorszym wypadku, rzecz dla małych chłopców, a w najlepszym za *guilty* ↦

↦ *pleasure* – to i faktyczny trud żydowskich twórców, którzy jak Kavalier i Clay Eskapiście, kazali z Hitlerem walczyć Kapitanowi Ameryce, a Supermanowi wyrzucać Goebbelsa z siedziby Radia Berlin, był w Ameryce traktowany z pobłażaniem.

Fikcyjna postać, którą stworzyli fikcyjni Kavalier i Clay, dziś posiada niewspółmierną do swojego zmyślonego charakteru siłę.

– Dziewiętnaście lat po publikacji ludzie wysyłają mi zdjęcia swoich tatuaży: albo postać Eskapisty, albo emblemat klucza – mówi Chabon, stwierdzając, że to dowód na tezę, iż upodobanie do zanurzania się w świecie powieści graficznych przestało być dla Amerykanów powodem do wstydu.

I stara się nakreślić historię tej przemiany: – Zaczęło się dość niewinnie, bo poprzez pop art w latach 60. i 70., gdy komiksowa kreska została włączona w obieg kultury wyższej, ale wyłącznie ironicznie. Z czasem jednak ironia zniknęła. Dla przykładu: pokolenie mojego ojca, urodzonego w 1938 r., już potrafiło powiedzieć, że fikcyjne, komiksowe światy są dla niego bardzo ważne. Moje, a urodziłem się w 1963 r., znalazło się więc w świecie, który stwierdził, że czegoś tak istotnego nie należy traktować jako *guilty pleasure*. I w którym superbohaterowie stali się także realną potęgą.

A więc to, co zaczęło się poważnie, jako sublimacja żydowskich lęków, przedarło się na szczyty amerykańskiej kultury dzięki traktowaniu najpierw niepoważnemu; a gdy się na tych szczytach znalazło, zaczęło stwarzać – znów poważne – zagrożenia.

MATERIAŁY PRASOWE

Postać Eskapisty z cyklu „The Escapist" Michaela Chabona (premiera w 2000 r.) w „Niesamowitych przygodach Kavaliera i Claya"

Fandom może być piekłem

– Uważasz, że w dobie deklarowanego powrotu do zamkniętych, narodowych tożsamości wspólnota fanów danego tekstu kultury może być przeciwwagą? – pytam.

– Jasne, że tak! – stwierdza z entuzjazmem Chabon, by zaraz, już ciszej, dodać: – Problem w tym, co stanowi o przynależności do grona fanów. Obawiam się bowiem, że społeczność fanów popkultury, jak świętość traktujących „Avengersów" albo „Grę o tron", może być jednocześnie piekłem. Łatwo mogą się w niej pojawić wykluczeni: kobiety, przedstawiciele mniejszości i tak dalej. Fandom może być wspaniały, to prawda, ale może również być straszny.

Chabon odnosi się w ten sposób do tzw. *gamergate* – ruchu graczy komputerowych, którzy w 2014 r. rozpoczęli protest przeciwko, ich zdaniem, upolitycznianiu przedmiotu ich zainteresowania (lewicujący intelektualiści krytykowali gry za mizoginię). Powiedzieć, że protest ten był przykładem bigoterii, to właściwie nic nie powiedzieć: niechęć do domniemanego upolitycznienia w istocie służyła za łatwy sposób rozprzestrzeniania w serwisach takich jak Reddit czy 4chan nie tyle seksistowskich haseł, ile nawet skierowanych do konkretnych osób gróźb śmierci i gwałtu.

Badacze najnowszej historii politycznej Ameryki to właśnie w *gamergate* upatrują fundamentów alt-prawicy i zwolenników Donalda Trumpa – tego polityka, przeciwko któremu Chabon, podobnie jak inni amerykańscy pisarze (m.in. Lauren Groff i Stephen King), jednoznacznie się opowiada.

– W jednym z wywiadów powiedziałeś, że każdy dzień zaczynasz od sprawdzenia, czy ostatniej nocy Trump przypadkiem nie miał ataku serca – mówię, i gdy dodaję, że jest to okaz politycznego zaangażowania, Chabon od razu wchodzi mi w słowo: – To jest dla ciebie polityczne zaangażowanie? A nie przyszło ci do głowy, że to może chęć, aby wielki koszmar się skończył?

– Nazywając Trumpa koszmarem, odbierasz prawo do posiadania własnego zdania tym Amerykanom, którzy na niego głosowali i uznają za swojego prezydenta – mówię.

– Oni – odpowiada – także nie wiedzą, że to dla nich koszmar.

– Czyli uważasz, że jako lewicujący liberał wiesz lepiej, niż pewna grupa ludzi.
– Tak. I tego się trzymam.

Jego polityczne zaangażowanie zaczęło się po roku 2008, gdy pracował nad „Poświatą" – stylizowaną na wspomnienie o jego dziadku opowieścią o tym, jak nazistowski naukowiec Wernher von Braun, jeden z twórców rakiety V2, nie tyle wymknął się ścigającym go pod koniec II wojny światowej amerykańskim żołnierzom, ile stał się po wojnie jednym

z luminarzy amerykańskiej kosmonautyki i współtwórcą lądowania człowieka na Księżycu. To w tej powieści jako fikcyjny, komiksowy superbohater pojawia się Barack Obama.

Jednak swoje poglądy Chabon wyraża nie tylko w powieściach: – Razem z żoną [pisarką i eseistką Ayelet Waldman – przyp. red.] wydaliśmy książkę, w której zaprosiliśmy kilkunastu światowych pisarzy, m.in. Colma Toibina, Dave'a Eggersa czy Mario Vargasa Llosę, do napisania esejów o izraelskiej okupacji palestyńskich terytoriów. Sam w zeszłym roku, przy najlepszej chyba do tego okazji, bo na zakończeniu roku w Hebrew Union College w Los Angeles, wprost powiedziałem, co, jako ateista, sądzę o działalności Izraela na Zachodnim Brzegu czy żydowskim obyczaju, by zawierać małżeństwa tylko z innymi Żydami.

Wielki dług

– Pytanie o moją tożsamość jako Żyda musi paść zawsze. Cała historia amerykańskiej literatury jest historią przebijania się do jej głównego nurtu tych, którzy wcześniej byli pomijani. Taki był w latach 50. kazus żydowskich pisarzy, jak Saul Bellow czy Bernard Malamud, odrobinę później Roth. I co z tego? W latach 60. to samo stało się udziałem prozaików czarnoskórych, w rodzaju Jamesa Baldwina. W latach 70. z kolei – pisarzy pochodzenia azjatyckiego. W latach 80. pisarzy zastąpiły pisarki, i tak dalej, i tak dalej. To dla mnie wspaniała historia tego, kto i przez kogo zostaje uznany za pisarza wysokoliterackiego, czyje książki wychodzą w renomowanych domach wydawniczych, czyje są traktowane poważnie. Jest to, oczywiście, wielka gra tożsamości i tego, jakie składowe tworzą Amerykanina; problem tak samo istotny dla pokolenia Rotha, jak mojego czy odrobinę młodszego, reprezentowanego choćby przez Jonathana Safrana Foera. Tylko że my jesteśmy beneficjentami walki, którą podjęli Bellow albo Malamud 70 lat temu. Nasze książki już nie są traktowane jako ewenement w amerykańskiej wyobraźni, problemy przez nie podejmowane nie są traktowane przez czytelników jako dziwaczne problemy żydowskie. Przeciwnie: są problemami na wskroś amerykańskimi.

Kiedy Chabon mówi o tym długu, trudno nie usłyszeć w jego głosie nostalgii – a kto zna jego powieści, ten wie, że nie jest to tylko nostalgia za dopominaniem się o własny głos, ale za epoką, po której nastąpiło wszystko to, co Tony Judt zbiorczo nazwał „powojniem". Ta epoka jest tłem „Niesamowitych przygód": jako najważniejszy okres życia jego fikcyjnego dziadka wraca w „Poświacie", niewydanym w Polsce „The Final Solution" (2004) i niektórych opowiadaniach z również niewydanego tomu „Werewolves in Their Youth".

Tych, którzy epokę ową budowali, zwykło się zbiorczo określać mianem „*greatest generation*"; Chabon jednak tego określenia nie lubi i nie zgadza się, by jego predylekcję do umieszczania akcji powieści w tamtych czasach nazywać nostalgią.

– Przede wszystkim – stwierdza – denerwuje mnie użycie przymiotnika „*greatest*". Owszem, to byli ludzie, którzy za młodu zakasali rękawy i pojechali do Europy bić się z Hitlerem; problem w tym, że byli to też ci sami ludzie, którzy, za cenę lądowania na Księżycu, zgodzili się na wybielenie przeszłości Wernhera von Brauna i na wojnę w Wietnamie.

Ta generacja stworzyła złotą epokę w dziejach amerykańskiego komiksu, lecz po wojnie przestała odczuwać potrzebę baśni takich jak ta o Eskapiście. Początkowo udana w „Niesamowitych przygodach" próba Joego, by zainteresować powieściami graficznymi także dorosłych, gdy Berlin zostaje zdobyty, obraca się na nice. I choć – uwaga, spoiler – powieść wieńczy dokonana przez Kavaliera transakcja, za sprawą której staje się on właścicielem Empire Comics, to firma jest już cieniem swojej dawnej świetności.

Kto zna historię amerykańskiego komiksu, ten wie, że odbić się będzie miała szansę na początku lat 60. – wtedy, kiedy Stan Lee stworzył Fantastyczną Czwórkę czy Doktora Strange'a – ale nową, filmową już i gadżetową wielkość zyskać może dopiero dzisiaj.

© WOJCIECH ENGELKING

Michael Chabon, **NIESAMOWITE PRZYGODY KAVALIERA I CLAYA**, *przeł. Piotr Tarczyński, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2019*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [17 – 23 VIII]

1. Whitney

Dokumentalny, reż. Kevin Macdonald, Wielka Brytania 2018, Canal+, 17 VIII, 11.15, Canal+ 1, 17 VIII, 12.15, Canal+ Dokument, 18 VIII, 18.00

Po „Marleyu" szkocki reżyser wziął na warsztat życiorys innej zmarłej przedwcześnie gwiazdy. Unikając tabloidyzacji, analizuje intymną biografię Whitney Houston. Pokazuje, jak skrywana orientacja seksualna oraz uzależnienie od toksycznych substancji i ludzi położyły się cieniem na jej karierze. Ale także znalazły wyraz w jej największych przebojach.

2. Kocham radio

Dokumentalny, reż. Nicolas Philibert, Francja/Japonia 2013, TVP Kultura, 19 VIII, 21.40

Przez pół roku twórca „Być i mieć" obserwował od środka pracę Radia France. Przyglądał się nie tylko tworzącym jego program, ale i pracownikom technicznym czy sprzątającym. Najbardziej jednak interesowało go, jak funkcjonuje nadające na żywo medium publiczne w obliczu codziennych wydarzeń. Efektem jest dokumentalna opowieść o dziennikarskim rzemiośle.

3. Księgowy Auschwitz

Dokumentalny, reż. Matthew Shoychet, Kanada 2018, Netflix

Szczególny przypadek Oskara Gröninga, skazanego za zbrodnie wojenne w 2016 r., powraca do pytań o stopień odpowiedzialności szeregowych funkcjonariuszy nazistowskiego systemu. W obliczu brunatniejącej dziś Europy (i nie tylko) film rewiduje także poważne zaniedbania prawne okresu powojennego, które stały się jeszcze jedną lekcją dla następnych pokoleń.

4. Przedszkolanka

Dramat, reż. Sara Colangelo, USA 2018, CHILI

Czy miłość do poezji może stać się źródłem aksamitnego terroru? Gdzie przebiega granica między grafomanią i sztuką? Tytułowa bohaterka, grana wybornie przez Maggie Gyllenhaal, odkrywa niezwykły talent w swoim kilkuletnim podopiecznym, ale duchowe porozumienie dwojga nierozumianych przez świat wrażliwców z czasem przeradza się w niebezpieczne uzależnienie.

Lektor:
Trzecie rozdanie

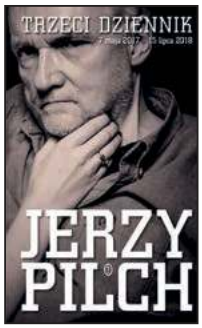

▪ *Jerzy Pilch*
TRZECI DZIENNIK
7 MAJA 2017 – 15 LIPCA 2018
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, s. 184.

„Nigdy nie byłem tak stary, nigdy nie byłem tak chory, nigdy nie zabierałem się do pisania z tak ściśniętym sercem i nigdy moje serce nie było tak wezbrane nadzieją. O tym, że fraza »serce wezbrane nadzieją« była mi dotąd z gruntu obca, nawet nie wspominam". Ci, którzy przeczytawszy patetyczne pierwsze zdanie spodziewają się potoku niekontrolowanych i bezwstydnie ekshibicjonistycznych zwierzeń, już przy zdaniu drugim powinni zacząć podejrzewać podstęp. Bo „Trzeci dziennik", choć daje wgląd w stan ducha autora i stanowi rodzaj ćwiczenia wewnętrznej wolności, jest jednak książką przemyślnie skomponowaną, która tyleż samo odsłania, ile ukrywa. Nie, zdaje się mówić Pilch, to nadal ja rozdaję karty, ja wyznaczam reguły gry, ja decyduję, ile się, czytelniku, naprawdę dowiesz.
Oczywiście – jest choroba, ogrywana czarną groteską („Nie ma rzeczy śmieszniejszej, niż powiedzieć parkinsonikowi: – Proszę się nie ruszać"), i stany przejściowej bezradności. Jest samotność – choć celebrowanie warszawskiej samotności stanowi pewnie zasłonę. Żeby jednak te niedole opiewać, tłumaczy Pilch, „musisz się dobrze czuć, musisz się czuć jak zwykle przy pisaniu (...). W czarnej rozpaczy nikt sensownego słowa o czarnej rozpaczy nie napisał". Postawa pragmatyczna i heroiczna zarazem. Wiąże się z nią filipika dotycząca samospalenia Piotra S. czy raczej sposobu, w jaki się o tym pisze, która – przyznam – przy pierwszej lekturze mnie odrzuciła.
„Z pewnymi zastrzeżeniami wierzę w pisanie. Bez najmniejszych zastrzeżeń wierzę w przepisywanie". No i cytatów tutaj sporo, niektóre obszerne: z „Prób" Montaigne'a, ze „Zmyślenia i prawdy" Goethego. Fragmenty z Babla i „Czarodziejskiej góry" Manna dotyczące erotyki ilustrują dwie odmienne strategie pisarskie, obie prowadzące w mistrzowskim stylu do założonego celu. Fragment z „Muzykofilii" Olivera Sacksa należy do wątku parkinsonicznego, przytoczenie paszkwilowatej rocznicowej książki o Lutrze to element prywatnej wojny ewangelika z polskim katolicyzmem.
Jest oczywiście podróż do Wisły, dom na Parteczniku zasikany przez stare psy, rozmowy z głuchnącą matką. Mało polityki, za to jeszcze więcej lektur i trochę wspomnień. Wszystko zaś podszyte lękiem, który choć delikatny i finezyjny, jest zarazem „wiotki i szczelny jak celofan najwyższej jakości" i „przez swą nieustępliwość staje się coraz dokuczliwszy". ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD
– TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
Dyskutuj o ulubionych autorach
Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na **powszech.net/bnd**

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE

TYGODNIK POWSZECHNY
Book's not dead

PAWEŁ

Bravo:
Piazza agli Stavi

Mógłbym was długo wodzić za nos opowiadając, że znużony korkiem zjechałem z autostrady Słońca, po czym krętą drogą wspiąłem się w górę doliny Fiaby, wzdłuż zbocza masywu Monte Bel Sogno, aż dotarłem do miasteczka Filastrocca – chociaż nie przesadzajmy z tym miasteczkiem, ledwie dwa pierścienie niskich domów z kamienia zmęczonego swoim trwaniem wokół placu z obłupanym Trytonem na suchej fontannie, zacienionej fasadą czegoś, co służyło za siedzibę miejscowego wielmoży, a dziś straszy ślepymi okiennicami i tylko w przyziemiu przybytek handlowy z nadżartą przez rdzę literą T na szyldzie świadczy o tym, że ktoś w tym mieście kupuje tytoń, zapałki i sól...

I otóż gdym dotarł na Piazza agli Stavi, wskazówka na wieży (San Balocco, wiek XI, ołtarz szkoły sieneńskiej – głosi tabliczka, ale któż to sprawdzi, ostatnio było otwarte na Wielkanoc w tamtym roku) z niechęcią opuszczała wygodny pion godziny dwunastej, zastałem więc zwijające się kramy targowe. Sprzedawcy zamiatali bruk z liści i trocin. Popędziłem ku nim w nadziei, że kupię coś do przegryzienia, na wypadek gdyby jedyna w mieście trattoria była *in ferie*, a raczej zamknęła się na wieczny urlop. Jeden ze sprzedawców wrzucał na pakę trzykółki ostatnią skrzynkę. Dostrzegłem kątem oka jej zawartość – były to tak piękne, mięsiste i czerwone bawole serca, że nawet nie bardzo wybujała fantazja potrafiłaby przekonać rozum, iż wydarto je z trzewi zwierzęcia na kafelkach jatki, a nie zdjęto z krzaka. Nawet towarzyszka podróży, raczej nieufnie obchodząca się z bakteriami, dała się z tej błogości namówić na zjedzenie od razu, bez mycia i bez soli.

ADOBE STOCK

Mógłbym więc snuć reminiscencje wakacyjne ku waszej zazdrości, gdyby nie to, że każdy nosi w kieszeni mapę pokazującą cały świat z dokładnością do ułomków krawężnika. Sprawdzicie więc szybko, że kłamię, a miejsce pomidorowej epifanii to nic innego jak plac Na Stawach. Adres realny, krakowski, tramwaj dwójka z dworca was podwiezie, drogą o tyle krętą, że przez pijany szał remontowy nie da się w tym mieście dokądkolwiek dojechać bez objazdów. Co prawda reszta szczegółów się nie zgadza, kamienice wokół niego masywne, w Dworku Łowczego zasiada coraz bardziej wielmożne wydawnictwo, kościół Norbertanek stoi otwarty, w kilku przybytkach gastronomicznych ruch jak w ulu cały rok – ale pomidory są najprawdziwsze.

W którym miejscu, zapytacie – zostawię wam tę przyjemność, targ jest niewielki, oko wasze wyłapie szybko z ogólnie apetycznego tła ten szczególny widok, nie tylko zresztą bawolich serc, ale i innych równie mięsistych pomidorów. Piszę o nich już przytłoczony na zapas nostalgią, zaraz bowiem wyjeżdżam na Południe, aż nazbyt realne, gdzie wiele można dobrego zjeść, polizać, powąchać, ale pomidory to naprawdę nędza. Mówię o takich do zjedzenia, dostępnych zwykłemu śmiertelnikowi na targu, nie o plantacjach tej odmiany, która potem trafi do puszki. Jadając we Włoszech czy Francji pomidory rozumiem dobrze, co czuł Jarosław Iwaszkiewicz, kiedy np. w relacjach z podróży na Sycylię zauważał, że owoce to ma lepsze pod Sandomierzem. Albo kiedy na placu przed kościołem w Monreale pisał: „Pragnąc podsycić w sobie egzotyczność przeżywań, każę dać kieliszek marsali. Ale i marsala nie pomaga, falami zalewa mnie jakaś dawno miniona i bardzo polska rzeczywistość (...) atmosfera stepu i dzieciństwa, podolskich jarmarków i ludzi, który zapalali papierosy krzesiwem i hubką”.

Z Piazza agli Stavi tylko dwa kroki do naszego Museo Nazionale, gdzie wisi jeszcze wystawa poświęcona Wajdzie. Z nostalgią równą tej, jaką czuję już dzień po wyjeździe do polskich bawolaków, oglądałem materiały związane z „Brzeziną” i myślałem, dlaczego tak lubię do tego tekstu i filmu wracać, dlaczego podnosi mnie na duchu, chociaż jest cały zarażony śmiercią. Rzecz w tym, że obaj panowie potrafili wyrazić rzeczy najważniejsze i najpowszechniejsze, nadając im formę arcypolską – podniesioną do kwadratu przez wizualny dialog z Malczewskim – w taki sposób, że potrafię być z niej dumny. Być dumnym z polskości, radować się, że przez polską mowę orientuję się na ścieżkach życia.

Język obrazowy Wajdy powoli, wraz z pisaniem Iwaszkiewicza, przechodzi jednak już na drugi brzeg społecznej nieistotności, tam, gdzie ludzie używają krzesiwa oraz hubki. Nie umiejąc się oswoić z nowymi formami narodowej dumy, na razie więc swój patriotyzm ograniczam na co dzień do poziomu pomidorów. ©℗

Pomidory ze Stawów trafiły potem w domu do sałatki caprese. Nie mam o niej nic do powiedzenia poza jednym, co powtarzam obsesyjnie, bo taką właśnie sałatkę pamiętam z dzieciństwa: nie bazylia, ale szałwia! To naprawdę czyni różnicę. Częsty problem z caprese to że robi się za mokra, całość pływa w nieładnej cieczy, co sprawia problemy przy nakładaniu. Trzeba zadbać, by mozzarella przed pokrojeniem była w temperaturze pokojowej, a po pokrojeniu warto odłożyć jej plastry na trochę, żeby oddały część swojego płynu, zanim trafią na półmisek. Podobnie pomidory – nawet najbardziej mięsiste bawole serca warto po posoleniu na chwilę odłożyć na sito albo wręcz lekko osuszyć papierowym ręcznikiem. No i solimy tylko pomidory, sól bowiem sprawia, że mozzarella dodatkowo nam się „spoci”. Letni obiad zaczęty tą sałatką ze Stawów warto zakończyć w duchu Stawiska ogórkami z miodem, jak w „Pannach z Wilka”. Iwaszkiewicz nic o tym nie wspomina, ale mistrz Wajda słusznie się wczuł w nastrój i wprowadził je do filmu. Ja je najbardziej lubię z gryczanym, żeby nie było za słodko.

NIEBIESKIE MYSZY I ZIELONE ODKURZACZE

Kiedy trzymam w dłoni samca modraszki, myślę tylko o jednym: oto mały, prywatny kosmos tej jednej sikory. Jestem za ten kawałek natury całkowicie odpowiedzialny.

SZYMON DROBNIAK

Wychodzi o zmierzchu albo wcześnie rano. Niefart, bo wtedy właśnie najlepiej łapią się sikory. Podobno przemierza las jako niska, wyglądająca jak dziecko postać w czerwonej czapce z grubo przędzonej wełny. Jeśli spacerując po lesie zobaczysz go między drzewami – prawdopodobnie rzuci na ciebie urok, sprawiając, że zgubisz się w lesie i nie trafisz na ścieżkę prowadzącą do domu. Wystarczy wtedy zagiąć lub wywrócić na lewą stronę kawałek ubrania – wtedy zły urok pryska.

Szwedzi mówią na niego Bysen, od *en bys* – zły czar albo psota. Bysen to przeklęty drwal Gotlandii – podobno ani jedno drzewo nie pada bez jego udziału. A że każdej zimy huraganowa wichura zostawia na wyspie ogromne połacie wiatrołomów – Bysen to chyba najbardziej zajęty gnom na świecie.

Mnie jednak Bysen zupełnie nie przeszkadza. Prześlizguję się przez gotlandzkie krzaki od dobrych 12 lat i chyba mam z nim małą, prywatną umowę. On mnie czasem gubi, nawet

tak na amen. I ja mu się daję zgubić, razem z wszystkim, co w lesie bzyczy, skacze, pachnie, świdruje setny raz mikroskopijny kawałek gleby albo po prostu jest – tam, gdzie zawsze, a i tak zaskakująco, jakby to był pierwszy raz. W zamian ustaliliśmy tylko jedno: z gubienia wyłączone są drewniane budki dla ptaków i moje – dość mocno już styrane Gotlandią – wełniane rękawiczki.

Warstwy

Gotlandię odkrywa się powoli. Nie ma tu gonitwy na czas, zdyszanego zabytkobrania i przepoconych szortów z kieszeniami wypchanymi suwenirami. Gotlandia jest inna. Co roku przyjeżdżam tu po sekrety, tajemnice. Podglądam je i podkradam ptakom, konkretnym ptakom, z premedytacją i ze skrupulatną precyzją wybranym prawie 40 lat temu przez przewidujących szwedzkich badaczy jako „obiekt długoterminowych badań ekologicznych".

Powinienem być profesjonalistą. Zimnym i opanowanym ewolucjonistą, który z chirurgiczną prawie precyzją odpreparowuje z biologicznego szumu cenne wątki, który odsiewa z całego statystycznego brudu istotne fakty. Ubiera je w liczby. Pudruje, przyklepuje im czupryny i wypycha w najlepszych czasopismach. Odhaczone, odkrycie – następny! Ptaki z Wyspy nie mają pojęcia, na ilu okładkach grały pierwsze skrzypce, ile populacyjnych łamigłówek i ekologicznych puzzli udało się dzięki nim rozwiązać. Gotlandzkie zadziorne modraszki i jakby leniwe, wyniosłe muchołówki... Za każdym razem, gdy udaje się z ich pomocą odszyfrować kolejną tajemnicę, nie mogę wyjść z podziwu, jak misterną konstrukcją jest ich biologia. Zwykle zaraz potem – a najwcześniej na początku kolejnego gotlandzkiego sezonu – następuje frustracja. Bo nagle robią coś zupełnie nieoczekiwanego. Zachowują się tak, jak nigdy wcześniej. Wybierają drogę (strategię – jak to lubimy nazywać w biologii ewolucyjnej) kompletnie inną niż dotąd. I już jesteśmy w punkcie zero. Nie wiedząc nic.

Dlatego trzeba sobie te frustracje i ekscytacje dawkować. I odkrywać Wyspę warstwami. Dla mnie najlepszy sposób – to zapachy. Gotlandia jest nimi przełożona jak piętrowy tort kremem – a każdy kolejny dzień wiosny to jak wspinaczka. Zaczyna się od mokrej ziemi – kiedy jeszcze las nie zdążył przyzwoicie wyschnąć i każdy krok kwituje głośnym cmoknięciem. Szybko po nim przychodzi warstwa palonych liści, siwa od wszechobecnych kłębów dymu, kiedy Szwedzi porządkują kośne łąki, grabiąc na nich zeszłoroczny dębowy susz w wysokie kopce i paląc je, rozsiewając wszędzie jedyny w swoim rodzaju zapach. Potem dno lasu zarasta czosnek niedźwiedzi, a człowiek, brodząc w nim po kolana, tarza się w czosnkowym oparze.

Potem już idzie szybko. Na żółto wybuchają pola rzepaku – do lasu wlewa się słodkie jak miód, ciężkie rzepakowe powietrze. Ale nie na długo – bo zakwita konwalia majowa i przy bezwietrznej pogodzie zalewa zagajniki absolutnie obezwładniającą mieszaniną zapachowej chemii. Dookoła domów zaczyna szaleć fioletowy lilak, kolejna fala prawie niemożliwego zapachu. I kiedy już wydaje się, że wyczerpała się gotlandzka perfumeria – jak obuchem uderza wieczornymi falami słodkości wiciokrzew. W dzień zupełnie niemy, w nocy bryzgający na wszystkie strony prawdziwym koktajlem zapachów wabiących ćmy i nocnych marków takich jak ja.

Öja

Corocznym polem startowym naszej biologicznej gry w odkrycia jest Öja. 479 mieszkańców. Pewnie dziesięć razy tyle owiec i krów. Kilkanaście domów. Gotycki kościół. Trochę pól, łąk. Jedna droga. Nazwa wioski znaczy tyle co „wyspa" w starogotlandzkim. Kilkaset lat temu ta część Gotlandii – tzw. Storsudret (Wielkie Południe) – faktycznie była osobną wyspą. Dziś to duży półwysep oddzielony od reszty szeroką na niecałe 3 km lądową szyją. Dzięki uprzejmości jednej z mieszkanek – co roku wynajmujemy tam duży, wiekowy dom. Otoczony starymi jabłonkami i prawdziwym murem fioletowych lilaków, przez większość roku stoi półmartwy, i ożywa na 2-3 miesiące naszej tam bytności.

Gdy przyjeżdża się na Gotlandię w kwietniu, jest wszechogarniająco szaro. To chyba taka forma masochizmu: w Polsce na dobre rozsiada się po kątach wiosna, huczy ptakami, zielenią, bzyczeniem. Z premedytacją się ten wiosenny szał zostawia i jedzie tam, gdzie jeszcze na dobre nie zadomowił się dzień. Na Gotlandii mamy wtedy konkurs na najszarszą szarość. Niebo jest szare, jeszcze sobie nie przypomniało, jaki powinno mieć kolor. Drzewa – szare, bez śladu liści. Łąki – szare, skołtunione i wilgotne. Pastwiska – szaro-szare, oddzielone od siebie niskimi kamiennymi murkami ułożonymi z okrągłych kamieni w kolorze perfekcyjnej popielatości. I tylko w głębi lasów runo zachłystuje się światłem, wiosenną eksplozją jasności po kilku miesiącach skandynawskiej ciemności.

Pierwsze wyprawy są mocno surrealistyczne: z jednych miejsc każdym porem i szczeliną wylewa się biały zawilec. Tumany, zwały bieli, kłęby i wiry białych kwiatów. Inne oślepiają przylaszczką – niemożliwym niebieskim, we wszechobecnej szarości jeszcze bardziej absurdalnym i rażącym po oczach. Ale trzeba się opanować, skupić wzrok – teraz najważniejsze są budki lęgowe.

Ich szukanie na początku każdego sezonu badawczego jest jak gra w podchody. Pamięta się, gdzie były – czy nie? Gdy jakiejś nie można znaleźć – od razu łamigłówka: może spadła na ziemię? Albo drzewo się przewróciło i leży pośród setek innych, padłych, razem z potrzaskaną budką? (Bo na Gotlandii drzewne trupy pozostają w lesie, u siebie, tak jak powinny – obrastając latami w całe masy innego, nowego życia). Albo – nieostrożna krowa strąciła niecierpliwym rogiem? (Bo na Gotlandii krowy pasą się w lasach).

A gdy już się je znajduje – faza bombonierki: co będzie w środku? Porządne, wysprzątane po poprzednim sezonie suche drewniane wnętrze? Zupełnie jeszcze zaspany trzmiel, ale już z planami na tegoroczny rój? Kłąb liści i kłąb mysich noworodków? A może – nieodmiennie wzdrygam się na ich widok – powolna masa fukających na świat i przedwczesne obudzenie w środku dnia nietoperzy? Odwiedzić trzeba każdą, każdej dotknąć – przypominając sobie gdzieniegdzie ich stare historie. Zanotować, wyczyścić (chyba że trzmiel lub nietoperz – wtedy powzdychać i zostawić w spokoju). Zapamiętać, by w maju i czerwcu, gdy prześwietlony las zamieni się w mroczną zupę poprzetykaną liśćmi, każdą odnaleźć bez wahania – idąc do niej jak po sznurku. ↦

FRANCIS C. FRANKLIN / CC-BY-SA-3.0

Fide

↦ Na Gotlandii jest 98 kościołów. Imponująca liczba jak na wyspę szeroką na 60 km i długą na jakieś 120 km. Żaden z mieszkających tam Szwedów nigdy nie wyjaśnił mi, dlaczego jest ich aż tyle. Nasza hodowla tajemnic, dwa tysiące potencjalnych drewnianych ptasich domów w postaci zgrabnych, niedużych budek zawieszonych na drzewach – rozciąga się pomiędzy trzema, najstarszymi chyba na całej wyspie.

Kościół w Fide, biały, przywodzi na myśl meksykańskie pueblo. Kościół w Öja, epicentrum populacji. Kościół w Hamra, płonący czerwonym gontowym dachem. Lasów badawczych jest ponad dwadzieścia. Ich nazwy – jak kody na wojennej mapie. Björklunda. Faludden. Ollajvs. Ranarve. Tuviken. Roes. Każdy nieco inny – każdy ma swojego amatora i zagorzałego wroga. Do odwiedzenia Ranarve czy Öja nie trzeba mnie namawiać. Z kolei wycieczkę do Tuviken czy Fide Odvalds odwlekam, ile tylko się da. Zwłaszcza Fide Odvalds – ta powierzchnia, całkiem zasłużenie, wypracowała sobie miano Trójkąta Bermudzkiego, Wietnamu, a czasami również – pieszczotliwiej – Masakry. Pech chce, że w tej niemożliwej plątaninie leszczyny i dębowych gigantów jest z reguły najwięcej naszych ptaków.

Modraszki lubią gęstwiny. W Fide Odvalds jest budka zawieszona w samym jądrze najbardziej nieogarnialnego gąszczu. Numer 59B. Zawsze jest w niej sikora modra. Przez szereg lat była to wręcz jedna i ta sama para modraszek, doskonale już nam znanych i co roku wybierających sobie na gniazdo ten najokropniejszy zakątek Wyspy. Na szczęście modraszki, nasze najważniejsze bohaterki, mają gusta równie różne jak ludzie. Amatorek gęstwiny jest równie dużo, jak bardziej romantycznych fanek wolących słoneczne, świetliste dąbrowy. Albo przetykane storczykami łąki, upstrzone pojedynczymi drzewami.

Blåmesar – czyli niebieskie myszy, jak mówią na sikory modre Szwedzi – pod wieloma względami są wyjątkowe. Jak mało który ptak na kontynencie, są jaskrawo wielobarwne. Ich neonowo-żółte piersi i chabrowo-niebieskie czapeczki sprawiły, że modraszki wybraliśmy jako perfekcyjne kandydatki do badania ptasiego koloru. Czemu akurat niebieskie i żółte? Jakie konstrukcyjne sekrety ich piór dają im tak perfekcyjną władzę nad kolorem – i które z tych kolorów w ogóle coś dla nich znaczą? Co mówi ich kolor i jak ten barwny język zrozumieć? Pikanterii dodaje fakt, że żółć i błękit u modraszek to prawdopodobnie ich podstawowe karty przetargowe przy wyborze partnera, a nierzadko także ostateczny sygnał w decyzjach takich, jak małżeńska zdrada czy rozwód. Wszystkie ich dramaty, zaułki fizjologii, to czy jedzą i ile, i gdzie mówią sobie „kocham Cię", i kiedy skazują swoje dzieci na śmierć – to wszystko unurzane jest w ich błękicie i cytrynowej żółci. A my nie wiemy o tym prawie nic.

Pod koniec 2013 r., ukazała się dziwna publikacja. Nie puszyła się tym, ile o czymś wiemy. Skromnie, ale skrupulatnie wyliczyła, czego o kolorze modraszek nie wiemy. Z kolorem jest trochę jak z poezją – każdy patrzy na niego trochę inaczej. Mierzy go inaczej. Wyraża liczbą w trochę inny sposób. I katastrofa gotowa.

Coś, co szumnie określało się jako „modelowy organizm w biologii koloru ptaków", sturlało się w podskokach do poziomu: zaczynamy od zera. My z naszymi gotlandzkimi modraszkami dołączyliśmy do tej wyprawy po kolor, tym razem poumawiani i podogadywani z wszystkimi innymi badaczami co do tego, jak, w jaki sposób i dlaczego. O ileż byłoby to prostsze, gdyby nasze ptaki można było po prostu wypytać o wszystko przy kawie i cierpkim gotlandzkim winie. Rozmowa jednak nie wchodzi w grę.

Odkurzacze

Bardziej wygląda to tak... Pobudka o szóstej rano. Szybkie śniadanie. Obowiązkowa kawa. Jej hektolitry płyną każdej wiosny w naszym gotlandzkim domu w Öja. I odkurzacz na dobry dzień. Zielony rulon z marcepanu i czekolady, wypełniony słodkim kakao, arakiem i okruchami ciasta. Bardziej precyzyjnie nazywa się to *punschrulle*, choć znacznie bardziej wolę potoczne *grön dammsugare* – „zielony odkurzacz". Po takim wstępie można biec do lasu. Na liście – dziesięć gniazd do odwiedzenia. Dziesięć sikorzych rodzin.

W Faludden 14B jest pisklę, które wykluło się dwa dni po reszcie rodzeństwa. Sprawdzić, czy przeżyło – dwa dni to dwa gramy wagowej przepaści, której często nie da się już nadrobić. Faludden 18A, przy gnieździe prawdopodobnie są dwa samce. Nadgorliwość jednego z nich czy przewrotność nad wyraz praktycznej matki? Ollajvs 28A: samiec nie dał się dotąd złapać, a jest cenny. W jego ogonie obok 11 lazurowych sterówek jest jedno białe pióro. Dla niego – fluktuacja organizmu, biochemiczne wahnięcie w rosnącym ogonie. Dla nas – dziki eksperyment i nieoceniona okazja sprawdzenia, co może niebieskie pióro uczynić bezbarwnym. Ollajvs 3A: urocze gniazdo, gdzie samica zamiast piórami (w wyszukiwaniu najpiękniejszych modraszki są mistrzyniami) wypełniła budkę lęgową parasolami dmuchawca.

No i Skoge 1A: lęg ocalony. Roztrzaskane wiatrem drzewo pociągnęło za sobą modraszkowe gniazdo, 12 jaj roztartych na papkę. Szybka reakcja – przymocowaliśmy gniazdo na pniu obok. Samica, resztką sił tłumiąc stratę inwestycji swojego życia, nie uciekła. Dołożyła 5 nowych jaj. Za 5 dni wylecą z gniazda jej dorosłe, wychuchane podloty.

GETTY IMAGES

Gotlandia w kwietniu. „Jest wszechogarniająco szaro".

Czasem sobie myślę – nie powinniśmy. Liczyć się powinna sucha obserwacja. Nie jesteśmy nawet suflerami. Nie podpowiadamy. Nie ratujemy. Obserwujemy – zmagania, porażki i sukcesy, ból i umieranie. To część natury, a my ją tylko badamy. Wpisujemy w czarną kratkę formularza i pozwalamy dramatowi rozegrać się do końca. Tyle że tak się nie da. Bardzo szybko modraszki stają się tak integralną częścią życia i codziennej rzeczywistości, że nie da się ich potraktować po prostu jako naturalny fenomen, obserwowany uważnie z daleka na dobre i na złe.

Przez dwa miesiące Gotlandii nie ma czegoś takiego, jak czas w lesie, z nimi i czas poza pracą. Wszystko płynnie się przenika, wszyscy w naszym zespole tak samo skrupulatnie planujemy tygodniowe zakupy, jak wymieniamy się nowinami z odwiedzonych przez nas gniazd. Szybko nauczyłem się też reagować na sikorze emocje. Gdy zbliżam się do gniazda – wiem, czy to dobry czas, czy samiec da się złapać i zaobrączkować, czy może to dzień z góry stracony. Niektóre sikory są bardzo śmiałe: śmigają tuż przed moją twarzą, chwytają się pobliskich gałęzi i stroszą pióra jak mini-pawie, próbując wyglądać jeszcze straszniej i jeszcze olbrzymiej. Trudno się nie uśmiechnąć. Inne, nie podlatują na bliżej niż 10-15 metrów. Nawet jeśli rozłożę przy gnieździe sieć ornitologiczną – na niewiele się to zda.

Prędzej czy później, czy za pomocą sieci, czy za pomocą specjalnej pułapki montowanej w budce mogę każdego ptaka potrzymać w dłoni. Modraszka to nie jest pierwszy lepszy ptak. Modraszka ma na przykład zapach – pachnie jak las i jak czyste pranie albo jak puchaty szczeniak. Trzymając ją w ręce nie da się nie zachwycić (za każdym razem od nowa!) jej kolorem. Wyrafinowaniem barwnych wzorów. Jakim zaskoczeniem było dla mnie, gdy po latach ich obrączkowania zdałem sobie sprawę, że czarna kreska, którą – zwłaszcza samce – mają na brzuchu, często nie jest czarna, ale ma głęboki kolor intensywnego indygo!

Ile jeszcze tajemnic skrywają te maleńkie ciała? Czy kiedykolwiek poznamy je wszystkie? Kiedy trzymam lekko zszokowanego samca modraszki w dłoni, widzę jego czujne oczy skanujące moją twarz (czy one wiedzą, że na nie patrzę?) oraz otoczenie – i myślę tylko o jednym. Trzymam w ręce mały kosmos. Prywatny kosmos tej jednej sikory, wszystkie koleje przypadku, które ją do tego momentu doprowadziły. I nieważne jak wielka, jak ważna i naukowo fundamentalna jest moja obecna hipoteza badawcza – najbardziej liczy się to, że jestem w tej chwili za ten mały kawałek natury, zamknięty w szybko oddychającym, żółto-niebieskim ciele, całkowicie odpowiedzialny. I za jego przeżycie – i za to, co stanie się z wiedzą, którą dzięki temu dzielnemu malcowi zdobędę. Jestem badaczem – i jestem człowiekiem. Gościem w swoim/ /nie swoim domu, na krótko tylko wpadającym w odwiedziny, gdzieś na południowym krańcu bałtyckiego, wyspiarskiego raju.

Sundre

Bimbi Ollberg, obrączkarz, z którym widuję się w czasie naszych kwietniowo-majowych badań w stacji monitorowania ptasich migracji w gotlandzkim Sundre, spytał mnie kiedyś: „Co dokładnie badacie w tej waszej populacji?". Kiedy zacząłem mu opowiadać o sekretach genetyki koloru naszych modraszek, albo o skomplikowanych grafach opisujących decyzje rozwodowe muchołówek białoszyich – przerwał mi i spytał: „OK, brzmi fajnie. A czemu modraszka w tym roku zaczęła lęgi 21 kwietnia, choć rok temu był to 1 maja?"

Proste pytanie. W końcu powinienem mieć wszystkie potrzebne dane, daty dla setek lęgów z przestrzeni kilkunastu lat, obserwacje dostępności pokarmu, falujące wykresy danych pogodowych. Mimo to ciągle nie potrafię odpowiedzieć na właśnie takie najprostsze, najbanalniejsze pytania. „Nie wiem" – powiedziałem szczerze, a Bimbi tylko się uśmiechnął.

Bimbi jest nie tylko obrączkarzem w Sundre, także zapalonym ogrodnikiem. I pastorem. Któregoś majowego dnia na wieść o tym, że w Hoburgen ktoś odszukał odpoczywającego na zaoranym polu trznadla popielatego – pierwsze stwierdzenie w Szwecji! – Bimbi przyjechał we wskazane miejsce w pełnym pastorzym rynsztunku, w sutannie, ze stułą i wytarta lornetką, prosto z odprawianego przez siebie pogrzebu.

Chyba takim kimś należy być przyjeżdżając na Gotlandię. Nie tracąc oczywiście z horyzontu tych wielkich, modnych pytań, jakie każdy topowy naukowy żurnal chciałby widzieć na swoich łamach. Ale pamiętając też o tych tzw. prostych pytaniach. Tak prostych, że jak dotąd nikt nie zdołał znaleźć na nie odpowiedzi. I trzeba być gotowym w każdej chwili rzucić wszystko i gnać na złamanie karku, na spotkanie z kulonem albo popielatym trznadlem, albo różowym pasterzem zawianym na wyspę przez czysty przypadek. A nade wszystko – każdy mały sikorzy kosmos trzeba zawsze traktować jak coś specjalnego.

Imiona, jakie nadaję sikorom, może i nie są najbardziej wyrafinowane. Osiem cyfr wytłoczonych na małej aluminiowej obrączce. Ale razem z tym imieniem przyczepiam do takiego ptaka całą masę swoich oczekiwań, nadziei na udany lęg i dobrą pogodę, na spotkanie się z tym konkretnym ptakiem którejś następnej wiosny. Jestem pewien, że te konkretne – i każde inne – osiem cyfr doskonale wie, że ja na nie patrzę. Gdybym przestał mieć tę pewność – chyba musiałbym przestać jeździć na moją Gotlandię.

© SZYMON DROBNIAK

STANISŁAW

Mancewicz:
Chwała kompetentnym

W RAMACH WAKACJI ODBYLIŚMY PODRÓŻ POciągiem na jednej z najdłuższych tras, jakie kolej tutejsza obsługuje. Uprzedzając banalne pytanie, odpowiadamy, że podróż odbyła się zgodnie z rozkładem jazdy. Z jedną osobliwością. Pociąg przyjechał na metę dziesięć minut za wcześnie. Wobec utartej opinii, że pociąg polski jest nienasyconym chronofagiem, rzec wypada, że ów akurat był na diecie. Oczywiście, zgodnie z upodobaniami próżniaczych elit, kupiliśmy sobie bilet pierwszej klasy, spodziewając się Bóg wie czego. I słusznie.

Gdy pociąg ruszył, okazało się, że wagon klasy pierwszej jest pusty. Prócz nas nikt nie wpadł na pomysł feudalnego folgowania sobie za pieniądze. Po mniej więcej kwadransie od odjazdu nasz przedział nawiedził kierownik pociągu o wejrzeniu niesłychanie władczym. Wszystko, co ten solidny człowiek sobą prezentował, było słuszne, służbowe, zasadnicze i regulaminowe. Takoż każda jego czynność świadczyła o ogromnym doświadczeniu zawodowym. Pierw fachowo, jednym spojrzeniem, powziął orientację, czy jedyny pasażer klasy pierwszej znajduje się w polskiej normie trzeźwości (2,6 promila), nie jest aby skłonny do zabrudzeń standardowych i niestandardowych, i czy nie jest to przypadkiem osobnik kompulsywnie niszczący mienie państwowe. Następnie kucnąwszy, omiótł wzrokiem parter przedziału, by sprawdzić poziom zaopatrzenia przedziału w piwo. Stwierdziwszy obecność jednej butelki, pokiwał sceptycznie głową, informując, że pociąg nie ciągnie wagonu z bufetem, ale za to na jednej ze stacji ma postój wystarczający na – jak się wyraził – doposażenie. Wszystko to odbyło się przy minimum słów i maksimum surowości, konkretu oraz służbistości.

Zbadawszy z oczywistą skrupulatnością ważność naszego biletu, zadał ów pytanie: „Palący?". Odrzekliśmy szczerze, że owszem, ale absolutnie nigdy w miejscach zakazanych prawem. „To się rozumie samo przez się" – rzekł ów mundurowy, po czym zakomunikował nam uroczyście, że ponieważ wagon pierwszej klasy wypełniony jest zaledwie jednym osobnikiem palącym, onże, kierownik pociągu, ogłasza pierwszą klasę wagonem o statusie HEAD. W całości przeznaczonym dla palących pasażerów z przeludnionych wagonów klasy drugiej. Po czym, ku naszemu uradowaniu, wygłosił racjonalną sentencję: „Prawo należy ożywiać. Przepis o niepaleniu w pociągach jest nieżyciowy". Powiedziawszy to, z miną wodza Indian wyciągnął paczkę papierosów, łapczywie zapalił, rozpiął guziczek kołnierzyka i usiadł, co było sygnałem do prywatnej, uniwersalnej pogwarki na temat diet, rzekomej szkodliwości soli i mięsiw, kondycji świata, i jakże kulejącej dziś moralności.

Rychło nasz wagon klasy pierwszej, uczyniony palarnią, zapełnił się pasażerami z klasy drugiej, a stan totalnego zadymienia, zgodnie z dekretem, obowiązywał nie tylko do stacji T., gdzie kierownik składu oddał nawę władzy swemu następcy, bowiem ów nowy, bez podważania autorytetu poprzednika, zaakceptował ciągłość decyzyjną. Lekko licząc, podczas całej podróży, w palarni pędzącej przez kraj unurzany w złodziejstwie rozmodlonej prawicy wypalono wagon papierosów. Bardzo długa podróż – co koniecznie należy zaznaczyć, odbyła się w aurze praworządności i umiarkowania. Mimo braku bufetu smolenie wódy i piwa należało uznać za zgodne z tzw. kulturą picia. Znakowanie moczem umeblowania mieściło się w lokalnie ujmowanej normie, zaś natężenie decybeli ani na chwilę nie wymagało użycia koreczków dousznych. Śpiewy były nadzwyczaj dyskretne i sprowadziły się do kilkakrotnego zaledwie odśpiewania haseł z reklam telewizyjnych, co może być kanwą dla uczonego badającego poziom umuzykalnienia mas. Niedopałki i butelki wyrzucano rezolutnie przez okna, słowem ogólne zachowanie pasażerów należy uznać za absolutnie wzorowe. Pociąg dojechał na stację docelową w stanie gabinetowym, ku satysfakcji miejscowego posterunku SOK.

Oto co czynią proste rozwiązania, narzucone przez urodzonych liderów, przez ludzi decyzyjnych, konkretnych i trzeźwo stąpających. Zaiste uderzającym było wrażenie, że kierownictwo owego pociągu, wraz z szarżami niższymi, mogłoby bez wysiadania zająć natychmiast miejsce i Gospodarza, i jego rozdzierająco nieudolnych kolesi. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

To zaszczyt mieć na niego monopol!

PIOTR MUCHARSKI,
REDAKTOR NACZELNY „TP”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

NIE PRZEGAP! Kup wydanie jubileuszowe – dostępne w punktach z dobrą prasą i na **powszech.net/historia**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

Tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/zwierzenia

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO